CENA Zł 50

NAUKA I SZTUKA

MIESIĘCZNIK

ROK II — KWIECIEŃ 1946 — Nr 4 (7)

Zawiera:

WARSZAWA — KRAKÓW — JELENIA GÓRA

Wydano z zasiłku Ministerstwa Kultury i Sztuki
oraz Ministerstwa Oświaty

Wydawca: zespół „Nauka i Sztuka"

Redaktorzy: Julian Krzyżanowski i Stefan Kuczyński

Redakcja: Warszawa, Krak. Przedmieście 26, Uniwersytet

Wydawnictwo: Jelenia Góra, Norwida 9

Skład główny w księgarni Sp. Wyd. „Czytelnik", Wrocław, Krupnicza 13.

NAUKA i SZTUKA

MIESIĘCZNIK

TOM III KWIECIEŃ 1946 NR 4 (7)

Wacław Zienkiewicz

MANEWR I BITWA POD RACŁAWICAMI

(4 kwietnia 1794 roku)

Cieniom Pułkownika Profesora Wacława Tokarza

Przebieg bitwy pod Racławicami znamy raczej powierzchownie, jeszcze mniej znamy manewr, który to spotkanie spowodował.

Niewątpliwą przyczyną tego stanu rzeczy był i jest stan archiwaliów z tego okresu. Nie rozporządzając jeszcze dokładnymi zestawieniami, prawdopodobnie i tu dotkliwych strat czasów okupacji, możemy narazie stwierdzić, że już przed wybuchem wojny 1939, nawet po włączeniu rewindykacji moskiewskich, archiwalia kościuszkowskie zachowały się na ogół zupełnie fragmentarycznie i stanowią one niemal wyłącznie świadectwa drugorzędne.

Jeśli chodzi o Racławice, to jesteśmy w sytuacji wyjątkowo niekorzystnej. Bitwa rozegrana na względnie małej przestrzeni, pod okiem samego Naczelnika, decyzje zapadają doraźnie, stąd ilość przekazów z pola walki — znikoma.

W tych warunkach historyk, mając do dyspozycji źródła nieliczne i zbyt zwięzłe, zbyt ramowe, zmuszony jest sięgnąć po źródła obce, rosyjskie przede wszystkim, i na nich oprzeć się z konieczności. Są to w pierwszym rzędzie raporty z pola walki dowódców ze strony rosyjskiej generałów Denisowa i Tomasowa, znane mi z odpisów, w t. zw. „Tekach ks. Waleriana Kalinki", w zbiorach O. O. Zmartwychwstańców we Lwowie, spalonych jakoby w czasie działań wojennych w 1939 roku w depozycie „Ossolineum". Są to świadectwa państwa, prowadzącego z nami wojnę, jednostronne zatem, a przecież wymowne i sugestywne. Ujawniają one wiele szczegółów nieznanych historiografii racławickiej, ukazują manewr i przebieg spotkania w nowym świetle. Pozwalają poddać rewizji, częściowo przynajmniej, prace Konstantego Górskiego i Tadeusza Korzona.

1. Decyzja Kościuszki — zaczepny plan działań ze strony polskiej. Kraków — Koniusza.

Nie jest bynajmniej rzeczą łatwą, gdy szczególny tu brak świadectw ze strony polskiej, niejasne, niekonsekwentne rosyjskie, bezkrytyczne w tym miejscu relacje austriackie i pruskie, znaleźć odpowiedź na wyjściowe, zasadnicze pytanie: z jakim zamiarem opuszczał Kościuszko Kraków dnia 1 kwietnia.

W raportach generałów rosyjskich nie ustalona jest przede wszystkim topografia bitwy. Denisow z datą 5 kwietnia donosi Igelströmowi o potyczce w rejonie Proszowic, w następnym doniesieniu z 8 kwietnia, przesuwa ją do odległych o 12 kilometrów Winiar; Tormasow, w dołączonym meldunku, również z tą datą, omawia przebieg walki pod Słomnikami, które identyfikuje zresztą z Łętkowicami. Dopiero inteligentny kapitan rosyjskiej służby informacyjnej, Trejden, pierwszy używa ścisłego określenia: bitwa na polach wsi Dziemierzyce.

Jedyne świadectwo ze strony polskiej, wskazujące, że działania nasze miały charakter zaczepny, to raport Naczelnika, redagowany jednak już po bitwie.

Dlatego dobrze jest przyjrzeć się okolicznościom, w jakich Kościuszko wyszedł z Krakowa 1 kwietnia, nie pozostawiwszy żadnych sił na jego obronę.

Kościuszko zdecydowany był opuścić Kraków już rano 28 marca. Wiemy o tym z rozkazów z tą datą do Madalińskiego i dywizji małopolskiej nakazujących im koncentrację w Wodzisławiu. Istotnie Kraków, mimo że oparty o Galicję ogołoconą z wojska austriackiego, nie kwalifikował się jako miasto obronne. W wypadku przegranej jednak mógł być brany pod uwagę, jako punkt oporu. Zasadniczo Kraków spełniał rolę magazynu. Już jesienią 1793 roku, gdy mówiono, że insurekcja rozpocznie się w Krakowie, dodawano, że niezwłocznie zostanie przeniesiona do Warszawy!

Decyzję tę uzasadniają również wiadomości z pola walki po potyczkach pod Kozubowem i Iwaniskami. Zorientowały one Naczelnika w sytuacji nieprzyjaciela, działającego nieskoordynowanie, w dwóch grupach jeszcze pościgowych: Tormasowa, na kierunku Pińczów - Wodzisław, oraz grupy Rachmanowa już pod dowództwem Denisowa, w pobliżu Opatowa. W momencie wymarszu z Krakowa, istniały możliwości bicia każdej grupy z osobna. Połączenie obu grup nastąpiło

dopiero 2 kwietnia w Skalbmierzu. Przesądza tu wszelkie wątpliwości niezmiernie ciekawa korespondencja obu generałów rosyjskch z 1-go i 2-go kwietnia.

Jeżeli teraz po skrupulatnej analizie raportów rosyjskich Rachmanowa i Denisowa z okresu poprzedzającego Racławice, podsumujemy wyniki, zestawimy z wersją polską i sięgniemy do relacji Bauma oraz pruskich, to — na drodze interpretacji coprawda — ustalimy: Kościuszko szedł do Warszawy, drogą na Skalbmierz, Pińczów, prawdopodobnie Kielce, z zamiarem zaczepnym: stoczenia bitwy, w warunkach najkorzystniejszych dla siebie. „Zdobyć teren. Pozyskać żołnierza", — tak sam określa swoje zadanie.

Obrawszy kierunek na Luborzycę, Koniuszę, Imbramowice i dalej Skalbmierz, Kościuszko posuwa się powoli, koncentrując i organizując w drodze swą armię. Prowadzi z sobą około 2000 niewyszkolonej milicji woj. krakowskiego, oraz dość liczne tabory. Noc z 2 na 3 kwietnia zastaje armię polską w Luborzycy, 3-go rano podciąga ona do Koniuszy.

2. Nieaktualność blokady Krakowa — nowy plan Denisowa. Operacje rosyjskie w kierunku na Proszowice —Koniuszę. Niebezpieczeństwo rosyjskiego manewru oskrzydlającego.

Denisow zdecydowany na blokadę Kościuszki w Krakowie, przy współudziale korpusu pruskiego, — z którym utrzymanie łączności nieustannie zaleca mu w swych rozkazach Igelström, — koncentracją sił polskich na kierunku Kraków - Koniusza - Skalbmierz jest zaskoczony i zdezorientowany. Pisze o tym wyraźnie. Rozpoznania Kozaków upewniają go, że Kościuszko opuścił Kraków i zajmuje stanowiska w rejonie Koniusza-Proszowice. Pochwycony 3-go kwietnia emisariusz zeznaje, że Polacy organizują obronę Koniuszy i że podjazdy kawalerii narodowej działają wzdłuż osi oraz ubezpieczają na skrzydłach, docierając do Koszyc. Po naradzie z Tormasowem, — melduje Igelströmowi — postanowił Denisow atakować Kościuszkę niezwłocznie: obejść na stanowiskach w Koniuszy, zaskoczyć uderzeniem z dwóch kierunków. Nocą z 3-go na 4-ty kwietnia wychodzą Rosjanie ze Skalbmierza dwoma kolumnami: a) kolumna wydzielona, dowódca gen. Tormasow, w składzie 2 batalionów piechoty, 7 szwadronów jazdy, 6 secin kozaków, oraz 12 dział, b) kolumna główna, dowodzona przez Denisowa w składzie 3 bat. piech., 5 szw. jazdy, 6 secin kozaków i 6 dział.

Pierwsza pomiędzy 2-gą a 3-cią opuszcza Skalbmierz grupa Tormasowa. Denisow opóźnił swój wymarsz co najmniej o godzinę i nie wyszedł ze Skalbmierza bezpośrednio za grupą Tormasowa, jak objaśnia Igelströma po przegranej bitwie.

Tormasow otrzymał rozkaz posuwać się traktem Skalbmierz-Winiary-Rzędowice-Przecławice, w rejonie Koniusza rozwinąć się i zaatakować obóz Kościuszki z płn.-wschodu — związać na tym kierunku możliwie największe siły nieprzyjaciela. W tym celu została przydzielona kolumnie silna artyleria.

Denisow natomiast posuwa się ze swoją kolumną boczną, wąską, silnie zalesioną drogą, łączącą Skalbmierz z Proszowicami (dziś z małym odchyleniem szosa). Obie drogi, początkowo niemal równoległe, w okolicach Proszowic rozwidlają się do 4 kilometrów. Utrzymanie łączności na tym terenie musiało napotkać na trudności. Zadaniem tej kolumny jest wykonać właściwy manewr: z pod Proszowic drogą na Luborzycę obejść pozycje przeciwnika, uderzyć na kierunku południowym i pochwycić go w kleszcze... Proszowice miały być cmentarzyskiem młodej armii Kościuszkowskiej.

3. Rozwijanie się planu polskiego, pierwsze zetknięcie z nplem, Imbramowice, decyzja przejścia na kierunek Słomniki-Działoszyce — marsz na północ.

Kościuszko — wszystko na to wskazuje — zamiarów przeciwnika nie znał. Wiedział co najwyżej od szpiegów i od przychylnej mu ludności, że wojska rosyjskie mają nocą opuścić Skalbmierz. Marszu na siebie dwiema kolumnami, i to marszu flankującego, nie przewidywał. Zatrzymując inicjatywę, o świcie z 3-go na 4-ty wyszedł z Koniuszy traktem przez Przecławice, Rzędowice na spotkanie, zamierzając rozegrać prawdopodobnie w rejonie Winiar bój spotkaniowy.

Rankiem 4-go kwietnia, pomiędzy 6 a 7-ą, czoło straży przedniej korpusu polskiego wchodzi w rejon Imbramowice—Gruszów i tu spotyka się ze szpicą korpusu Tormasowa, którą stanowią kozacy dońscy majora Adriana Denisowa. W krótkim starciu kozacy szybko się wycofują, obu stronom wszakże udało się wziąć niewolnika.

Pod Imbramowicami Kościuszko zorientował się już w sytuacji. Zrozumiał, że spotkał się tylko z częścią sił rosyjskich, że przyjście bitwy na tej osi grozi niebezpiecznym oskrzydleniem przez grupę gen. Denisowa. Postanawia więc — wy-

ślizgnąć się gwałtownie z kleszczy i forsownym marszem na północ przerzucić swe siły z traktu Kraków-Skalbmierz na drogę Słomniki-Działoszyce.

W nowej sytuacji taktycznej, nieprzewidzianej planem Denisowa, Tormasow, by nie pozwolić przeciwnikowi uniknąć walki i daleko odskoczyć, zmuszony jest posuwać się za nim na północ, a więc porzucić swoją oś marszu.

Trzeba wyraźnie powiedzieć, że o napotkaniu nieprzyjaciela i przyjęciu nowego kierunku, stwierdzają to zgodnie raporty obu dowódców rosyjskich, Tormasow lojalnie meldował generałowi kozaków. Do niego również kierował pochwyconego jeńca.

Tormasow, żołnierz i dowódca doświadczony, oceniając słusznie, że marsz w kierunku północnym odsuwa go od Denisowa i utrudnia współdziałanie z nim, usiłuje kilkakrotnie zagrodzić drogę Kościuszce i udaremnić posuwanie się na tym kierunku.

4. Zajęcie stanowisk w rejonie Dziemierzyc — Janowiczek, góry kościejowskiej. Ugrupowanie polskie, rosyjskie. O. de b. Kościuszki, Tormasowa. Sytuacja przed bitwą.

W ten sposób dochodzi do drobnych starć kawaleryj w rejonie Lelowice, Wrocimowice i w końcu pomiędzy godz. 10-tą a 11-tą przy zajmowaniu przez korpus polski pozycyj na polach wsi Dziemierzyc i Janowiczek, gdzie zdecydował Kościuszko zorganizować obronę.

Tormasow bowiem osiągnął już wzgórza kościejowskie i zamknął kierunek na Działoszyce. Dalszy marsz wąskim parowem, którym przechodzi droga na Racławice-Kościejów, to klęska w tej ciaśniźnie.

Rosjanie zajęli dominujące w okolicy wzgórza Kościejowskie, wznoszące się stromo od zachodu. U podnóża przepływa Ścieklec. Stanowisko to, co słusznie podnosi w swoim raporcie Kościuszko, spełnia warunki doskonałej obrony, działania zaczepne ze strony polskiej nie mają żadnych warunków powodzenia. Punktem obserwacyjnym Tormasowa, o zasięgu widoczności bardzo dużym jest cota 336, najwyższe wzniesienie w tym terenie, t. zw. Góra Zamczysko.

Kościuszko zajmuje przeciwległe wzgórza, wiele niższe, o spadku łagodnym. Osią polskich pozycyj jest idąca dość głębokim wąwozem droga ze Słomnik do Działoszyc (mało

uczęszczana, istnieje do dnia dzisiejszego. Droga ta łączy wieś Dziemierzyce z Janowiczkami. Północną stronę drogi pokrywał las mieszany, niezbyt gęsty. Obronę organizuje Kościuszko na obydwu stronach drogi. Centrum tworzy piechota, która ugrupowuje się w dwóch rzutach, mniej więcej wzdłuż bocznej dróżki odchodzącej od drogi Dziemierzyce—Janowiczki na płd. wsch. przez wzgórze 299 i na przedłużeniu tej dróżki na płn. zach. prowadzącej do dzisiejszego dworu dziemierzyckiego. Lewe nasze skrzydło, brygada Madalińskiego i szwadrony 4-go pułku straży przedniej, obsadzają teren dzisiejszego dworu dziemierzyckiego, Zwrócone frontem na płn. wsch. załamują się nieznacznie od tyłu. Skrzydło prawe, brygada Mangeta, zajęła teren na południe od coty 299, również załamuje się cokolwiek do tyłu na zachód, pewien spadek terenu nad Ściekicem stwarza tu korzystniejsze warunki szarży, niż na polskim lewym skrzydle. Część artylerii wysunięto przed piechotą, część wyzyskano na skrzydłach, w lukach między piechotą i jazdą. Koncentracja ognia podłużnego przewidziana na skrzyżowaniu dróg: Dziemierzyce-Janowiczki i Wrocimowice-Janowiczki. Kosynierów zgrupowano na razie za zaroślami i za zagajnikiem (dziś nieistniejącym już) na południowej stronie drogi, w pobliżu Dziemierzyce-wieś. Łagodny spadek terenu ze wzgórza 299 na Dziemierzyce-wieś, daje im ukrycie. Stanowią oni odwód. Tabory i ambulans zajęły prawdopodobnie samą wieś Dziemierzyce.

Tradycja głosi, że kwaterą Kościuszki był stary dwór w Dziemierzycach, położony, w stosunku do dzisiejszego, o 300—400 mtr. na wschód. Kościuszko jednak, i co do tego opinia jest zgodna, dowodził bitwą ze wzgórza 299.

Wysunięto silną placówkę: część strzelców 2 p. p. na przedni skraj lasku przy Janowiczkach, by nieprzyjaciel nie wykorzystał ukrytego podejścia.

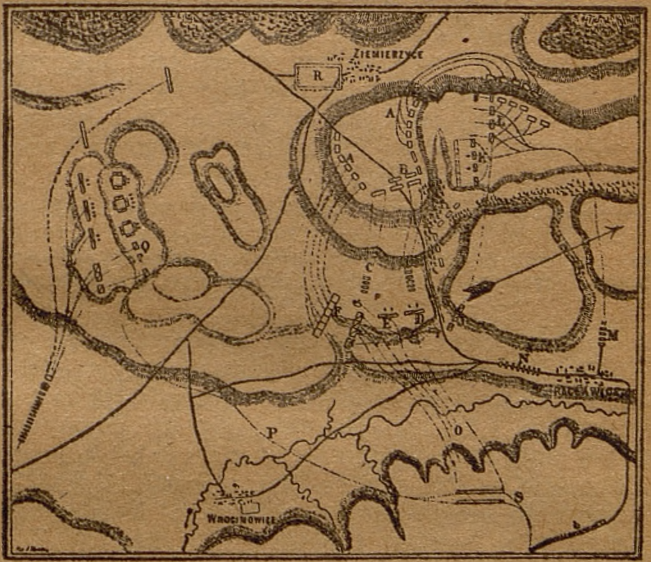
Na podstawie raportów do Komisji Wojskowej w okresie redukcji, zachowanych częściowo nawet z drugiej połowy marca 1794 r., jesteśmy w możności odtworzyć ordre de bataille armii Kościuszki, zupełnie zbliżony do rzeczywistości.

Na siły polskie składały się 5½ bat. piechoty (dwa — 6 p. p.; dwa — 3 p. p.; jeden — 2 p. p., oraz 2 komp. 7 p. p.) ponad dwie brygady jazdy (Madaliński, Manget prawie cały i 2 szw. IV pułku jazdy), korpus kosynierów, pewna, nieznaczna zresztą, ilość ochotników. Stanowi to łącznie 4000 do 4100 wojska regularnego, w tym połowa jazdy, nadto 1920 — jak podaje

Śląski — kosynierów. Artylerię Kościuszki stanowiło 12 dział, pochodzących z arsenału krakowskiego. Musiały być one wagomiaru średniego (6 funtowe, śpiżowe), lub więcej niż średniego, bo innych, według szczegółowych wykazów z końca lutego i początków marca 1794 r., w arsenale krakowskim nie było. Niezależnie od tego rozporządzał Kościuszko pewną ilością małych działek piechoty, których część zdobył Madaliński na Prusakach.

W gorszej wiele sytuacji jesteśmy, jeśli chodzi o zestaw sił rosyjskich. Nie mając prawie ordre de bataille oddziałów rosyjskich, walczących pod Racławicami, możemy jedynie posłużyć się ogólnymi danymi o stanach jednostek rosyjskich w Polsce.

Gdyby przyjąć w oddziałach rosyjskich pełne stany, to siły Tormasowa, rozporządzającego przy wejściu w walkę nie 2-ma (raport Tormasowa), lecz 3-ma baonami piechoty, 7 szw. jazdy,



Załączony plan bitwy racławickiej, wg. oryginalnego rysunku współczesnego, pochodzi z archiwum Ministerstwa Wojny w Wiedniu. Wyzyskany już w pracach. K. Górskiego i Korzona, przedstawia ugrupowanie i przebieg bitwy w ogólnych zarysach, zgodnie z rzeczywistością. Oddał on cenne usługi historiografii racławickiej (objaśnienie liter na stronie 17-ej).

6 sotniami kozaków wynosiłby plus-minus 4200, w tym 2600 piechoty i 1600 jazdy. Ale stany faktyczne w pułkach rosyjskich stanowiły co najwyżej ⅔ etatów, Tormasow liczył więc ok. 1700 bagnetów i ok. 1200 szabel, w przybliżeniu do 3000 ludzi, przy dwunastu działach, z tego, jak podają zgodnie źródła rosyjskie, omawiające straty — sześć o wagomiarze średnim i sześć — więcej niż średnim. Były też, zdaje się i 2—3 działka batalionowe.

Przewaga liczebna Kościuszki była dość znaczna (Tormasow 3000, Polacy 6000), ale pamiętać należy, że ⅓ jego sił, to milicja chłopska, niewyszkolona, niezorganizowana jeszcze, uzbrojona tylko w kosy, piki, siekiery, a nawet w kije. Od jej zachowania się w ogniu zależy w dużej mierze wynik walki.

Z drugiej strony wszystko za tym przemawia, iż Denisow (2 bat., 6 szw., 6 sęcin kozaków, razem około 1200 szabel i bagnetów przy 6 działach) weźmie udział w walce i zaważy na jej wyniku.

Godziny 11—16-a, to tak trudny moralnie dla młodego, w dużej swej części doraźnie szkolonego wojska polskiego, okres wyczekiwania bitwy w obliczu nieprzyjaciela. W jeszcze trudniejszej sytuacji znajduje się teraz jego wódz ze swoim nielicznym sztabem, zwłaszcza, że z każdą chwilą wzrasta niebezpieczeństwo nadejścia Denisowa i połączenia przed bitwą grup obu generałów rosyjskich.

Sytuacja przed bitwą przemawia za przegraną Kościuszki.

5. Przyczyny opóźniania się Denisowa, zamknięcie operacyj na Proszowice — Koniuszę, decyzja połączenia się z Tormasowem, trudności marszu na północ.

Denisow tymczasem opóźnia się. Wprawdzie, po otrzymaniu meldunku od Tormasowa o spotkaniu nieprzyjaciela, wzmacnia go kombinowanym batalionem grenadierskim z pułków Nowogrodzkiego i Uglickiego pod ppłk. hr. Tomatisem, sam wszakże nie zmienia kierunku i z resztą swojej kolumny kontynuuje obejście na Proszowice. We wszystkich trzech raportach pisanych do Igelströma po przegranej bitwie, uzasadnia swoją decyzję w sposób niejasny i wykrętny. Z uporem powtarza wielokrotnie, że spodziewał się w Koniuszy spotkać zorganizowaną przez Kościuszkę obronę . . . Jaką rolę odegrała w tym rywalizacja tych dwu generałów rosyjskich? Niewątpliwie — wskazuje na to ich korespondencja przed bitwą — stosunki nie były przyjazne. Brak dyscypliny ze strony Tormasowa jest odpowiedzią na opryskliwy, obraźliwy ton roz-

kazów generała kozaków dońskich. Czy jednak badacz, uzasadniając tym niestawienie się na czas na pole bitwy Denisowa — nie posunie się za daleko?

Pewne jednak naświetlenie tej sprawie dają raporty Denisowa, zwłaszcza pierwszy meldunek z datą 5. IV o przegranej przez Tormasowa bitwie. Odnosi się na ogół wrażenie, że generał kozaków nie orientował się w sytuacji. Przerzucenia przez Kościuszkę sił na nowy kierunek Słomniki-Działoszyce oczywiście nie przewidywał, do meldunku Tormasowa nie przywiązał wagi, mógł sądzić, że kolumna ta spotkała się tylko z częścią jazdy Kościuszki opóźniającą zaczepne działania nieprzyjaciela na trakcie Skalbmierz-Koniusza. Nie przewidywał, że Tormasow tak znacznie się oddali od poprzedniej osi marszu (traktu skalbmierskiego). Dopiero doszedłszy nieomal do samych Proszowic, przekonał się, że Kościuszko porzucił już swoje stanowiska.

Gwałtownym marszem na północ nad Ściekłcem usiłuje teraz naprawić błąd ... Ale terenu objętego działaniem i położenia Tormasowa nie zna. Utracił łączność. Błądzi... sam to przyznaje z pewną skruchą.

Koń i żołnierz wyczerpani długim, ciężkim marszem, powierzchnia podmokła, śliska, teren trudny, nieznany ... w żołnierskich, jędrnych słowach opisuje Denisow warunki tego marszu.

6. Rozkaz wejścia w walkę dla Tormasowa, rosyjski plan rozegrania bitwy. Przegrupowania Tormasowa przed wejściem w walkę. Zadanie i środki centrum i prawego skrzydła rosyjskiego.

Już na wzgórzach kościejowskich około godziny 13-ej, pisze w raporcie Tormasow, dołącza do niego batalion Tomatis. Jego dowódca dla innych wprawdzie warunków taktycznych, ale przynosi rozkaz walki. Tormasow zwołuje naradę, w wyniku której Rosjanie opuszczają swe stanowiska na wzgórzach kościejowskich.

Tormasow decyduje się zaatakować Kościuszkę dwiema kolumnami. Kolumna główna stanowi centrum. Dowodzi tu sam Tormasow. Składa się z doborowych jednostek liniowych: a) z II bat. jegrów pod dowództwem mjr. Temirazjewa, b) bat. grenadierskiego pod ppłk. hr. Tomatisem, c) 4-ch szw. jazdy pod dowództwem płk. Murowcowa, d) 5-iu secin kozaków z pułku mjr. Denisowa i z e) całej nieomal artylerii, tj. 10—11 dział polowych. Kolumna ta schodzi na drogę do Działoszyc przez Zakościele-Janowiczki i rozwija się

na polach wsi Dziemierzyce-Janowiczki, w widłach krzyżujących się dróg: Dziemierzyce-Janowiczki i Janowiczki-Wrocimowice. Działa wytaczają Rosjanie w pierwszy rzut rozwijającej się piechoty. Nawała ogniowa przewidziana została na polskie lewe skrzydło i centrum. Zadaniem tej kolumny jest związać przeciwnika siłą ognia, ściągnąć na siebie gros jego sił, umożliwić w ten sposób złamanie lewej polskiej flanki przez własną kolumnę prawą (manewrową) i wreszcie wesprzeć to uderzenie.

Siły rosyjskie na skrzydle prawym, według planu Tormasowa mają stanowić masę manewrową, w składzie: a) III-ci bat. jegrów, d-ca ppłk. Pustowałow i narazie d-ca całości, b) trzy szw. jazdy, d-ca ppłk. Obreskow, c) 1 sotnia kozaków z d-cą mjr. Denisowem. Jeśli chodzi o wyposażenie w artylerię tej grupy, to istnieją dwie wersje: 1. miała przydzielone oprócz działek piechoty 1—2 działa polowe i 2. rozporządzała tylko działkami piechoty. Kolumna ta dokonała znacznego obejścia: ze wzgórz kościejowskich schodzi ona na teren wsi Racławic, skąd nieistniejącą już drogą do Marchocic, równoległą prawie do dzisiejszej szosy miechowskiej, prowadzącą przez las. Po wyjściu z lasów marchocickich rozwija się na dworskich polach Dziemierzyc. Natarcie to wyszło z północy, podejście miało zakryte. Zadaniem tej kolumny jest uderzyć gwałtownie na prawe polskie skrzydło, wedrzeć się z flanki na umocnione stanowiska piechoty polskiej i w walce połączyć się z centrum Tormasowa.

Logicznie, w tym układzie: lewe skrzydło Rosjan miała stanowić kolumna gen. Denisowa, nadejścia którego gorączkowo oczekuje Tormasow.

Zetknięcie nastąpiło na skraju lasku, gdzie strzelcy 2-go p. p. dali ognia do posuwających się kozaków Adriana Denisowa.

7. Rozwinięcie centrum Tormasowa. Początek bitwy, wymiana ognia artylerii, walka jazdy. Wyniki.

Pierwsze rozwija siły główne-centrum rosyjskie. Jest godzina 15-ta, gdy rozpoczyna się bitwa. Artyleria rosyjska rozpoczyna akcję. W ogniu artylerii przeciwnika, rażącej skutecznie ogniem bocznym, do szwadronów kawalerii brygady Mangeta wkrada się zamieszanie, są znaczne straty zwłaszcza w koniach. Tymczasem na polach wsi Dziemierzyce rozwijają się szwadrony pułków Achtyrskiego i Elizawietgradzkiego. Szarżują. W ślad za nimi kozacy dońscy. W starciu z kawale-

rią Mangeta Rosjanie zdecydowanie górują. W ponownym starciu szyk polski załamuje się, powstaje popłoch. Brygada opuszcza pole walki w rozsypce. Zdarzają się wypadki ucieczki. Ostatni jednak szwadron, porwany przez bohaterskiego chorążego Nevè, stawia opór i kontrszarżuje. Brygada stopniowo włącza się w akcję i powraca stopniowo na teren walki ... ale przyjdzie jej stoczyć ciężki krwawy bój z jazdą rosyjską.

Z kolei ogień artylerii rosyjskiej przenosi się na centrum polskie. Zamieszanie — mówią o tym źródła austriackie — wkrada się teraz do batalionów piechoty ... Takie są początki ...

W sytuacji tej, trudnej niezmiernie, gdy inicjatywa pozostaje całkowicie w rękach przeciwnika, oddaje pierwsze salwy artyleria polska. Jej skuteczny, znakomicie celny ogień nie tylko zatrzymuje atak centrum Tormasowa, ale i wytrąca Rosjanom inicjatywę. Podkreśla to bardzo mocno — Tormasow w swoim raporcie; „działanie artylerii nieprzyjacielskiej" — pisze — „powstrzymało nasze natarcie. Było ono wprost okrutne."

Stopniowo Kościuszko opanowuje sytuację. Bitwa wchodzi w dalszą fazę ...

8. Rozwinięcie się bitwy. Przebieg walki na polskim lewym skrzydle, dalsze przegrupowania w czasie bitwy.

Zaawizowany o zbliżaniu się kolumny Pustowałowa, doceniając niebezpieczeństwo tego flankowego natarcia, Kościuszko postanawia znieść tę grupę już w marszu, silnym uderzeniem kawalerii. Niezwłocznie po wyjściu Rosjan z liziery lasu szarżuje Madaliński, ale kawaleria polska przywitana silnym ogniem nieprzyjaciela,- załamuje się i wycofuje. Madaliński ponawia szarże parokrotnie, nie przynoszą one jednak rozstrzygnięcia, gorzej, bo Rosjanie po rozwinięciu tu całej piechoty przeważają, Polacy ponoszą straty. Naczelnik wprowadza w akcję teraz i piechotę (4 kompanie z 6 p.p. i 7 p.p.). Ale Tormasow dobrze obserwuje pole bitwy. Dostrzega przegrupowania polskie, wycofuje c a ł ą jazdę, walczącą dotąd z brygadą Mangeta i wzmacnia nią Pustowałowa. Jazdą dowodzi płk. Muromcow i jemu też zostaje podporządkowany cały ten odcinek. Ze swoim prawym skrzydłem, kolumną Muromcowa, którą od centrum oddziela lasek, Tormasow stara się utrzymać łączność. Wydziela w tym celu część II-go bat. jegrów pod dowództwem mjr. Temirazjewa, który w krótkim starciu ze

strzelcami 2 p. p. opanowuje przedni skraj lasku koło Janowiczek.

9. Kulminacyjny moment bitwy. Elementy decyzji Kościuszki, natarcie piechoty i kosynierów — osiągnięcia. Załamanie się centrum rosyjskiego — jego odwrót.

Bitwa dojrzewa . . . Dowódcy zmierzają do rozstrzygnięcia . . .

Kościuszko ocenia, że Tormasow swoje centrum znacznie osłabił, że na osłonę swojej artylerii pozostawił niewiele więcej nad jeden batalion. Postanawia wyzyskać wytworzoną w centrum przeciwnika sytuację i szukać rozstrzygnięcia atakiem na białą broń. Decyduje się wprowadzić do walki cały swój odwód: milicję chłopską. Na decyzji tej również zaważyły dalsze meldunki o posuwaniu się Denisowa do Wrocimowic. Słusznie obawiając się załamania swego lewego skrzydła w trakcie organizowania natarcia na centrum, naczelnik wzmacnia Madalińskiego większą częścią swojej piechoty, powierzając teraz dowództwo na tym odcinku gen. Zajączkowi, który dotąd spełniał, w pewnym stopniu, funkcje szefa sztabu.

Natarcie piechoty i kosynierów na centrum Tormasowa, poprzedzone zostało gwałtownym ogniem artylerii polskiej. Podnosi to w raportach Tormasow, pisząc: „artyleria polska unieruchomiła jedno działo i dwa jaszcze."

Kolumną szturmową złożoną z 320 kosynierów i 4-ch kompanii piechoty (3 p. p. i 6 p. p.) Kościuszko dowodzi osobiście.

Żywą tradycję tego momentu bitwy, relacje pamiętnikarzy polskich, potwierdza również Tormasow: „Mimo silnego obstrzału, sam Kościuszko na koniu towarzyszył pierwszemu szeregowi chłopów, uzbrojonych w piki".

Ugrupowanie do natarcia było następujące: kolumna szturmowa tworzy zwartą całość. Obie flanki zajmuje regularna piechota, środek stanowią kosynierzy. Za podstawę wyjściową ma ono płd. zach. stok wzgórza 299. Kierunek natarcia ze wzgórza 299 na stanowiska artylerii rosyjskiej 300—400 m na płd. zach. od skrzyżowania dróg Dziemierzyce-Janowiczki i Janowiczki-Wrocimowice. Cała kolumna posuwa się w terenie otwartym łagodnie opadającym na stanowiska nieprzyjaciela krokiem przyspieszonym, raz po raz oddając salwy. Na 100—200 m przed osią baterii rosyjkich, kosynierzy nacierają biegiem. Wspiera ich na skrzydłach bagnetem piechota regularna.

Tormasow przyznaje to z całą szczerością, uderzeniem zwartą masą był całkowicie zaskoczony.

Artyleria rosyjska mniej sprawna od naszej, oddaje jedną, najwyżej dwie salwy i milknie zaskoczona brawurowym atakiem.

Wszelkie próby zorganizowania przeciwuderzenia, mimo osobistego przykładu dowódców rosyjskich, nie mają powodzenia.

Kościuszko wprowadza teraz w walkę całość swoich sił: „wszystką milicję chłopską" ...

Wywiązuje się walka drobnych grup i jednostek, człowieka z człowiekiem ... zawzięta i krwawa, przechodzi w rzeź ... Batalion grenadierski ppłk. Tomatisa traci chorągiew, z rannym dowódcą cofa się wykrawiony, zdziesiątkowany ... W ślad za nim II-gi bat. jegrów mjr. Temirazjewa, rozbity, nim zdołał wesprzeć centrum. W ogniu bezprzykładnie zaciętej walki, ociekający krwią wroga i własną, kosynierzy sami wprzęgają się do zdobycznych dział i wyciągają je z krwawej topieli.

Odwrót Tormasowa na Racławice osłania cała kawaleria regularna rosyjska, na gwałt ściągnięta z lewego skrzydła. Dowódca jej płk. Muromcow, ranny, odcięty od swoich dostaje się do niewoli.

10. Końcowa faza bitwy. Możliwość wejścia w walkę Denisowa. Opór Pustowałowa. Natarcie kosynierów na lewym polskim skrzydle, złamanie oporu jegrów.

Jest to końcowa faza bitwy. Ale niebezpieczeństwo dla wyczerpanej nadmiernymi trudami zażartej walki młodej armii polskiej, bynajmniej nie minęło. Widać już, że zbliża się ku placowi boju kolumna Denisowa. Trzeba zakończyć za wszelką cenę bitwę na lewym skrzydle. Kościuszko organizuje tu silne natarcie piechoty, które prowadzi znów osobiście, wraz z Zajączkiem. Ale jegrzy mimo dużej przewagi przeciwnika i wzrastających strat własnych trzymali się dobrze, prowadząc dalej mocny ogień.

Nie sposób, czytając tak rzeczowy, tak obiektywny w ocenie przebiegu walki raport Tormasowa, nie przyznać z kolei wysokiej wartości bojowej batalionowi jegrów pod dowództwem ppłk. Pustowałowa. Dopiero i tu — pisze Tormasow — przełamał ich opór atak kosynierów prowadzony znów przez samego Naczelnika. Jegrzy, dziesiątkowani, wycofują się, pozostawiając na pobojowisku zwały zabitych, wśród nich — walecznego dowódcę.

Bitwa na polu wsi Dziemierzyc i Janowiczek jest skończona.

11. Powody dla których Denisow nie wszedł w walkę.

W tych warunkach, między godziną 18—19-ą w rejon Wrocimowic wchodzi Denisow. Ukazanie się tej kolumny, według raportu Tormasowa, miało wywołać ponowną panikę w brygadzie Mangeta. Denisow nie wszedł w walkę — jak melduje Igelströmowi — dla trzech powodów: 1. Od ustępującego Tormasowa otrzymał informacje o dużej przewadze liczebnej przeciwnika. 2. Nie orientował się w terenie. 3. Zapadał już zmrok.

12. Straty. Lista awansów ze strony polskiej—Głowacki.

Bitwa była krwawa. Niewolnika brano mało. Ze strony rosyjskiej liczba zabitych i rannych przekroczyła 1000 żołnierza, polskie straty mniejsze o połowę. Interesująca jest długa lista awansów w korpusie oficęrskim. Zasługuje ona na uwagę tym większą, że zawiera wiele nazwisk wybitnych oficerów ks. Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. Przesądza ich udział w bitwie racławickiej. Są też awanse w korpusie podoficerskim do stopnia chorążego, liczne zwłaszcza w regimencie grenadierów krakowskich: z datą 13 kwietnia lok. 1. Józef Świstacki ze wsi Zakrzewie, lok. 2. Wojciech Głowacki ze wsi Rzędowice.

13. Klasyfikacja manewru i ocena prowadzenia bitwy przez Kościuszkę. Opinia dowódców rosyjskich.

Ogólna ocena manewru, jak również prowądzenie bitwy przez Kościuszkę zostały uwidocznione w tekście. Plan rosyjski oparty na kanonach strategii fryderycjańskiej (skombinowane obejście przeciwnika dwiema kolumnami ze spotkaniem w akcji na placu boju) osiągnął pod Racławicami znakomitą rutynę, nie wyszedł jednak poza granicę szablonu. W zestawieniu manewr ze strony polskiej ma cechy nowatorstwa (wysunięcie się z kleszczy dwóch przeważających w sumie kolumn nieprzyjaciela, przerzucenie sił na inny kierunek) — i dlatego można, mimo wszystko, znaleźć pewne analogie z bitwami kampanii włoskiej Bonapartego, pod Rivoli przede wszystkim, choć różnica poziomów jest znaczna, nawet terminologia winna być odrębna.

Kościuszko uniknął klęski pod Imbramowicami dzięki wymanewrowaniu przeciwnika, zwycięstwo pod Racławicami

odniósł przez zaskoczenie go nową metodą walki piechoty (natarcie zwartą masą, krokiem przyspieszonym, po przygotowaniu ogniowym), nieznaną taktyce linearnej.

Zaszczytna — na podstawie raportów dowódców rosyjskich — ocena Kościuszki wybitnego współcześnie im generała, jest, rzecz oczywista, niekompletna, niezadowalająca. Ciasne, — ze względów redakcyjnych — ramy szkicu nie pozwoliły na zwrócenie uwagi na społeczną stronę tego zjawiska, na podsumowanie osiągnięć Kościuszki, — organizatora, czy pełniejszą charakterystykę Wodza.

14. Dysproporcja wyników taktycznych i konsekwencyj politycznych wygranej bitwy.

Po bitwie racławickiej Kościuszko cofa się pod Kraków, wraca do podstawy operacyjnej i trzeba długiego okresu czasu i zmian w położeniu ogólnym, by mógł na nowo podjąć działania zaczepne.

Operacyjnie bitwa pod Racławicami nie miała następstw rozstrzygających. Ale miała doniosłe nad wyraz znaczenie — moralne, polityczne.

Przesądzała o dalszym istnieniu Insurekcji. Zapewniła jej rozwój.

Za sprawą zwycięstwa racławickiego — powstaje Warszawa!

OBJAŚNIENIE LITER

do planu bitwy pod Racławicami, stoczonej dnia 4-go kwietnia 1794 roku przez generała Kościuszkę przeciw ces. rosyjskim generałom Tormasowowi i Denisowowi.

A. Polska konnica B. Piechota, składająca się z całego pułku Wodzickiego, 1 batalionu pułku Czapskiego i zbrojnych chłopów, nadto 6 trzechfuntowych armat. C. Natarcie uzbrojonych chłopów. D. 2 bataliony strzelców Białowskiego. E. 1 batalion rosyjskich grenadierów. F. Natarcie polskiej konnicy, a) konnica rosyjska, f) g) 100 dońskich kozaków. J. 3 szwadrony konnicy rosyjskiej. K. 4 bataliony strzelców rosyjskich. L. 3 szwadrony konnicy rosyjskiej. M. Marsz prawego skrzydła pod dowództwem generała Tormesowa do ataku, b) tegoż korpus. N. Marsz lewego skrydła tego samego korpusu do ataku. O. Odwrót pobitych Moskali. P. Połączenie korpusów generała Denisowa z korpusem generała Tormasowa. Q. Odwrot generała Denisowa. R. Tabor Polaków. S. Odwrót zjednoczonego korpusu.

NASZA DZISIEJSZA POWIEŚĆ O ŚREDNIOWIECZU

1. Do pospolitych, często w myśleniu naukowo-literackim używanych pojęć należy jednokrotność dzieła literackiego, jako jedna z najznamienniejszych właściwości wytworów, stanowiących przedmiot badań nauk humanistycznych. A jednak, chcąc pojęciem tym posługiwać się poprawnie, należałoby poddać je bardzo dokładnej analizie, wówczas dopiero okazałoby się, że owszem, da się ono utrzymać, ale w pewnych, bardzo wąskich granicach, z których zazwyczaj nie zdajemy sobie sprawy. Okazałoby się wówczas m. in., że stary aforyzm „Historia powtarza się", da się również w znacznej mierze utrzymać, choć na pozór jest on wręcz sprzeczny z przytoczonym pojęciem, że tzw. jednokrotność w swej ograniczonej postaci da się sprowadzić do odpowiednio zmodyfikowanej powtarzalności i że dopiero tak skonstruowane pojęcię jest naprawdę przydatnym środkiem do rozumienia pewnych, bardzo doniosłych procesów historycznych, związanych z życiem zjawisk literackich.

Nie wdając się tutaj w szczegółowe rozważania tej wysoce zawiłej sprawy, choć — być może — doprowadziłyby one do wykrycia jednego z praw, rządzących rozwojem życia literackiego czy dziejów kultury literackiej, rzecz całą spróbuję przykładowo zilustrować zestawieniem dwu, odległych od siebie a jednak bliskich sobie epok w naszej historii literackiej, czasów Królestwa Kongresowego i dzisiejszych. Przed kilku tygodniami T-wo Naukowe Warszawskie postanowiło przystąpić do upowszechnienia najstarszego rękopisu naszej najstarszej książki, „Kroniki" Galla. W toku pracy związanej z realizacją tego projektu sięgnąłem do wydania Galla z r. 1824. Ku swemu zdziwieniu dowiedziałem się, że praca ta, wykonana przez Bandtkego, była wynikiem uchwały T-wa Przyjaciół Nauk w Warszawie, zapadłej ok. 1804 z inicjatywy Tadeusza Czackiego. Zdziwiłem się, do kręgu bowiem analogii dawno dostrzeganych przybyła jedna jeszcze, niepozbawiona swoistej wymowy. Analogie te zaś, to zwrócenie się w czasach bardzo

głębokich wstrząsów politycznych i społecznych, w pełnym rozgwarze haseł rewolucyjnych w czyn wprowadzanych, ku dwu podstawowym źródłom życia zbiorowego, by w nich znaleźć rękojmię odnowy wewnętrznej, ku kulturze ludowej i ku przeszłości narodu. Prace naukowo-organizacyjne, naukowe i literackie pokolenia, do którego należeli Czacki, Woronicz, Niemcewicz, skupione w znacznej mierze w warszawskim T-wie Przyjaciół Nauk, były, z perspektywy lat, które nas od nich dzielą, próbami wydobycia z świadomości narodowej sił, których mobilizacja była nieodzowna w chwilach tych wszystkich przeobrażeń, które przeorały i unowocześniły Polskę czasów napoleońskich. I nie wydaje mi się rzeczą czystego przypadku, że coś podobnego występuje bardzo wyraźnie w dzisiejszej naszej kulturze literackiej, znajdując wyraz w takich czy innych, niezawsze fortunnych poczynaniach organizacyjnych na polu zarówno literatury, jak nauki o literaturze, jak całej kultury literackiej. Przeciw przyjmowaniu przypadkowości lub, co na jedno wychodzi, hołdowaniu przemijającej koniunkturze, przemawia mym zdaniem spontaniczność pewnych wystąpień indywidualnych, tak jednak sobie bliskich, iż można w nich dopatrywać się przejawów działania jakichś ukrytych procesów, których istotę i sens wyjaśnić by winny dociekania socjologa kultury duchowej i społecznej. Jaskrawym przykładem tej nieprzypadkowej zbieżności jest nieoczekiwany zwrot ku średniowieczu i spontaniczność literacko wyrażonego kultu Bolesława Chrobrego, a więc króla, który nigdy nie cieszył się nadmiernymi względami naszych pisarzy. I to kultu, idącego od trzech dalekich sobie punktów, powieść bowiem Parnickiego powstała w Kujbyszewie, powieść Bunscha w Krakowie, powieść Grabskiego pod Warszawą. Jeśli do tego dodać inne powieści, średniowieczne (i z epok późniejszych), oraz dramaty M. Dąbrowskiej i J. Zawieyskiego, a więc autorów, o których zainteresowaniach mediewalnych trudno było myśleć, wyrazistość dzisiejszej mediewistyki literackiej wystąpi w całej pełni.

2. W przeglądzie jej na miejsce pierwsze wysuwa się ogromna, dwutomowa powieść Karola Bunscha o „Dzikowym skarbie”,[1] nie dlatego, że Chrobry pojawia się w niej jako niemowlę „zajęte ssaniem kciuka prawej ręki, która miecz o

[1] Karol Bunsch: Dzikowy skarb. Powieść z czasów Mieszka I w 2 tomach. Gebethner i Wolff, W-wa 1945. T. 1 s. 335, nlb. 1; T. 2 s. 321, nlb. 3.

kijowskie bramy wyszczerbić miała", ale przede wszystkim dlatego, iż autor jej utrzymuje się najbardziej na tradycyjnej linii romansu historycznego typu, znanego z dzieł W. Scotta, Kraszewskiego i Sienkiewicza, że obce mu są skłonności nowatorskie z zakresu techniki powieściowej, w zamian za co w ramach swej „starej baśni" gromadzi niezwykłe bogactwo pierwiastków tematycznych, zdolnych przemówić do najszerszych sfer odbiorców literackich. Ambicją „Dzikowego skarbu" jest bardzo rozległe malowidło historyczno-obyczajowe Polski czasów Mieszka, uwzględniające te wszystkie czynniki polityczne, społeczne, religijne i w ogóle kulturowe, dzięki którym Polanie w ręku energicznego „kniazia", jak powieść uparcie Piastowica tytułuje, doprowadzili do przekształcenia przelewnej masy plemiennej, targanej tysiącami antagonizmów, w jednolite państwo. Opanowanie żywiołów anarchicznych, skupianie Mazurów, Wiślan, Pomorzan, walki z Rusią i, przede wszystkim, z napierającym od zachodu grabieżczym sąsiadem niemieckim, przełamywanie tradycyj rodowych i kapłańsko-religijnych, zaszczepianie nowych idei polityczno-kościelnych, są tymi czynnikami, które zarówno w opisach, jak w ujęciu charakteru postaci literackich, jak wreszcie w samym ustroju akcji powieściowej przewijają się stale i stanowią o jednolitości wizji zamierzchłej przeszłości. Wśród spraw tego rzędu najciekawiej ujęte jest bodajże zagadnienie chrystianizacji Polski. „Dzikowy skarb" zrywa tu bardzo zdecydowanie z naszą tradycją legendarną, wywodzącą się od Galla. Nie opieka cudem przybyłych aniołów lecz twarde konieczności natury politycznej rozstrzygają o przyjęciu nowej wiary przez Mieszka. Nie czynniki metafizyczne lecz praktyczne, organizacyjne, nakazujące zjednoczone politycznie plemiona zespolić przy pomocy urzędników kościelnych, współpracujących z świeckimi przedstawicielami władzy książęcej, wysuwają się stale na plan pierwszy na kartach powieści. Czynniki te jednak ujęte są tak poważnie, ich rozumienie i wprowadzanie jest w opowiadaniu źródłem życia wewnętrznego niemniej głębokiego, a bodajże nieraz nawet głębszego, aniżeli to się zdarzało w ujęciach opartych na podkładzie kronikarskiej legendy. Dla przykładu wskazać warto na moment, gdy ochrzczony Mieszko staje wobec konieczności pozbycia się swego zaufanego doradcy, jako osobnika wyklętego przez kościół. „Umiecie wy dbać o powagę i pożytek Kościoła — mówi do biskupa —, ja o państwo dbać muszę", i na tym tle dochodzi do ostrego konfliktu między

poczuciem woli własnej, jako źródła prawa u księcia, a poczuciem woli bożej u przedstawicieli duchowieństwa, konfliktu rozwiązanego zresztą przez autora z dużą pomysłowością.

Całą tę, wysoce zawiłą problematykę ideową, rozsnuwa stopniowo nie tylko zgrabnie zestrojona narracja, obejmująca sporo scen epizodycznych w akcji, niezbędnych jednak dla tła powieściowego, ale również charakterystyka postaci literackich, zwłaszcza samego Mieszka i wspomnianego przed chwilą jego doradcy, Zbrozły, wojownika, dyplomaty i niezrównanego lekarza w jednej osobie. Sam książę, dobry polityk, administrator i wojownik, ukazany w tych wymiarach, które przed laty przeszło dwudziestu ustalił St. Zakrzewski w studium o „Mieszku I jako budowniczym państwa polskiego", zachowując monumentalność ujęcia historycznego, żyje równocześnie pełnym życiem ludzkim, wpiętym w tok dziejów. Po rozbiciu Redarów i opanowaniu Jomsborga: „Mieszko stał na brzegu i oczyma ścigał ginące w oddali łodzie. Spełnił marzenie ojca. Czy jego syn spełni jego marzenia? Utorował mu drogę do ujścia Odry; zajść nią można wszędzie". Traktowany dyskretnie w takich i innych skrótach perspektywicznych, wysuwa się przecież „budowniczy Polski" na miejsce naczelne wśród obfitej galerii innych postaci powieściowych, jak zawodowy wojownik, bohaterski brat jego, Ścibor, żywych i wyrazistych, ale tak portretowanych, by samą swą odrębnością uwypuklały najistotniejsze rysy księcia. W galerii tej wyobraźnia autorska osobliwą funkcję wyznaczyła Zbrożle, z rodu książąt braniborskich, prawej ręce najpierw Ścibora później Mieszka. Postać to o konturach niemal fantastycznych, poczytywana w otoczeniu za czarownika, obdarzona tajemniczymi zdolnościami magnetyzerskimi i prorockimi, w osobie lekarza chorych dusz i rannych ciał łączy przebolesne doświadczenia życiowe z sobie tylko właściwym idealizmem, zapiekłą, śmiertelną nienawiść do Niemców z umiłowaniem wspólnoty słowiańskiej. Wychodząc z realistycznych ram powieściowych, w których niezupełnie mieści się z swą dziwnością, dopełnia jednak obrazu pierwiastkami, bez których powieści prehistorycznej nie umiemy sobie, od czasów romantyzmu co najmniej, wystawić.

Tym jednak, co „Dzikowemu skarbowi" powinno zapewnić długą i trwałą popularność, jest jej dobrze zestrojona fabuła, związana z postacią tytułową, wywodzącą się z bajek ludowych o dobrodusznym mocarzu, co strachu nie zna, postacią Dzika. Zbój leśny, pokonany przez księcia, poszukiwacz przygód, mi-

łosnych, pijackich i wojennych, z biegiem czasu możny władyka, niezdolny nawyknąć do praw, których nie rozumie i nie uznaje, co naraża go na ciągłe z nimi konflikty, w groteskowej swej karierze przeżywa kilkuletnią, słoneczną sielankę rodzinną, by wreszcie, po bohaterskiej obronie księcia, śmiertelnie raniony w zasadzce, doczołgać się do leśnej kryjówki i zakończyć życie stwory półdzikiej, bliższej przyrodzie niż społeczności ludzkiej. Połączenie rysów humoreski ludowej i groteski szekspirowskiej w Dziku, ożywienie kreacji tej duchem przyrody puszczańskiej pozwala i w tym prymitywie artystycznym przygodami swymi stanowiącym kościec powieści uznać duże wartości, zestrojone na modłę tradycyjną a przecież, może dzięki absurdalnemu wyolbrzymieniu, zharmonizowane z resztą tkani powieściowej.

3. Środowisko, mimochodem tylko ukazane w „Dzikowym skarbie", mianowicie Jomsborg, grojec normański u ujścia Odry, zidentyfikowany przez naszych historyków na zasadzie połączenia wiadomości kronikarskich z wskazówkami sag skandynawskich, jest tłem, a nawet częściowo bohaterem „Sagi o Jarlu Broniszu", również okazałej, bo obliczonej na trzy tomy powieści Wł. J. Grabskiego.[2] Przed lekturą „Zrękowin w Uppsali" warto dokładniej zapoznać się z jednym z rozdziałów monografii Zakrzewskiego o Bolesławie Chrobrym, gdzie historyk lwowski z całym przekonaniem podkreśla, iż problem pomorski czy raczej bałtycki w polityce pierwszych Piastów miał znaczenie niemniej doniosłe od sprawy walki z Niemcami, a równocześnie wywody swe opiera nie tylko na relacjach kronikarzy ale również na materiałach, na które historiografia dawniejsza skłonna była spoglądać z lekceważeniem, bo zaczerpniętych z tradycji literackiej Islandii czy Norwegii. Warto, powieściopisarz bowiem poszedł za historykiem i uwagę skupił na osadzie i wyczynach wilków morskich, wikingów, ujarzmionych już przez Mieszka, wyzyskiwanych zaś jako narzędzie polityczne przez Chrobrego. Środowisko to Grabski zbliżył i udostępnił czytelnikowi polskiemu, robiąc jednym z wikingów krewniaka i posła Bolesławowego, Bronisza, splatając jego losy z dziejami siostry Bolesławowej, Świętosławy — Sigrydy, królującej najpierw w Szwecji, później w Danii. W „Zrękowinach w Uppsali" na plan pierwszy wysuwają się, wbrew

[2] Władysław Jan Grabski: Saga o Jarlu Broniszu. I. Zrękowiny w Uppsali. Poznań b. r. 1946. Nakład Drukarni św. Wojciecha.

tytułowi a w zgodzie z podtytułem, nie dzieje samego Bronisza i jego miłości ku wdzięcznej Heidze, córce jarla norweskiego, Jaranda, lecz sprawy Sigrydy, jej wdowieństwa, narzeczeństwa z awanturniczym Jomborczykiem, później zdobywcą tronu norweskiego, Olafem Tryggwasonem, i jej ostatecznego małżeństwa z królem duńskim, Swendem Widłobrodym. Punktem kulminacyjnym powieści jest jej scena końcowa: Olaf przybywa na zapowiedziany ślub z Sigrydą do Uppsali, planując opanowanie Szwecji przy pomocy zamaskowanego najazdu; Sigryda, która przejrzała jego zdradzieckie zamiary, demaskuje go na uczcie, na której odbywa zrękowiny z przybyłym w chwili decydującej Duńczykiem, a rozbrojonego, upokorzonego i wściekłego Olafa każe odstawić do granic swego państwa.

Rzecz ciekawa, że nasi powieściopisarze — mediewiści, znajdują niezwykle wdzięczny materiał w dziejach Piastówien, sióstr Bolesława. Bunsch dał tedy w „Dzikowym skarbie" pyszny szkic dzikiej w swym nieopanowaniu Adelajdy, Grabski zaś bardzo sugestywnie umiał wniknąć w psychikę władczyni skandynawskiej, przyszłej matki Kanuta Wielkiego, ukazując w niej zmaganie się niewyżytych namiętności kobiecych „rudej suki", jak obelżywie określa ją jej rywalka, z dumą obrażonej królowej i poczuciem własnej godności, naturalnym u córki, siostry i żony potężnych dynastów. Świętosława „Sagi" ma w sobie coś z wielkich kreacyj szekspirowskich i należy do tych postaci, które pozostają na długo w pamięci czytelnika po odłożeniu książki, w której się je spotyka.

Jak wspomniałem, w porównaniu z jej dziejami blednie sprawa postaci tytułowej, jarla Bronisza i jego miłości ku pełnej uroku księżniczce skandynawskiej. Nie tylko zresztą miłości. Dzieje polskiego wikinga, chrześcijanina w trzecim pokoleniu, w zamierzeniach autorskich reprezentanta nowej kultury Polski piastowskiej, rysują się raczej mgliście. Występuje to zwłaszcza w sprawie jego stosunków z św. Wojciechem, odstawionym przezeń na brzeg, na którym apostoł miał tak niefortunnie przeprowadzić swą misję, a ukazanym na kartach powieści również w sposób bardzo niezdecydowany, trudno bowiem się połapać, czy jest to tylko nieszkodliwy maniak, czy fanatyk, czy jeszcze coś innego. A w związku z tym niewiele powiedzieć można również o powieściowym wizerunku Chrobrego, wyraźniejszym wszędzie tam, gdzie pośrednio wyczuwa się mądrą i przenikliwą myśl wielkiego władcy, posuwającą na

szachownicy dziejów niesforne figury skandynawskich zbójów, aniżeli tam, gdzie go się obserwuje bezpośrednio i pragnęłoby się uchwycić, na czym właściwie tajemnica jego wielkości polega. Trudno jednak na podstawie dotychczasowej obserwacji wyciągać jakieś pewne wnioski; „Zrękowiny w Uppsali" są częścią wstępną całości; części dalsze, dotąd nieznane, „Śladem Wikingów" oraz, i to chyba przede wszystkim, „Rok tysiączny", z natury rzeczy przynosząc inny rozkład akcentów powieściowych usuną wątpliwości, wobec których stawia czytelnika historia królowej szwedzkiej.

Już teraz jednak zorientować się można, że trylogia Grabskiego daleka jest od torów powieści historycznej typu scottowskiego, że autor tworzy ją raczej wedle schematów spopularyzowanych przez „sagi" Skandynawii dzisiejszej, znane choćby z twórczości S. Undset, o nikłej akcji a szeroko rozbudowanych tłach kulturowych i stopniowo odsłanianej psychologii postaci literackich dzięki czemu „sagi" te stają na pograniczu powieści i rozprawy historycznej.

4. To samo powiedzieć można o wydanej przed rokiem w Jerozolimie dwutomowej powieści T. Parnickiego „Srebrne orły",[3] przez autora pomyślanej jako wstęp dużego, czteroczłonowego cyklu, mającego objąć „Robotników, wezwanych o jedenastej" oraz „Złote orły", ogniwem zaś końcowym, na razie niezatytułowanym sięgającej w czasy Bolesława Śmiałego. „Srebrne orły" są dziejami Chrobrego i jego zabiegów o koronę królewską, ujętymi w sposób analogiczny jak w „Sadze o Jarlu Broniszu". Gdy bowiem Grabski politykę Chrobrego ukazał przez okienko spraw skandynawskich, od niej w tym czy innym stopniu zależnych, Parnicki spojrzał na nią przez wielki ośrodek rzymski, skupiający w sobie wszystkie nici życia europejskiego, przez plany papieża Sylwestra i cesarza Ottona III. Srebrne orły — to insygnia „patrycjusza rzymskiego", Bolesława, niesione przed jego rumakiem w czasie tryumfalnego pochodu cesarza w Rzymie, pochodu, w którym sam Bolesław udziału nie wziął. Dlaczego? — dlaczego patrycjusz Bolesław nie sięgnął po władzę, która jego skronie przyozdobić by mogła koroną cesarską, jego zaś syna, uczonego Mieszka tiarą papieską — oto pytanie, przewijające się przez całość „Srebrnych orłów" a rozwiązane dopiero na ostatnich stroni-

[3] Teodor Parnicki: Srebrne orły. Powieść historyczna. Jerozolima, 1944-45, Wydawnictwo „W drodze." T. I s. 353, nlb. 3, T. II s. 272.

cach powieści w rozmowie Chrobrego z synową Rychezą. Odwołując się do „nauki najmędrszej" Sylwestra, Bolesław „zwykł pragnąć każdego dnia tego jedynie, co w dniu tym osiągnąć można". Stąd zrozumiał on, że: „Mogę być i będę potężnym królem Słowian, niczyjej jak Chrystusa tylko władzy nad sobą nieuznającym, ale Rzymem Słowianin władać dziś nie może ni jako Cesarz, ni jako Patrycjusz". Co więcej, z natchnień Sylwestra zrodzone sny Ottonowe o światowładnym imperium, nie miały pokrycia w rzeczywistości, za ideą imperium bowiem kryła się powszechnie znana i wielekroć wznawiana idea, „pax Germanica", tułająca się dziś jeszcze jako koszmarny pogłos wrzasku o „przestrzeni do życia". „Dziś Imperium Rzymskie — mówi Chrobry — toż to samo co niemieckie królestwo; imieniem Romy Niemcy nienawiść swoją i wzgardę do innych ludów osłaniają; pod zasłoną imienia tego swoją, swego szczepu potęgę pomnażają. Aby inne szczepy łatwiej im ulegały, mamią je pięknymi słowami o jedności i równości ludów wszystkich w łonie Imperium różnoplemiennego. Zresztą nie tylko obcych mamią ale i swoich."

Za słowami tymi prześwitująca i tuż po nich przez dostojnika kościelnego sformułowana idea imperium prawdziwego, realizowanego przez kościół rzymski, imperium usymbolizowanego przez klucze, przez dobroć i miłość, jest osiowym zagadnieniem powieści, rozgrywającej się na terenie Rzymu i okolic, Rzymu czasów Gerberta — Sylwestra i Ottona III, wielkiego malowidła obyczajowego, utrzymanego w tonie tak głośnych niegdyś płócien literackich, tworzonych przez D. Mereżkowskiego. Zawiła i pogmatwana kronika rzymska epoki, gdy papieże jeden po drugim, zależnie od układu stosunków w stolicy wylatywali z niej jak z procy, a losy ich dzielili ich patronowie, cesarze; ścieranie się wpływów politycznych, idących z Bizancjum, z poza Alp, i namiętności miejscowych; próby opanowania potwornego chaosu przez jednostki, wzrokiem wybiegające przed wieki — oto w zarysach najogólniejszych tematyka „Srebrnych orłów", rangą swą nie ustępująca najambitniejszym próbom nowszej powieści historycznej, takim jak „Krzyżowcy", jak niesłusznie dzisiaj zapomniane tomy T. Jeske-Choińskiego, jak wreszcie pierwsza powieść samego Parnickiego o „Aecjuszu". Nad całością „Srebrnych orłów", opisowo i myślowo niezwykle bogatą, górują dwie postaci, przemyślane i wykonane bardzo starannie, genialny papież Sylwester i jego histeryczny

wychowanek, trapiony przez epilepsję dziedzic krwi greckiej, Otto III. Pierwszy, ukazany w świetle historii i w pryzmacie legendy czarnoksięskiej, jest w „Srebrnych orłach" po prostu człowiekiem nauki, umiejącym posługiwać się jej nowoczesnymi przyrządami, ale — podobnie jak jego przodkowie duchowi, kapłani z Prusowego „Faraona" — świadomym, że jednostka, wiedzą wyprzedzająca swe czasy w ramach ich zmieścić się nie może, ukrywającym swą wiedzę i nikłe tylko jej promyki ukazującym zdumionym oczom swych niewielu wtajemniczonych. Największy z nich, Otto, marzyciel obciążony mnóstwem urazów, świetnie w powieści wyzyskanych (śmiała to i celowa próba zastosowania psychoanalizy do odległej przeszłości!), grzeszy nie tylko, jak sądzi Chrobry, brakiem realizmu w polityce, ale nadmiarem nieopanowanych namiętności, wiodących wątłego wyrostka do przedwczesnej zguby. Parnicki w tworzeniu tej postaci, jak zresztą i okalającej ją atmosfery, okazał się pojętnym uczniem T. Micińskiego, autora „Bazylissy Teofanu". Poszedł dalej jeszcze, obwieszając rusztowanie swej powieści ciężkimi draperiami niepospolitej erudycji historycznej z dziejów i polityki i obyczaju końca pierwszego tysiącolecia naszej ery, tak że dzieło jego, przeznaczone dla odpowiednio wyrobionego czytelnika — znawcy, aż nazbyt często otrzymuje charakter wnikliwego traktatu naukowego.

Sam pisarz zadanie niepomiernie sobie utrudnił, wkomponowując sprawy wysoce zawiłe w niemniej zawiłe ramy. Całe dzieje Sylwestra i Ottona, żałosną relację o wielkich planach przedwcześnie zrodzonych i skazanych na zagładę z chwilą upadku głów w których powstały, a więc istotny trzon dzieła, wprowadził do powieści, jako łańcuch rozważań i wspomnień opata tynieckiego, Arona, niegdyś ulubieńca i powiernika Sylwestrowego, z biegiem lat szermierza chrystianizmu na ziemiach polskich. Zastąpienie bezpośredniego opowiadania autorskiego opowiadaniem referującym, zastosowanie w ogromnej skali składni używanej i nadużywanej w latach ostatnich, mowy pośrednio zależnej, ukazanie olbrzymiej połaci wydarzeń przez pryzmat reakcyj na nie u Ottonowego spowiednika (spowiedź ta jest jedną z kapitalniejszych scen powieści), wszystko to niewątpliwie podnosi jej urok, jako swoistej stylizacji, i stawia ją technicznie w znacznej odległości od wielu innych dzieł o Chrobrym.

Sprawa Chrobrego, przez autora bardzo zręcznie wpleciona w tok całości i ustawicznie w nim, w różnych postaciach się prze-

wijająca, skondensowana zaś ramowo na początku i końcu, w bezpośrednich stosunkach Arona z władcą Polski, wiąże „Srebrne orły" z naszą historią ,rzucenie zaś tej sprawy na tło Rzymu w. X i jej problematyka ideowa nadaje powieści szerokie horyzonty, przez naszych pisarzy tylko wyjątkowo a rzadko tak rzetelnie dostrzegane i ujmowane.

5. W porównaniu z tematyką trzech powieści chrobrzańskich, na uboczu i z innego nurtu zainteresowań wyrosła, ukończona tuż przed wojną i szczęśliwie z pogromu Warszawy ocalała powieść o budowie katedry w Beauvais H. Malewskiej „Kamienie wołać będą".[4] I tu, podobnie jak w dziele Parnickiego, mamy nie debiut powieściowy lecz pracę doświadczonej ręki, znanej choćby z doskonałych stronic „~~Złotej~~ korony", której wspomnienie tu nie jest przypadkowe. Żelaznej

W powieści o Karolu V, jego wielkości i jego zachodzie, barwne obrazy życia renesansowego przebiegała smętna nić, stanowiąca o ich jedności wewnętrznej, odczucie grozy przemijającego czasu, motyw tak znamienny dla wielu powieści kobiecych lat ostatnich. Coś podobnego dostrzega się również na kartach opowieści o powstawaniu katedry w Beauvais, rzuconym na tło życia Francji czasów Ludwika Świętego, który w rozdziałach początkowych pojawia się jako robotnik pracujący nad fundamentami katedry, w końcowych zaś jako wzniosły pogrobowiec idei krucjat. Budowa katedry, ostatecznie niedoprowadzonej do końca i pozostałej wspaniałym lecz żałosnym fragmentem, świadczącym o wielkim zamierzeniu, którego nie udało się doprowadzić do kresu, jest w powieści podłożem, na którym rozwijają się, kwitną i zamierają dole ludzkie, losy całej gromady pracowników, którzy już to z nieludzkim uporem wiodą rozpoczęte dzieło ku jego stadiom dalszym, już to odpadają, by się zmarnować na dalekich rozłogach życia. To ostatnie staje się udziałem rozłajdaczonego cieśli katedralnego, Mateusza, który porzuca zaszczytne stanowisko, by po wielu przeprawach zakończyć żywot w królewskim azylu trędowatych. Jego dzieje autorka traktuje jako platformę, pozwalającą jej ukazać przeróżne strony życia zbiorowego, zarówno egzystencję włóczęgów, z wszelkiego rodzaju odmianami rzezimieszków, na wielkich drogach francuskich, jak życie chłopa i mieszczanina średniowiecznego, sprawa Mateusza i jego do-

[4] Hanna Malewska: Kamienie wołać będą. Powieść z XIII wieku. Poznań b. r. 1946. Drukarnia św. Wojciecha.

brej, cichej żony umożliwia wprowadzenie do powieści dwu innych arcydzieł architektury francuskiej średniowiecza, katedr w Chartres i paryskiej, a wreszcie początku krucjaty. Dopełnienie zgrabnie w całość wkomponowanego tła historycznego stanowią, inaczej uzasadnione, sceny życia dworskiego, udostępniające szczyty kultury umysłowej Francji w. XIII, sceny, w których migają osobistości, oznaczone przez autorkę imionami jakiegoś Rogera Bacona, Tomasza z Akwinu czy Wincentego z Beauvais, ujęte przecież tak ogólnikowo, iż powieść całkowicie bez nich obyć by się mogła.

Poskąpiwszy uwagi twórczej osobistościom tego rzędu, skupiła ją autorka na inicjatorach i wykonawcach planu katedry, malując całą ich galerię bardzo szczegółowo i plastycznie. Na czoło jej wysunęła ludzi myśli, mistrzów cyrkla i liczby, Adama z Chartres i jego demonicznego następcę, Hugona z Awinionu. Nie potraktowała ich jednak równomiernie, wskutek czego ich przeciwstawienie sobie nie wypadło artystycznie dość przekonywająco. W Adamie tedy wcieliła te wszystkie pierwiastki, które tradycyjnie wiążemy z wyobrażeniem zbożnego, oddanego dziełu, żyjącego i umierającego bezimiennie mistrza — rzemieślnika, poświęcającego wszystko podjętemu dziełu. Rewolucyjny nowator w habicie tercjarskim, człek krwi półwłoskiej półmauretańskiej, Hugo, osobnik o bujnej a tajemniczej przeszłości, wprowadza do pracy po poprzedniku objętej niespokojne wzloty swej nieopanowanej osobowości, wszystkie swe zawiłości psychiczne, i — jak gdyby nawiązując do biblijnej opowieści o wieży Babel — nie doprowadza swego dzieła do końca, ginie bowiem samobójczo w momencie, gdy katedrę usiłuje zniszczyć. Psychikę Hugona i jej wykolejenia Malewska wiąże ze sprawami wysoce powikłanymi a czytelnikowi nie tylko polskiemu obcymi, z bogatą kulturą sycylijską czasów cesarza Fryderyka II, kulturą, w której dostrzega potężny ładunek elementów rozkładowych. Malewskiej, znawczyni historii średniowiecza, wolno oczywiście tak zagadnienie to rozumieć, takie jednak ujęcie, zbyt schematyczne i enigmatyczne, budzi duże zastrzeżenia u Malewskiej powieściopisarki, budzi uzasadnione pytanie „dlaczego?", na które w stworzonym przez nią dziele daremnie szukalibyśmy odpowiedzi.

Dodać wreszcie należy, że w zespole dzieł tu omawianych, „Kamienie wołać będą" wyróżniają się znakomicie nie tylko plastycznym widzeniem przeszłości ale i swym poziomem sło-

wa. Rzecz bowiem ciekawa, że słownictwo pisarskie Bunscha, autora dotąd nieznanego, podobnie jak Grabskiego, mającego w swym dorobku dwa tomiki poezyj, jeden nawet bardzo wyszukanie ujęty, jak wreszcie Parnickiego, tęgiego krytyka literackiego i człowieka w rzemiośle pisarskim biegłego, uderza pewną pospolitością, szarzyzną, stroni od polotu epickiego, w powieści historycznej nieodzownego, dochodzi nieraz do granic oschłości języka nauki lub do banałów artykułu dziennikarskiego. Malewska, stosująca stylizację bardzo powściągliwie, czym korzystnie różni się od kobiet, które gromadnie wchodziły na szlaki Berenta, by zdobyć się na nich na chimeryczny grymas jedynie, pisze pięknie, starannie obliczone efekty osiągając raczej przy pomocy prostych zabiegów składniowych aniżeli przez posługiwanie się obrazami słownymi.

6. W zakończeniu tych uwag, raczej sygnalizujących niż wyczerpujących sprawę renesansu życia średniowiecznego w naszej powieści, wbrew temu, o czym mówiłem na wstępie do nich, warto może pokusić się o próbę hipotetycznego wyjaśnienia czynników, które u podstaw owego renesansu dostrzec można. Rzecz całą gmatwa czynników tych wielość i różnorodność. Rozpoczynając od najbardziej zewnętrznego i najmniej istotnego, dostrzec go można w czasie, którym dysponowali autorzy. Bezkresne lata okupacji z ich godziną policyjną skłaniały do studiów, na które w warunkach normalnych nie dozwoliłaby praca zarobkowa, i ich wyniku, rozległych i rozlewnych ujęć materii powieściowej w formie na tomy liczonego cyklu. Czynnikiem drugim, znacznie donioślejszym był niewątpliwie dorobek naszej historiografii, zwłaszcza niełatwe w lekturze prace St. Zakrzewskiego o pierwszych Piastach, dorobek, którego wyzyskanie powieściowe raz jeszcze dowiodło, iż symbioza twórczości naukowej i literackiej zawsze jednej przynajmniej z tych dziedzin wychodzi na dobre. A wreszcie — i tu docieramy do sedna rzeczy! — źródłem żywego i twórczego sięgnięcia w głąb zagadnień historycznych było to, co odgrywało tak doniosłą rolę w dociekaniach estetyków romantycznych a co energicznie odrzucała estetyka późniejsza, mianowicie swoista wartość samego tematu, związana już to z jego „formą naturalną", już to z jego zawartością. Wstrząsy wojenne, gwałtowne walenie się ustalonych zdało się form organizacji społecznych, równie gwałtowne powstawanie „nowej rzeczywistości", poczytywanej przez miliony za twór niewzruszony, kłębowisko takich czy

innych haseł reklamowanych przez wszelkie propagandy, wszystko to u pewnego typu umysłów musiało wywołać naturalnym biegiem rzeczy skierowanie wzroku ku przeszłości, by w niej szukać odpowiedzi na niepokojące pytania dnia bieżącego. Jeśli zaś wzrok ten padał na czasy Bolesławowe i na nich się zatrzymywał, było to wynikiem nie tylko pewnych analogii, dostrzeganych w ścieraniu się idei narodowych czy dynastycznych z międzynarodowymi czy uniwersalnymi, mającymi potężny ładunek religijny w sobie, ale i wynikiem swoistego piękna przeszłości, które zwykliśmy od czasów romantyzmu dostrzegać w historii. A nadto, kto wie, czy współczynnikiem tych zainteresowań nie było jeszcze coś innego, konieczność zdobycia pociechy, smutnej wprawdzie, ale bądź co bądź pociechy, znajdowanej w stwierdzeniu, że w długim dziejów łańcuchu nie stanowimy wyjątku, że . . . wszystko to już było, bo jednak historia w pewien sposób się powtarza.

PATRONAT BRZOZOWSKIEGO?

Oczywiście chodzi tu o Stanisława Brzozowskiego, autora Legendy Młodej Polski, Idej, Głosów wśród nocy. Pojęcie patronatu wyjaśni się w zakończeniu; a znak zapytania, postawiony w tytule, jest odbiciem charakteru dyskusyjnego i dyskursywnego zarazem wywodów niniejszych, które zrazu pomyślane były jako odczyt, jako mówiony wyraz tych wątpliwości i niepokojów, jakie oblegają przy myśli o Brzozowskim. W samej więc intonacji, w toku retorycznym wywodu zachował się ślad tego dojmującego niepokoju. I ślad tego, jak trudno dziś było przedmiot ten znów ruszyć z miejsca, dźwignąć z długotrwałego stanu milkliwej czy kłopotliwej inercji.

Bo przedmiot jest istotnie — z tych cięższych. Różne są tego powody. A naprzód ten, że przedmiot ma naturę poniekąd — spowiedniczą. To, nieco zbyt patetyczne postawienie sprawy trzeba wyjaśnić.

Jest nas w Polsce może jakieś parę dziesiątków starszych i młodszych „brzozowszczyków". Bynajmniej nie w znaczeniu wyznawstwa. Poprostu w znaczeniu mniejszego lub większego spoufalenia się z dziełami pisarza w ciągu długich lat. W odosobnionych wypadkach mogło to być nawet nieprzerwane z tymi pismami obcowanie. Częściej — w parokrotnych ku nim nawrotach. I tu właśnie wychodziła na jaw ich siła fascynująca. Bez względu na postać, jaką przybierała w indywidualnych wypadkach: mogła ku pismom tym pociągać właściwa im ostrość i pasja w stawianiu problemów; czy — poszukiwanie podniety intelektualnej płynącej ze sposobu ich stylistycznego ujęcia; czy poprostu — w najgorszych wypadkach — potrzeba niesprecyzowanego dokładniej czytelniczego narkotyku, budzącego z ospalstwa.

Tak czy inaczej, w nich i przez nich, tych wiernych sobie czytelników, przeżywał Brzozowski swój żywot pośmiertny, dole i niedole owego żywota. Właśnie: bo taki żywot pośmiertny pisarza, kontynuowany w życiu duchowym jego wytrwałych czytelników, podlega nieuchronnemu falowaniu, posiada swoisty rytm, przebywa okresy górowania i — okresy dołowania. Okresy zależne zarówno od indywidualnych pery-

petyj życia wewnętrznego owych czytelników, jak — bardziej jeszcze — od fluktuacji gromadzkich, zbiorowych przeżyć.

Zawsze bowiem u niejednego z nas, stosunek do zjawiska Brzozowski, odznaczał się znamienną dwoistością, chwiejnością, brakiem równowagi, oscylując w bardzo rozległej skali: chwilami zjawisko to zdawało się być jak posąg z bronzu, którego widok umacnia, krzepi, spokojem napełnia; chwilami — jak upiór, co straszy i uprzykrza się. I tak na przemian szły fazy kultu i fazy oporu. Było to nawet w t. zw. normalnych czasach. Cóż dopiero gdy przyszedł dziejowy wstrząs minionych kilku lat, który przeorał nas do głębi; wtedy to bardziej niż kiedykolwiek odczuliśmy na sobie, że — jak by to sam Brzozowski określił — „historia przepływa przez nasze wnętrze". Wzburzona, rozszalała historia!

I teraz, gdy nawałnica dziejowa zdaje się nacichać i zwolna jakby układać w nowowyżłobione łożyska, z troską rozglądamy się pośród spustoszeń i przeinaczeń, które poczyniła. Przede wszystkim w nas, ludziach wnętrza. Sprawdzamy, ustalamy, obrachowujemy. Nie może też ujść obrachunku i to, co nie najbłahszą cząstkę niejednego z nas stanowiło: stosunek nasz do Brzozowskiego.

I.

Brzozowski, to wszystko, co zamyka w sobie to nazwisko, — zawsze w tym były elementy niepokojące!

Nie da się ukryć w tym obrachunku ani ominąć on sam jako człowiek. Jego biografia nie tylko intelektualna, ale biografia realna, konkretny żywot doczesny. A w tym realnym ludzkim żywocie to, co stanowiło o straszliwej bolesności jego przebiegu: ponura sprawa Brzozowskiego. Trudno o niej mówić bez przykrego przymusu, a jednak — dla powodów, o których za chwilę — nie da się tej sprawy milczkiem ominąć, co więcej — nie podobna od niej nie zacząć.

Z pozoru sprawa to przedawniona i przestarzała z kretesem. I to od dawna. Już w okresie międzywojennym były to dla młodych nudne i obojętne gawędy starszych panów o zamierzchłych czasach i zapadłych w niepamięć stosunkach. Niech umarli grzebią swoich umarłych! Żywych, młodych, interesować mogła podówczas np. Bereza Kartuska czy tajemnice angielskiego czy niemieckiego politycznego wywiadu. A że w czasach niemal przedhistorycznych, bo na dziesięć lat przed pierwszą wojną światową, jakiś tam Brzozowski (nudny pan z bródką — tyle tylko miał o nim do powiedzenia popularny

felietonista Wiadomości Literackich) był czy nie był konfidentem carskiej policji tajnej, że za pieniądze miał się skrycie wysługiwać eksterminacyjnej przeciwpolskiej akcji okupanta ze wschodu — kogo to mogło tak na prawdę obchodzić w do gruntu przeobrażonych warunkach?

Dziś — w koniunkturze politycznej obecnej — rzecz ta znowu nabiera ostrego posmaku niespodziewanej aktualności. Dziś — w stosunku do człowieka, o którym głośno, który ma takie czy inne szanse stania się autorytetem, pytamy: a jak tam z nim było za okupacji, jaki był jego stosunek do okupanta? I przede wszystkim młodzi czujnie o to się troszczą. Wynikają stąd rozrachunki przykre i bolesne, ale jest w tym (niechby i chorobliwie przedrażniony) naturalny instynkt samozachowawczy narodu, któremu groziła zatrata (i ciągle nie przestaje zagrażać taka czy inna tej zatraty postać). Dziś — młodzi, którym przekazać mamy dziedzictwo kultury, a więc i dziedzictwo autorytetów moralnych w jej przeszłości, słysząc od nas o autorytecie Stanisława Brzozowskiego, o nieprzedawnionej — jeśli kto tak stawia sprawę — tego autorytetu aktualności, — gotowi zapytać (ostro na to nastawieni): a jak to było u tego autorytetu, który nam sugerujecie, z jego stosunkiem do okupanta, okupanta ówczesnego, z przed czterdziestu lat? I nie da się tej kwestii ominąć! Zwłaszcza, że są tacy, co nieomieszkają jej natrętnie przypominać. Istnieje dotąd potężna (podówczas) partia polityczna, która była przed laty czterdziestu główną inspiratorką wytoczenia potwornych oskarżeń przeciw Brzozowskiemu i która (w osobach swych starszych członków) nie zapomniała mu, że z całą właściwą sobie odwagą podważył był w swych pismach dotkliwie ówczesny jej prestige. Nie dalej jak na trzy lata przed minioną właśnie wojną jeden z tych starych członków P. P. S. (pod pseudonimem Krzesławskiego) wydał broszurę Prawda o St. Brzozowskim, przypominającą dzieje skandalicznej sprawy z pozornym obiektywizmem, w istocie zaś sugerującą czytelnikowi przeświadczenie o winie oskarżonego, wielkiej i głównej winie. Broszura ta, to echo porachunków partyjnych z pisarzem za jego „zdradę socjalizmu", porachunków ze strony ludzi, których Brzozowski jako myśliciel, pisarz, intelekt, nigdy nic nie obchodził, w istocie swej pozostał im obcym i obojętnym z obojętnego im świata człowiekiem; są to więc porachunki „nieczytelników".

Ale i jego czytelnicy, ci pilni, gruntowni i wieloletni czytelnicy, co długo podlegali uwodzącemu czarowi jego pism,

przyznają w biografiach pisarza (np. artykuł w Polskim Słowniku Biograficznym), że nie jest z tą sprawą tak dobrze. Sąd międzypartyjny nie wydał wyroku ani za, ani przeciw.

Oskarżony umarł pod ciężkim zarzutem, a sąd po jego śmierci zawiesił po prostu swoje czynności, pozostawiając pamięć zmarłego pod ciężarem poważnych poszlak — niewyjaśnionych po dziś dzień.

A przecież miał zmarły przyjaciół, nie tylko intelektualnych, lecz i osobistych, wśród nich dwu mężów zaufania na sądzie międzypartyjnym. Nikt z nich nie podjął skutecznych wysiłków, by sprawę nieszczęsną zrewidować, wyjaśnić, oczyścić imię zmarłego. Nie podjęła sprawy instytucja, najbardziej z natury swojej powołana po temu, — Polska Akademia Literatury, której załatwienie i tej sprawy niejako w testamencie przekazał był inicjator (por. Żeromskiego „Polska Akademia Literatury"). Mówią, że o spełnienie tego postulatu po wielekroć a bezskutecznie odwoływała się do Akademii najbliższa rodzina zmarłego. Złowroga tajemnica — pozostała tajemnicą. A tymczasem — jakby na dopełnienie tej gmatwaniny dręczących zagadek — na krótko przed wojną ostatnią, na zebraniu warszawskiego Klinu (Klubu literackiego i naukowego), zapowiadającym referat o Brzozowskim jako pisarzu, zjawili się dwaj intelektualiści (związani ze wspomnianą wyżej partią) i kategorycznie oświadczyli w dyskusji, że jakoby istnieją w ich rękach dokumenty, niewątpliwie mające stwierdzać winę Brzozowskiego (dokumentów tych zresztą zebranym nie przedłożyli) . . .

Czy potrzeba jednak, czy warto mówić o tych przykrych sprawach? Czy nie byłoby rozsądniej dać się im w milczeniu uleżeć, przedawnić, pogrążyć w niepamięci? Czy nie słuszniej byłoby uznać stanowisko tych czytelników Brzozowskiego, którzy powiadają: nas — pisarz obchodzi, nie człowiek; to co wydarł śmierci i przekazał w pismach, nie to co wraz z nim zeszło do grobu; Brzozowski to dla nas teksty, nie biografia; tamte nas zajmują, o tę się nie troszczymy. Przecież — dodają — można np. delektować się powieściami Kaczkowskiego (kto w nich gustuje) nie dbając o to, że ich autor był konfidentem policji austriackiej; można również znajdować niejakie upodobanie w stylowych cackach lirycznych Andrzeja Morsztyna bez oglądania się na to, że ich układacz i polerownik był renegatem czy zdrajcą. Tu nas obchodzi poeta i tylko poeta, jak tam — tylko powieściopisarz . . .

A w Brzozowskim? Czyżby — tylko myśliciel? Czy tylko stylista? Alboż da się w nim jedno i drugie oddzielić od tego, że był nade wszystko moralistą, niejako świeckim kaznodzieją w skali wieszczej czy prorockiej, mentorem w wysokim stylu, roztrząsaczem sumień indywidualnych, ale i spowiednikiem pokolenia! Czyż da się t a k a funkcja pisarska poznawać i kontemplować bez myśli — o człowieku, o jego biografii, o jego uprawnieniach do misji apostolskiej, moralno-przewodniczej? Miara odpowiedzialności i pisarskiej i po prostu człowieczej u pisarza o t a k i c h aspiracjach jest i musi być zupełnie odmienna niż u tamtych — wyłącznych beletrystów i to bardzo niewysokiej rangi. Lektura pism Brzozowskiego nie da się abstrahować od dręczących wątpliwości co do uprawnień autora do takiego tonu, takiej postawy, takiego po prostu genre'u, jakie są w tych pismach reprezentowane.

A już szczególnie niemożliwe jest takie separowanie pisarza od człowieka dla tych czytelników Brzozowskiego, którzy podzielają pewną kardynalną zasadę głoszoną przez autora Idej po wielekroć i z naciskiem, a i w praktyce interpretacyjnej przezeń stosowaną. Głosił mianowicie, że pojęcia, idee są zawsze dziełami życia; że kryterium prawdy jest w nas samych, w życiu, którym jesteśmy i które tworzymy; że nie istnieje żaden pozadziejowy ani nawet pozaobyczajowy sposób obcowania z rzeczywistością itp. W różnych wariantach ustawicznie do tej zasady powracał. Poza czyimś pisarstwem, gdy je sam interpretował, poszukiwał rzeczywistości nie tylko już biologicznej, ale właśnie — biograficznej (por. studium o Lambie w Głosach). Jeszcze ostrzej formułował tę zasadę w przedśmiertnym Pamiętniku: wszystkie kosmologie i metafizyki to epizody biografii. Co nie jest biografią, nie jest w ogóle. Estetyka jakiegoś pisarza to — jego biografia (to znaczy: pod działaniem jej perypetii tworzy się ta estetyka i urabia i tylko drogą spenetrowania owych perypeji można ją właściwie zrozumieć).

Sam więc Brzozowski uznawał za metodę nie tylko uprawnioną ala za jedynie owocną — zainteresowanie się biografią studiowanego pisarza. To też — w przewidywaniu takiego samego zainteresowania u swoich własnych czytelników — tak obficie, tak konkretnie (i tak nieraz drastycznie!) roztoczył w swym Pamiętniku (przeznaczonym do pośmiertnego druku) szereg epizodów z lat swego wieku dojrzewania.

Czy, gdyby swój zaledwie napoczęty pamiętnik zdołał był kontynuować, padłoby z jego kart na ową bolesną sprawę równie ostre światło jak na tamte lata szkolne, — trudno przesądzać. Wystarczy, iż sam Brzozowski — autorytetem zalecanych i stosowanych przez siebie metod — umacnia nas w przekonaniu, że w syntetycznym (jak niniejszy) szkicu o Brzozowskim niepodobna było obojętnie pominąć fatalnej jego sprawy.

Dość jednak o niej. Pomówmy o pisarstwie Brzozowskiego.

II.

Brzozowski — pisarz. I tu brak jednolitości, i tu dręcząca dwoistość: coś co ku tym pismom pociąga, i coś co odpycha; coś co niemal czaruje, i coś co odstręcza; coś co chwilami porywa, i coś co niecierpliwi. Istne koło udręki dla owych powrotnych czytelników Brzozowskiego!

O ileż fortunniejsi ci — nieliczni jak się zdaje — co umieli się odrazu zdobyć na jednolity, zdecydowanie negatywny stosunek do tych pism, a więc tacy jak Antoni Potocki (w Polskiej literaturze współczesnej), jak Andrzej Niemojewski (w artykułach Myśli Niepodległej z powodu Brzozowskiego), jak — z żyjących — Wacław Borowy (kiedyś w Pionie, przy okazji artykułu o Crocem). Ci do pism Brzozowskiego nie powracali lub nie powracają.

A ci — mniej zapewne szczęśliwie stworzeni — co jednak powracają do nich? Cóż ich ku nim niewoli i z nimi wiąże? Mają oto względem nich pewne intelektualne zobowiązania. Zawdzięczają im parę ważkich idej, nie będących — zapewne! — wynalazkiem Brzozowskiego, ale w owym czasie i w takim zespole przez niego właśnie głoszonych (inna rzecz — czy skoordynowanych w system); a głoszonych z taką siłą, energią i uporem, z tak sugestywnym częstokroć powabem pisarskim, — że wrażały się w pamięć, że pobudzały myśl, że stawały się (a przynajmniej stawać się mogły) pożądanymi regulatorami życia, i umysłowego i praktycznego.

Oto krótkie wyszczególnienie niektórych z tych idej, tych mianowicie najjaśniej wyklarowanych i najczęściej — w różnych wariantach — pojawiających się na kartach pism Brzozowskiego: anti-eudajmonizm, to jest przeciwstawianie się zasadzie, jakoby szczęście miało być celem i sensem życia ludzkiego, miarą jego wartości; w związku z tym — w zakresie

estetyki — przeciwstawienie się stosunkowi spożywczemu, używkowemu do sztuki i literatury, postawie wyłącznie estetycznej; w związku z tym — antispektatorstwo w stosunku do zjawisk życia, walka z przejawami sybarytyzmu, kwietyzmu, postawy niejako rentierskiej; w związku z tym znowu — antideterminizm, głoszenie zasady odpowiedzialności za każdą chwilę życia własnego i współodpowiedzialności za tok życia gromadzkiego; dalej — postulat męstwa w przyjmowaniu tej odpowiedzialności, w podejmowaniu czynnej postawy wobec losu, mimo że nigdy (w poczuciu Brzozowskiego) nie jesteśmy w pełni gotowi do podjęcia takiej postawy; stąd — bezpowrotne i nieodwracalne znaczenia każdej chwili w naszym życiu, w szczególności zaś momentów tego życia najbardziej potocznych i powszednich; praktyczne zastosowania tej zasady — pochwała atmosfery trosk rodzinnych i drobnych kłopotów codzienności, jako atmosfery krzepiącej — jeśli jej dzielnie stawić czoło; w związku z tym — powaga i surowość w traktowaniu zagadnień rodziny i miłości; i jeszcze, i nade wszystko, bo chodzi o jedną z najwyższych kategorii (obok religii, o czym później) w hierarchii dóbr Brzozowskiego: to kryterium narodu jako epistemologiczne kryterium prawdy i jako moralne kryterium wartości człowieka (zacytujmy: „nie ma beznarodowych, międzynarodowych organów duchowego życia", i jeszcze: „człowiek bez narodu jest duszą bez treści, obojętną, niebezpieczną i szkodliwą"); wreszcie: zasada pracy jako ekonomiczne kryterium wartości narodu oraz zasada siły jako tej wartości kryterium biologiczne.

Tylko że ... tylko — że z tą pracą, z tą siłą, z tym narodem i z całą tą forsowną krzepą, z jaką głosił Brzozowski owe naczelne zasady myśli swojej (naczelne — przynajmniej w kulminacyjnym okresie pisarstwa swego i wpływu) zaszły tymczasem dziwne rzeczy. Naprzód — wraz z tokiem i przebiegiem dziejów stało się z nimi to, co zresztą sam Brzozowski uważał za wyraz nieubłaganego prawa w ewolucji idej: idea zrealizowana, o tyle przynajmniej, że pod młotem dziejowym wdrążona w umysły, wrośnięta w świadomość zbiorową, myśl, która stała się oczywistością, konkretem niejako, bo powszechnie uznanym komunałem, prawdą zdawkową, idea taka traci swą moc sugestywną „jako wyraz skostnienia pewnej ubiegłej i w przeszłość zapadłej formacji historycznej". I dlatego to owe grandilokwentne, wibrujące ongi namiętnym patosem hasła Brzozowskiego o narodzie, pracy, woli etc. — dziś, gdy stały

się sloganami potocznej publicystyki minorum gentium, transparentowymi hasłami propagandy, dziś, teraz — drażnią nas, nudzą i niecierpliwią na kartach pism Brzozowskiego. A powtóre: teraz już trzeźwiej patrząc na te karty, pełne gromkich haseł pracy, siły, woli, heroizmu, — zaczynamy spokojniejszą myślą dochodzić (zgodnie znów z metodycznymi wskazaniami mistrza) ich genezy życiowej, „biologicznej", biograficznej. Rozumiemy, że zarówno w pisarzu jak i w jego entuzjastycznych czytelnikach działała tu zasada kompensacji psychicznej u typu inteligenckiego neurastenika, pozbawionego poczucia siły w sobie, osamotnionego psychicznie, a fizycznie (jak określa to sam Brzozowski) „oddartego od pracy"; bo (znów to formuła mistrza) „choroba stwarza własny swój światopogląd". Co zaś do zasady narodu, to — że ją właśnie we wczesnym okresie emigracyjnym wysuwa pisarz na czoło swego systemu („najgłębsza nasza postawa w bycie"), że tę zasadę wystawia i głosi co krok tak ostentacyjnie, z taką forsą, tak tubalnie ważność jej celebrując („jakby wcale narodu nie było" — powiedziałby Wyspiański) — działało tu w znacznym stopniu zjawisko neofityzmu, żarliwość i gorliwość neofity. W tym bowiem środowisku, w jakim obracał się Brzozowski wcześniej, za lat szkolnych i za lat warszawskich, wyraz „naród" należał do słownika pojęć „reakcyjnych", a więc starannie omijanych przez wyobrazicieli idej postępowych, czy to byli uczniowie gimnazjum niemirowskiego czy współpracownicy „Głosu" (za redaktorstwa Dawida) a potym Społeczeństwa. I oto wkrótce Brzozowski zbuntowany przeciw niedawnym współwyznawcom ideowym, nawrócony do pojęcia narodu, — z taką niemal przekorą i z takim naciskiem pojęcia tego — nadużywa.

Tak, jak nadużywa innego jeszcze pojęcia, pojęcia siły, jako jedynej zasady regulacyjnej w stosunkach między grupami ludzkimi, sformułowanie tej zasady doprowadzając do paradoksalnej krańcowości. Po czym bowiem — według autora Idej — poznaje się nowoczesnego człowieka? „Po tym, że myśli kategoriami siły a nie współczucia". Jaki jest sprawdzian obiektywnej postawy wobec zjawisk świata? „Stan świadomości może być tylko o tyle obiektywny, o ile jest stanem świadomości zwycięskiego życia." Innymi słowy: „Nasza posłuszna nam siła to jest właśnie ostateczne kryterium prawdy." Jeszcze dobitniej: „Prawo rodzi się z siły". I jeszcze twardziej: „Zoologia narodowa — niezbędna forma prawdy".

A choć te aksjomaty zoologicznej teorii dziejów, dziś dla nas stały się aż nazbyt oczywiste, bo przez lat kilka świeżo ubiegłych wypisywano je nam na żywej skórze, — niemniej jednak jest dziś dla nas coś odpychającego w sposobie głoszenia ich przez autora *Idej*: w swoim agresywnym patosie mają coś ze stylu enuncjacji hitlerowskich czy goebbelsowskich, niby ich prekursorskie czy profetystyczne antycypacje z przed trzydziestu lat. Tylko, że dziś niesklonni jesteśmy podziwiać nawet tego prekursorstwa, a już zupełnie dalecy od upatrywania tu objawów jakiegoś myślicielskiego jasnowidztwa czy ostrowidztwa. Rozumiemy bowiem, że idee owe, zanim się zrealizowały w systemach monopartyjnych i totalistycznych, — zwolna dziesiątkami lat żłobiły umysły przez druk, pisma, książki, że miały swoich odleglejszych czy nowszych prekursorów w różnych krajach, że poznał ich chyba wszystkich Brzozowski w zaciekłym swym i rozległym czytelnictwie. Więc Hegla, Fichtego, Nietzschego z ideologicznej paranteli hitleryzmu, Corradiniego, Prezzoliniego i innych prekursorów czy satelitów późniejszego faszyzmu; więc z Łunaczarskim w Szwajcarii toczył dyskusje; więc — i nade wszystko — zaczytywał się w Jerzym Sorelu, który sam siebie uważał za duchowego patrona zarówno faszyzmu włoskiego jak i rosyjskiego bolszewizmu (jeśli chodzi o ogólne socjologiczne założenia i o technikę zdobycia władzy).[1] Ten kłąb obcych idej Brzozowski swoim zwyczajem splątał i zagmatwał, niektóre ich sformułowania doprowadzając do najjaskrawszej krańcowości, ich filozoficzne założenia powikławszy w nierozwiązalne sprzeczności.

A wśród tych sprzeczności niepojednanych są i takie, których właśnie pojednania a przynajmniej wyjaśnienia czy konfrontacji starannej brak nam szczególniej u myśliciela, co, jak Brzozowski, z osobliwą pasją podejmował takie właśnie konfrontacje idej. Jak więc pogodzić ów jego relatywizm prawdy (naród — jej kryterium), jej pragmatystyczne pojmowanie (powodzenie narodu) — z tymi absolutnymi prawdami moralnymi, na których wspiera się system katolicyzmu? jak pogodzić wyrażającą się w tamtych zasadach metodę materialistycznego pojmowania dziejów, której nie przestał uznawać i stosować Brzozowski do końca życia (jeszcze w *Głosach*

[1] Pierwsze po r. 1918 wznowienie swych *Reflexions sur la violence* poprzedził Sorel przedmową zatytułowaną *Playdoyer pour Lénine*.

wśród nocy), — z metodą historiozofii katolickiej? Boć nie brak w tych ostatnich latach, zwłaszcza w Pamiętniku, bardzo kategorycznych i bardzo żarliwych deklaracyj solidarności z katolicyzmem: „człowiek jest niezrozumiałą zagadką bez kościoła"; „życie ludzkie jest szyderstwem i igraszką jeśli kościoła nie ma". A już w „Legendzie" (więc o parę lat wcześniej) zdawał sobie Brzozowski sprawę, że „chrześcijaństwo jest w całkowitej sprzeczności z socjalizmem" (dziś byśmy dodali: z socjalizmem o takich czy innych etykietach czy określnikach, choćby nacjonalistycznych).

I takie, jak ta, „całkowite sprzeczności" przez szereg lat pokutują w pismach Brzozowskiego obok siebie, kłębiąc się, wirując i tłocząc — naprzemian lub równocześnie — w jakimś ideowym tańcu św. Wita.

Nie! to nie jest mistrz ani wzór ani przewodnik jako myśliciel.

III.

Może tedy w czym innym szukać należy bezspornego mistrzostwa Brzozowskiego: w jego krytyce literackiej, w estetyce, w teorii literackich zjawisk? Tu — bywa czasem porywający jako praktyk krytyki literackiej, jako analista, jako stylista, (zwłaszcza w publikacjach wcześniejszych jak niektóre rozdziały Współczesnej powieści polskiej). Ale i tu — jeśli chodzi o zgodność praktyki pisarskiej z założeniami — piętrzą się u Brzozowskiego sprzeczności zasadnicze a niepojednane. Więc: zasada szacunku dla każdego najdrobniejszego okrucha duszy ludzkiej, żeby się nie zmarnował (powielekroć to i z naciskiem powtarzany u Brzozowskiego postulat krytyki literackiej) — a jednocześnie — czemu tak często — młot druzgocący jako narzędzie analizy krytycznej? Inny znowu postulat: zachować wrażliwość estetyczną o jak najrozleglejszej skali („oczy dziecka, franciszkańskiego żebraka i piraty" — słynna formuła z Głosów) a jednocześnie stosowanie sztywnych, twardych, apodyktycznych miar krytyki, miar z reguły poza literackich i poza estetycznych, najczęściej politycznych lub kaznodziejskich („na krytykę literacką nie mam tu miejsca" — usprawiedliwia się w Legendzie). Myślę, że i w tej dziedzinie, jako krytyk literacki, nie jest to materiał na mistrza i patrona.

A już najmniej jako pisarz. Nuży i nie przekonywa, gdy czasem — próbuje pisać z jakim takim ładem, planowo i zwolna rozwijając myśli, gdy (jak w rozprawie o Nietzschem z Przeglądu Filozoficznego, jak w niektórych partiach Idej)

paragrafuje, rubrykuje, systematyzuje, logizuje. Nie jego to typ! Za to, gdy da się ponieść impetowi pisarskiemu, powstają karty pełne zastanawiających sformułowań i fascynujących metafor, karty, których ładunek emocjonalny nie stęchł, nie zwietrzał do dziś dnia. Wtedy uwodzi, urzeka, wytwarza jakąś nieodpartą narkozę, jakiś czar czy czad odurzający, któremu (przy pewnym typie czytelniczym) trudno się oprzeć. Nawet jego długie jakby zadyszane okresy, z natłokiem członów w przeładowanym myślą poprzedniku, z nagłym krótkim zamknięciem następnika, — nawet one mają w sobie urok obcowania z żywym procesem myśli, narastającej i wyzwalającej się w toku pisania. Myśli człowieka, który ma świadomość związku wszystkiego ze wszystkim, i to związku równoczesnego; aby przeto myśli swej nie sfałszować, wszystkie te związki, koneksje, powinowactwa i skojarzenia zachowuje i utrwala w natłoczeniu pobocznych członów składniowych. Wszystkie manowce, rozwidlenia i zakamarki każdego ogniwa myśli stara się na raz, jednocześnie, w tym samym zdaniu zamknąć. Uważa bowiem, że gdyby je rozbił na poszczególne zdania, powstałby niedokładny obraz jego myśli: obraz, ukazujący związek jej elementów następczy, a nie równoczesny, co byłoby nie tylko nie dokładnym odtworzeniem samego procesu myślowego, lecz — co gorsza — w umyśle czytelnika powstałaby konstelacja myślowa, także logicznie odmienna od autorskiej.[2]

Tak sprawa wygląda, o ile sposób pisania Brzozowskiego rozpatrywać od strony walorów jego estetyczno-wzruszeniowych albo od strony zainteresowania się typem pisarskim, jaki Brzozowski reprezentuje. Lecz przecież właściwy cel tych pism to cel komunikatywny: wyłowić czytelnikowi treść, sens, tok, system myśli autorskiej. Wśród jej zawiłości, nieobliczalnych przeskoków, ekskursów, regresji i dygresji (i dygresji od dygresji) — wytwarza się wrażenie jakichś ruchomych piasków czy lejów wodnych, przez które przebrnąć, które

[2] I sądzę, że tę wyraźną intencję pisarza, przebijającą w jego konstrukcjach składniowych, powinien był uszanować K. Irzykowski jako wydawca trzeciej (krytycznej) edycji Legendy Młodej Polski. Samowolnie natomiast rozbijając dłuższe okresy tej książki na mniejsze zdania (co uzasadnia w przypisach) — w wątpliwy sposób przysporzył jej czytelności, a w niewątpliwy — wypaczył wizję żywego człowieka i wizję pewnego typu myślowego i wolicjonalnego niechby i ułomnego, ale tak znamiennego u autora Legendy.

zgruntować, aby doszukać się związków myśli piszącego, — wymaga to nie byle jakiego wysiłku.

Czy ten wysiłek się opłaca? Raczej nie. Poza wątpliwym pożytkiem owych „podniet intelektualnych", które zachwala jako zaletę swych pism sam Brzozowski. Ta bowiem ich inspiracyjność, jako w zbyt ciągłych i obfitych dawkach udzielana, przeradza się łatwo w rodzaj czytelniczej używki, dość jałowej w wyniku a sprzecznej znowu z kardynalnym postulatem Brzozowskiego (o czym była już mowa), postulatem antyspożywczego, antyużywkowego stosunku do literatury.

Może więc opłaca się ta lektura jako źródło informacji? A miał by o czym informować Brzozowski, bo czytał wiele i wielostronnie. Czytał z furią zaciekle. Rozkoszował się w „poszukiwaniu — jak mówi — przygód intelektualnych". Stąd poszła owa „niechlujna rozrzutność zainteresowań umysłowych", o którą będzie się oskarżał w Pamiętniku. Brak woli, aby się oprzeć pokusom lektury tak intensywnej, tak wciąż nowej, tak z konieczności pośpiesznej, że przekraczała miarę nawet jego ogromnej pojemności umysłowej. A wskutek zbyt pochopnej receptywności w stosunku do świeżo poznanych poglądów, systemów, stanowisk — „myśli butwiały w nim w ciągu jednej nocy" (tak to określi w Pamiętniku). Stąd owe portrety fikcyjne niedość zgłębionych pisarzy; stąd coraz to nowe awanse i degradacje różnych mistrzów i patronów intelektualnych, tak szybkie czy tak niespodziewane, że przepadała gdzieś i zacierała się motywacja należyta tych kolejnych zmian; stąd — co gorsza — owo współistnienie obok siebie sprzecznych nieraz stanowisk (Sorel i Newman); stąd ta forsowna gmatwanina by je nawzajem uzgodnić. Dodajmy pośpiech pisania, by podołać potrzebie utrzymania rodziny z pracy pisarskiej (było to istne galernictwo pióra!) — pośpiech wzmożony gorączkowym pragnieniem by wydrzeć widmu nadchodzącej śmierci to wszystko co za cenne w sobie uważał.

Tak oto przekleństwo niedostatku, choroby, złych umysłowych nałogów, przedwczesnego zgonu zaciążyło nad informacyjną wartością pism Brzozowskiego: jego sądy o autorach angielskich — kwestionują angliści, filozofowie — jego interpretację systemów filozoficznych, marxiści — jego sposób pojmowania marxizmu itd. Tak samo — ideologowie nacjonalistyczni, tak samo — katoliccy.

Nie, nie jest to budzący zaufanie przewodnik po krainie idej, a jako typ czytelniczy to przykład raczej odstraszający.

IV.

Inna rzecz, że jako osobliwe zjawisko psychologiczno-literackie długo jeszcze nie przestanie Brzozowski budzić ciekawości umysłów badawczych. Może też wreszcie pojawi się taka o nim monografia, jakiej dotąd nie ma. Przyszły jej autor powinien mieć coś więcej niż odpowiednie przygotowanie filozoficzne i historyczno-literackie. Musiałby mieć także nielada talent duszoznawczy, dar pełnej i żywej wizji psychologicznej skomplikowanej jednostki, dar wsparty o dobre obeznanie się z metodami psychologii indywidualnej, charakterologii, typologii umysłowej. A nadto dar pisarskiego skomponowania i ukazania naukowo-literackiego portretu całkowitego człowieka. Słowem musiałby to być homo litterarius w pełnym i najlepszym tego pojęcia znaczeniu, bo miałby w Brzozowskim do czynienia z tymże właśnie typem, doprowadzonym do krańcowego wyjaskrawienia, do zaostrzenia typowych cech niemal chorobliwego. I tylko taki mógłby go w pełni zrozumieć i w pełni przedstawić.

Możeby tak pojęta monografia wyjaśniła i ukazała dokładnie w Brzozowskim nie jedno. Na przykład, że jego namiętne batalie przeciw schorzeniom współczesnej kultury były zabiegami samolecznictwa tychże w samym pisarzu schorzeń. Stąd w nim, człowieku par excellence książkowym — tyle retoryki superlatywnej o życiu, konkretności, o „biologii" czy „zoologii". Sam przecież mówił: „sprawdziany retoryczne zastępują duszy romantycznej kontakt z życiem i treść jej w ruch dialektyczny wprawiają" ... Duszy romantycznej. Dlatego właśnie z romantyzmem („wszelkich typów i odcieni") taką zaciekłą walkę toczył. Walkę w sobie i przeciw sobie. Tak jak walczył z chaosem i nieodpowiedzialnością, groźnie głosząc zasady odpowiedzialności i ładu, których znowu zaprzeczeniem i pogwałceniem było własne jego pisarstwo i własne losy życiowe. Z grzechów przeciw zasadzie odpowiedzialności (demagogia, snobizm i werbalizm) spowiadał się w Pamiętniku publicznie (bo z myślą o przyszłej publikacji pamiętnika). I ten rys ekshibicjonizmu, na który by się żachnął zapewne pisarz o zdecydowanym typie okcydentalnym (por. np. wstęp Conrada do powieści W oczach zachodu), ten rys to znowu coś sprzecznego z ostentacyjnym kultem zachodniej kultury oraz rosnącą awersją do wpływów rosyjskiego Wschodu, ujawnianymi w Głosach, współczesnych Pamiętnikowi.

Oto niektóre obok licznych innych problemów, z którymi uporać by się powinna właściwie pojęta monografia o Brzozowskim[3] Pokazać w żywym a należycie udokumentowanym obrazie możliwie pełny mechanizm duchowy (nie — goły tylko intelekt) tego tragicznie rozdartego człowieka — to byłaby książka ciekawsza, ważniejsza i bliższa prawdy o nim niż istniejące już rozprawy o poglądach Brzozowskiego filozoficznych lub estetycznych, traktujące o cząstce owego mechanizmu sztucznie wyabstrahowanej z całości.

V.

Jakże więc będzie z owym patronatem, zaznaczonym w tytule?

Patrona dobrze jest mieć, czasem nawet trzeba. Byle dobrego patrona. Instytucja patronatu duchowego jest stara jak świat, widocznie więc pożyteczna. Już starożytność znała patronów i religijnych i świeckich. Tych ostatnich cały poczet na użytek i pożytek wieków przekazał Plutarch. Wielki wychowawca Europy Kościół katolicki nadawał patronów miastom, krajom, narodom, epokom. Zanim znów instytucja patronatów nie zlaicyzowała się.

Ale funkcja została ta sama: patron jako żywe wcielenie określonych umiłowań, dyspozycyj duchowych, dążności twórczych i twórczych osiągnięć. Wcielenie żywe, bo utrwalone w konkretnym żywocie, w konkretnej sumie dzieł przekazanych żyjącego niegdyś człowieka, a więc coś dającego się łatwo kontemplować, by nie zejść na manowce, by w chwilach krytycznych drogi nie zagubić.

Dobrze, gdy jednostka ma takiego patrona. Ale miewają patronów i całe okresy. W dziejach polskiej kultury duchowej, a w szczególności literackiej, nie brakło takich patronów. Nasz pozytywizm — jak świadczy Chmielowski[4] — upatrzył sobie takiego patrona w Janie Śniadeckim. Wczesnemu okresowi Młodej Polski patronował Mickiewicz, późniejszemu (szczytowemu) Słowacki. Kochanowski — wiekowi siedemnastemu i osiemnastemu u nas. Bez takich wyraźnych patronatów z literackiej przeszłości obywały się jakoś tylko okresy

[3] Do tego typu metodycznego ujęcia bardzo się zbliżał szereg świetnych studiów o Brzozowskim (pomyślanych jakby rozdziały zamierzonej książki), ogłoszonych przez Kazimierza Jaworskiego w rocznikach Drogi z lat 1933—34.

[4] W Zarysie najnowszej literatury polskiej.

bardzo mocne, bujne, bogate w wielkie indywidualności pisarskie, i w wysokiej miary idee: nasz romantyzm i nasz wiek złoty.

Czy nasza polska współczesność obecna, powojenna zapowiada początek takiego okresu: mocnego, bujnego, obfitego w ludzi dużego kalibru? Jakoś tego nie widać, nawet w tych dziedzinach (politycznej, gospodarczej), gdzie się to miało czas już okazać. A i w tych dziedzinach, gdzie dojrzewanie epoki ku wyraźnemu obliczu jest powolniejsze (kultura umysłowa i literacka) perspektywy zdają się być nie osobliwe: za dużo tu spustoszeń i w nas i koło nas, i w materialnych zasobach kultury, stanowiących jej cielesność, t. j. warunek nieodzowny jej duchowego prosperowania. Tak wątle zapowiadającej się epoce powinien by przyświecać patron z przeszłości, którego imię, osoba, dzieło byłyby ucieleśnieniem wielkości niezaprzeczonej.

Czy na takiego patrona nadawałby się autor Legendy Młodej Polski? Nasuwające się przeciw temu wątpliwości usiłował wyłuszczyć właśnie wywód powyższy.

ZE SLAWISTYCZNEJ KUCHNI

Ukazanie się książki Tadeusza Lehr-Spławińskiego: „O pochodzeniu i praojczyźnie Słowian" (Instytut Zachodni, Poznań 1946) jest zdarzeniem bardzo doniosłym w historii słowianoznawstwa. Można ją bowiem ujmować jako akt akcesu ostrożnych lingwistów do polskiej syntezy autochtonistycznej. Dotychczas synteza ta była stanowiskiem prehistoryków i antropologów. Czołowi przedstawiciele językoznawstwa i etnografii przeciwstawili się natomiast tej koncepcji, zachowując zrazu, co najwyżej krytyczną neutralność. Jedynie Mikołaj Rudnicki stanowił pod tym względem wyjątek i tłumaczono to sobie tym, że jako profesor Uniwersytetu Poznańskiego i wydawca „Slaviae Occidentalis" jest zupełnie szczególnie uczuciowo zaangażowany. Zresztą naukowe uzasadnienie podstaw syntezy autochtonistycznej stanowi wynik kolaboracji poznańsko-lwowskiej. Tym się też tłumaczy, że Tadeusz Lehr-Spławiński, który pracował w obydwu tych ośrodkach, po długim okresie wahania się w sferze wpływów macierzystej metropolii krakowskiej, zdecydował się ostatecznie na przeistoczenie się z krytycznego Szawła w wierzącego Pawła.

Jest rzeczą znamienną, że dopiero teraz docenione zostały te argumenty lingwistyczne, którymi nielingwiści uzasadniali swoją syntezę, ujmującą wyniki badań w innych dziedzinach wiedzy. Uzupełniono je co prawda materiałami nie tyle nowymi, jak zrewidowanymi pod nowym kątem widzenia, tak że nie zachodziła już konieczność powtarzania argumentów przytoczonych przez nielingwistów. Jednak nie to stanowiło istotną przyczynę tak powolnego tempa ewolucji poglądów naukowych. Polegała ona na konieczności przeciwstawienia się fascynującym sugestiom nauki niemieckiej. To wymagało zaś wielkiego zaufania do stosowanych metod, gdyż nawet bardzo subiektywne rozstrzygnięcia w przypadkach wątpliwych na terenie lingwistyki uważano zazwyczaj za przejawy niemieckiej bezstronności naukowej.

Przeciwstawienie się tezom usankcjonowanym autorytetem nauki niemieckiej wyszło ze strony naszych czołowych pre-

historyków: Józefa Kostrzewskiego i Leona Kozłowskiego. Na terenie ich badań pod płaszczykiem nauki uprawiano bowiem już od dawna bardzo bezceremonialną a naiwną propagandę wszechniemiecką, przybierającą niekiedy nader ordynarne formy, jak naprzykład na wykładach profesora Gustaf'a Kossinny, ponoć z pochodzenia zniemczonego Mazura Koziny, udającego Skandynawa, jak o tym świadczy ortografia jego imienia. Stykanie się z tego rodzaju przejawami uczoności niemieckiej musiało oczywiście budzić poważniejsze refleksje nie ograniczające się do odruchów uczuciowych.

Podjęcie tezy autochtonizmu Słowian w Europie środkowej było w pewnym, jakkolwiek dość ograniczonym stopniu nawiązaniem do poglądów czeskiego prehistoryka J. L. Piča. Uczony ten nie uważał co prawda Słowian za odwiecznych autochtonów naszego kontynentu. Przypuszczał on bowiem, że ci Ariowie (tak nazywano wtedy Indoeuropejczyków), którzy w swojej wędrówce z Azji zatrzymali się na Węgrzech nad Dunajem, byli Prasłowianami. Stąd około roku 800 przed Chr. (lub między 800 a 600) poszli oni przez Morawy na Łużyce i Śląsk i usadowili się tam. Była to ich druga kolebka. Tam mieli oni właśnie wytworzyć kulturę łużycką i skonsolidowawszy się na tym terenie falami swojej ekspansji zalać kraje sąsiednie. Według J. L. Pica w I i II wieku po Chr. Słowian nie było jeszcze za Wisłą, gdyż jego zdaniem, Wenedzi Pliniusza, Tacyta i Ptolemajosa nie byli Słowianami (L. Niederle 1910, s. 587).

Nasi prehistorycy odrzucili tę fantastyczną, naukowo nieuzasadnioną wędrówkę Słowian z nad Dunaju, przez bramę Morawską nad Odrę. Z całej tej teorii przejęli oni tylko tezę, że lud epoki bronzu, któremu zawdzięczamy ceramikę oznaczaną mianem łużyckiej, to byli przodkowie Słowian. Zwrócili oni natomiast uwagę na konieczność znacznie wcześniejszego datowania okresu rozkwitu kultury łużyckiej w dorzeczu Odry i Wisły, oraz jej wczesnego (800—600 przed Chr.) sięgnięcia poza granicę dorzęcza Wisły w postaci kultury Czechy-Wysocko, tak nazwanej od miejscowości w powiecie Brody. Ponadto bronili oni poglądu, że Wenedowie Ptolemajosa byli Słowianami. Zwalczając się namiętnie w sprawach mniej istotnych, zarówno Kostrzewski, jak i Kozłowski, z wielką konsekwencją i energią gromadzili dowody wykazujące ciągłość zaludnienia obszaru kultury łużyckiej aż do okresu wczesnohistorycznego.

Gdy w roku 1924 Leon Kozłowski oddał mi do dyspozycji pierwszy swój szkic syntetycznego ujęcia prehistorii Polski a ja, zestawiwszy je z wynikami badań antropologicznych, etnograficznych i lingwistycznych doszedłem do wniosku, iż istotnie praojczyznę Słowian w dorzeczu Wisły, wraz z sąsiednią częścią dorzecza Odry, lokalizować należy, Tadeusz Lehr-Spławiński zajął w stosunku do naszych poczynań nader krytyczne stanowisko. Wtedy reprezentował on pogląd, iż „mimo, że analiza nazw wodnych nie wykluczyła możliwości lokalizacji kolebki Słowian na obszarze zachodniej Polski i ziem przyległych, niemniej jednak brak jakichkolwiek pozytywnych argumentów językowych, które by tę hipotezę popierały. Jest w ogóle — wedle trzeźwej opinii Lehra-Spławińskiego — rzeczą wątpliwą, by się takie argumenty językowe kiedyś znalazły, jeśli się weźmie pod uwagę, że zmusza nas to do szukania danych z okresu 1500—500 r. przed Chr. Jest to tak odległa epoka, że nie zostały z niej żadne ślady językowe" (Z. Rysiewicz 1936). Jak widzimy obecnie trzeźwe i krytyczne poglądy Tadeusza Lehr-Spławińskiego uległy bardzo radykalnemu przeobrażeniu.

Konieczność umiejscowienia praojczyzny Słowian na obszarze Polski wisiała wtedy już w powietrzu. Jedynie lingwiści nie zdawali sobie z tego sprawy, że tkwią one implicite w wynikach ich badań. Unaocznił to obecnie Tadeusz Sulimirski w swojej książeczce „Najstarsze Dzieje Polski", wydanej w ubiegłym roku w Londynie, w której świetnie w zwięzłej a popularnej formie przedstawia syntezę autochtonistyczną w fazie poprzedzającej ukazanie się dzieła Tadeusza Lehr-Spławińskiego. Rzucił on bowiem na mapę Europy znany schemat J. Schmidta i H. Hirta, przedstawiający wzajemne stosunki pokrewieństwa poszczególnych języków indoeuropejskich. Okazało się, iż, chcąc pozostać w zgodzie z tym niemieckim ujęciem, należy lokalizować praojczyznę Słowian w dorzeczach Odry, Wisły i Niemna.

Gdy w roku 1927, z inicjatywy znanego lwowskiego nakładcy, ś. p. Kazimierza Jakubowskiego ogłosiłem wyniki naszych lwowskich dyskusyj w postaci książki „Wstęp do historii Słowian", której tytuł sformułował w jego ostatecznej postaci Tadeusz Lehr-Spławiński, to ujęcie



1. Schemat J. Schmidta i H. Hirta, ujmujący pokrewieństwo jęz. indoeuropejskich, na mapę Europy rzutowany przez T. Sulimirskiego.

polskiej syntezy autochtonistycznej opierało się na następujących najważniejszych tezach:

a) Fakt, iż ustosunkowanie terytorialne ludów indoeuropejskich w okresie wczesnohistorycznym odpowiada ich pokrewieństwom językowym, świadczy, że zróżnicowanie, przynajmniej europejskiej gałęzi języków indoeuropejskich, musiało nastąpić w Europie. Wspólne słownictwo, świadczące o pierwotnej pasterskiej, stepowej praojczyźnie, leżącej być może nawet w głębi Azji, musi zatem pochodzić z dawniejszego okresu, poprzedzającego przybycie i zróżnicowanie się Indoeuropejczyków na terenie naszego kontynentu.

b) Właściwości gramatyczne wskazują na to, że w skład wyraźnie wyodrębnionej grupy północno-indoeuropejskiej



2. Lokalizacja szczepów indoeuropejskich w okresie wczesnohistorycznym wedł. Hirta, co do Słowian zmodyfikowana przez T. Sulimirskiego, co do Traków przez J. Czekanowskiego.

wchodzą języki germańskie, słowiańskie i bałtyckie, przy czym ściślejsza łączność zachodzi pomiędzy językami germańskimi a słowiańskimi, a nie germańskimi i bałtyckimi. Języki bałtyckie i słowiańskie stanowią oczywiście najściślej zespoloną grupę. Teza ta stanowi konsekwencję ilościowego ujęcia powinowactw poszczególnych języków na podstawie 20 indoeuropejskich zjawisk językowych zestawionych przez Jerzego Kuryłowicza.

c) Słowiańska terminologia botaniczna wskazuje na dorzecze

Wisły, wraz z sąsiednią częścią dorzecza Odry, jako na teren hipotetycznej praojczyzny Słowian.

d) Praojczyzna Słowiańska zajmuje poważną część obszaru kultury łużyckiej. Wobec tego, że na niżu Europy środkowej mamy tylko dwa prehistoryczne zespoły kulturowe, sięgające w głąb epoki bronzu, a mianowicie germański i łużycki, to przez wzgląd na bliskie pokrewieństwo językowe Słowian z Germanami, nie mogąc nawiązać Słowian do zespołu germańskiego, zmuszeni jesteśmy do wzięcia w rachubę nawiązań łużyckich.

e) Ekspansja słowiańska, pod względem antropologicznym, tak samo jak germańska i pierwotna celtycka, była ekspansją ludności o przewadze elementu nordycznego.

Na powyższych ostrożnie sformułowanych a obiektywnie uzasadnionych tezach oparta autochtonistyczna synteza osiągnięć słowianoznawstwa nie spotkała się z życzliwym przyjęciem, nie tylko w Niemczech, lecz też i w Krakowie, głównym ośrodku naszego językoznawstwa. Jan Michał Rozwadowski przeciwstawił się temu ujęciu podnosząc, że tezie autochtonizmu przeczy „obcy, niesłowiański charakter imiennictwa dorzecza Odry oraz brak o tym jakichkolwiek wiadomości u starożytnych pisarzy" i „podkreślając znikomość naszej wiedzy o prehistorycznych stosunkach Europy wschodniej, sądzi jednak, że związki dorzecza Wisły i Dniepru zdają się wskazywać z wszelkimi innymi, skąpymi niestety, danymi, że kolebki Słowian należy szukać raczej na wschodzie Europy" (Z. Rysiewicz 1936).

Wobec takiego stanowiska naszego najwyższego autorytetu językoznawczego a zarazem Prezesa Akademii Umiejętności autochtoniści zostali skwalifikowani jako adepci prymitywnej wiedzy nie posiadającej odpowiedniej metody, a może nawet jako dyletanci o ograniczonym horyzoncie, posuwający się aż do żonglowania argumentami lingwistycznymi. Wyrazem panującej opinii była natomiast w tym samym nieomal czasie wydana „Archeologia Polski" Włodzimierza Antoniewicza, reprezentująca właściwie niemiecki punkt widzenia.

Nie wszyscy moi krytycy byli równie wytworni jak J. M. Rozwadowski. Atakowano mnie też i w sposób bardzo napastliwy, a umieszczenie odpowiedzi na nader agresywną recenzję Maxa Vasmera napotkało na wielkie trudności. Nie chcieli jej umieścić: ani Vasmer, uważający że danie możności bronienia się napadniętemu stanowi zwyczaj przestarza-

ły, jak mi to oświadczył listownie, ani **B e r n e k e r**, niechętny Polakom w ogóle, a nie entuzjazmujący się perspektywą konfliktu z **V a s m e r e m**. Wreszcie, po przełamaniu oporu zrazu niechętnego **M u r k i**, udało mi się umieścić moją rzeczową, co prawda ostrą, odpowiedź w praskiej „Slavii". Tak wyglądała na terenie slawistyki swoboda dyskusji naukowej, gdy występowano z nowymi osiągnięciami, które miały przed upływem lat 20 znaleźć się w kategorii rzeczy oczywistych dla większości.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że w tej konstelacji nikt nie miał odwagi wypowiedzenia się po mojej stronie w sposób zdecydowany. To narażało bowiem na przykry konflikt z tymi, którzy mnie atakowali. **T a d e u s z L e h r - S p ł a w i ń s k i** zajął wtedy stanowisko wyczekujące. Został on zaskoczony wynikami zastosowania metody ilościowej na terenie językoznawstwa. Moje diagraficzne uzupełnienie metod nowoczesnej statystyki angielskiej umożliwiło osiąganie dawniej nie znanej przejrzystości wyników, pozwalającej na bezlitosne kontrolowanie skostniałych autorytetów.

Mimo całej rezerwy, dyktowanej rozwagą, wyniki osiągane przy pomocy metody ilościowej intrygowały bardzo **T a d e u s z a L e h r - S p ł a w i ń s k i e g o**. Dostarczył mi więc odpowiedniego materiału i umożliwił danie pracy poświęconej zagadnieniu zróżnicowania dialektów prasłowiańskich. Przedstawiona I Zjazdowi Filologów Słowiańskich w Pradze w roku 1929 nie spotkała się ona tam z zastrzeżeniami. Materiał liczbowy unaoczniał poszczególne fazy tego procesu i dał możność stwierdzenia, że po okresie ściślejszej łączności Słowian wschodnich z południowymi, zespół ten, przypuszczalnie w konsekwencji najazdu Hunnów został rozbity. Musiało to spowodować odwrót Słowian wschodnich w kierunku północno-zachodnim, gdyż zespalają się oni wtedy ze Słowianami zachodnimi. Z końcem tej fazy występują nawiązania czesko-słowacko — zachodnio-południowo-słowiańskie. Bez wątpienia jest to odzwierciedlenie się przekroczenia Sudetów i Karpat przez Czechów i Słowaków. W następnej fazie następuje wyodrębnienie się Słowian wschodnich, a Czesi i Słowacy wchodzą w skład zespołu południowo-słowiańskiego. W czwartej fazie uwydatniają się konsekwencje panowania Awarów. Odzwierciedla się ono we współżyciu Słowian wschodnich z zachodnimi Słowianami południowymi, Czechami, Słowakami i Łużyczanami górnymi. Poza tym zespołem pozostają z jednej

strony Bułgarzy, z drugiej zaś Polacy, Połabianie, Pomorzanie i Łużyczanie dolni. Wreszcie w ostatniej fazie Słowiańszczyzna zachodnia zespala się ponownie. Stanowi to przypuszczalnie skutek oderwania Czechów i Słowaków od Słowian południowych przez najazd Węgrów i posunięcie się Bawarów wzdłuż Dunaju na wschód. Stwierdzenie tego stanu rzeczy, utajonego w zasięgach zjawisk językowych, a unaocznionego w sposób obiektywny przy pomocy nowej metody, było bez wątpienia poważnym uzupełnieniem dotychczasowych wiadomości. W rzeczywistości temu tak ważnemu zagadnieniu poświęcano dość mało uwagi, Najlepiej uwydatnia to fakt, że w „Szkolnym Atlasie Historycznym, Część II", wydanym przez firmę Książnica-Atlas we Lwowie na arkuszu opracowanym przez Władysława Semkowicza, zaopatrzonym w zastrzeżenie „Copyright, 1936", a więc zupełnie nowym, „Kolebka Prasłowian w Europie (w 1. tysiącleciu przed Chr.)", w myśl sugestyj nauki niemieckiej, figuruje na Polesiu i Wołyniu i to wtedy, gdy Lubor Niederle poważnie zastanawiał się nad tym, czy nie należało by skapitulować przed nowymi polskimi argumentami. Jest to bez wątpienia bardzo ujmujący przejaw wierności tradycjom Kadłubka, który, pisząc historię Polski, też tak mało się liczył z nową ówczesną polską rzeczywistością. Nasi historycy, zachowując należyty respekt dla Mistrza Wincentego i legendy o Czechu, Lechu i Rusie, przy popularyzowaniu na terenie szkoły wiadomości o wczesnohistorycznej Słowiańszczyźnie, powinniby przecież liczyć się też i z osiągnięciami polskich badań słowianoznawczych, umożliwiających oświetlenie nader skąpego materiału kronikarskiego.

W roku 1939, w komunikacie przedstawionym P. A. U., zestawiając zasięgi zjawisk kultury materialnej, podane przez Kazimierza Moszyńskiego, zwróciłem uwagę na to, że odkryta przez niego rubież etnograficzna, przecinająca północno-wschodnią krawędź polskiego obszaru językowego jest jedną z najjaskrawiej na terenie Europy zarysowanych stref granicznych i może być porównywana z rubieżą pierwotnego zasięgu Germanów na kontynencie, na którą już nieco wcześniej zwrócił uwagę W. Pessler. W łączności z tym wypowiedziałem następujące przypuszczenia:

a) Kultura łużycka stanowi prawdopodobnie kulturę wspólną północnym Indoeuropejczykom pozostałym w łączności po wyodrębnieniu się Germanów. Do tego zespołu, przez wzgląd na wyniki badań Jerzego Kuryłowicza, należeli prawdopodobnie też i Ilirowie.

b) Rubież etnograficzna odkryta przez Kazimierza Moszyńskiego, stanowi przypuszczalnie północno-wschodnią granicę pierwotnego zasięgu Indoeuropejczyków. Do tej linii dochodzi bowiem zasięg kultury łużyckiej w epoce halsztackiej.

c) Rubież etnograficzna odpowiada przypuszczalnie pierwotnej granicy oddzielającej Bałtów od Słowian. Obecnie oddziela ona Podlasie i Mazowsze Nowe od Starego.

d) Wyodrębnienie się Bałtów stanowi prawdopodobnie konsekwencję ich rozwoju na podłożu fińskim.

Formułując te przypuszczenia przeoczyłem, na co mi później zwrócił uwagę Włodzimierz Antoniewicz, że Finowie musieli sięgać aż po Odrę, gdyż świadczy o tym zasięg kultury grzebykowej. Ponadto nie zorientowałem się, że rubież etnograficzna odpowiada granicy zwartego zasięgu wielkich borów, pokrywających północno-wschodnią część naszego kontynentu, na co mi później zwrócili uwagę Stanisław Lencewicz i Kazimierz Moszyński. Na tej rubieży leśnej zatrzymywały się nie tylko fale migracyjne. Hamowały one również rozpowszechnianie się zdobyczy kulturalnych i nowych zwyczajów. Wskutek tego żyje ona w postaci rubieży etnograficznej.

W ten sposób polska synteza autochtonistyczna osiąga postać nadaną jej przez Tadeusza Sulimirskiego w dziele zbiorowym „Człowiek, jego rasy i życie", stanowiącym w znacznym stopniu nowe opracowanie lwowskich wykładów uniwersyteckich, dokonane przez moich uczniów. Ostatnią jej redakcję, przedstawiającą fazę poprzedzającą ukazanie się dzieła Tadeusza Lehr-Spławińskiego, dał Tadeusz Sulimirski w świetnie napisanej popularnej książeczce: „Najstarsze dzieje narodu Polskiego" (Londyn 1945).

Obecnie Tadeusz Lehr-Spławiński zdecydował się na wyjście z krytycznej, czy też może raczej sceptycznej rezerwy, narzuconej być może przez zaufanie do Jana Michała Rozwadowskiego. Ten akces tak wybitnej indywidualności powoduje głębokie przeobrażenie się polskiej syntezy autochtonistycznej. Istota wniesionej przez niego modyfikacji polega na wyróżnieniu dwu głównych faz ekspansji indoeuropejskiej, z których pierwsza odzwierciedla się na terenie prehistorii jako ekspansja kultury ceramiki sznurowej, a druga — jako ekspansja kultury łużyckiej. Tę ostatnią oznacza on mianem ekspansji weneckiej. Nasza dotychczasowa koncepcja opierała się na założeniu różnicowania się

nawarstwienia indoeuropejskiego wskutek oddziaływania asymilowanego podłoża. Modyfikacja wprowadzona przez Tadeusza Lehr-Spławińskiego pozwala na bardziej szczegółową interpretację faktów obserwowanych. Przede wszystkim zostaje wyjaśniona przyczyna występowania zupełnie dotychczas zagadkowych zbieżności w językach ilirskich, celtyckich i słowiańskich. Tłumaczą się one teraz nader prosto jako konsekwencja ekspansji weneckiej, która ogarnęła te właśnie obszary językowe. Teraz staje się zrozumiałym wyłonienie się na terenie nauki francuskiej absurdalnej teorii o wspólnym Celtów i Słowian pochodzeniu, czyli tak zwanej teorii celto-słowiańskiej, której hołdowała nasza pierwsza krakowska szkoła antropologiczna, co uniemożliwiało tak długo zorientowanie się w polskiej rzeczywistości antropologicznej. Uzasadnienie posługiwania się terminem „ekspansja wenecka" polega na fakcie, że na ogarniętym przez nią obszarze zachowali się aż do czasów historycznych Wenetowie nadadriatyccy, znani już Herodotowi, Wenetowie armorykańscy nad Atlantykiem i Wenetowie nadbałtyccy, wspominani przez Pliniusza, Tacyta i Ptolemajosa, stanowiący bez wątpienia osad tej ilirskiej ekspansji.

Dalsza różnica pomiędzy naszymi ujęciami polega na tym, że ja przypuszczałem, iż wyodrębnienie się Bałtów stanowiło konsekwencję przekroczenia rubieży etnograficznej odkrytej przez Kazimierza Moszyńskiego, poza którą ulegli oni intensywnemu oddziaływaniu podłoża fińskiego. Tadeusz Lehr-Spławiński wykazuje natomiast, że sięgnięcie nawarstwienia weneckiego spowodowało wyodrębnienie się Słowian z zespołu bałto-słowiańskiego, który zawdzięczał swoją odrębność podłożu fińskiemu. W ten sposób archaizm Bałtów wyjaśnia się jako skutek tego, że stanowią oni relikt, co prawda tak samo jak i Słowianie, osadzony na podłożu fińskim, lecz nie modyfikowany przez późniejsze nawarstwienia. Konsekwencję tej zmiany punktu widzenia stanowi to, że rubież etnograficzna, która była w moim ujęciu kresem pierwotnego zasięgu Indoeuropejczyków, staje się teraz tylko kresem zasięgu ekspansji weneckiej.

Jeśli się zważy, że ekspansja wenecka była eksplozją ludności ilirskiej, to mistrzowskie pociągnięcie Tadeusza Lehr-Spławińskiego stanowi najznamienniejsze ujawnienie się jego indywidualności. Daje ono bowiem kompromisowe załatwienie namiętnego sporu, toczącego się od dłuższego czasu pomiędzy polskimi a niemieckimi prehistorykami.

Przeważna część uczonych niemieckich uważała bowiem ludność kultury łużyckiej za Ilirów, a polscy autochtoniści — za przodków Słowian. Talent dyplomatycznego lingwisty osiągnął to, iż okazało się, że jedni i drudzy mają rację, a cała sprawa polegała na nieporozumieniu. Poświęcony został co prawda Max Vasmer, który na II Zjeździe Filologów Słowiańskich w Warszawie przeciwstawił mi się twierdząc, że Słowianie nie zetknęli się w dorzeczu Wisły z Ilirami, gdyż ci byli już zupełnie zlikwidowani przez Germanów, gdy tam wkroczyli Słowianie. Oczywiście, z wrodzonej delikatności, aby niepotrzebnie nie robić złej krwi, nie wytknięto tego pra-Germaninowi z Petersburga, nie uznającemu prawa repliki w przypadku, gdy redaktor jest recenzentem.

Z moich przypuszczeń syntetycznych co do rubieży etnograficznej ostało się właściwie tylko to, że jest ona linią pęknięcia dawnego zespołu bałto-słowiańskiego. Teraz otrzymała ona jednak ściśle określoną, konkretną, prehistorycznie uzasadnioną etnograficzną treść. W ten sposób, dzięki ujęciu rozbicia jedności bałto-słowiańskiej, jako skutku ekspansji weneckiej, oparcie się na faktach prehistorii, pozwala na chronologiczne ustalenie go na koniec II tysiąclecia przed Chr.

Jest rzeczą znamienną, iż ja, ujmując w roku 1927 podstawy syntezy autochtonistycznej, oparłem się przede wszystkim na wynikach badań językoznawczych. Natomiast kościec książki, napisanej przez znakomitego lingwistę, — Tadeusza Lehr-Spławińskiego, stanowią osiągnięcia naszych prehistoryków, ostatnio ujęte przez Tadeusza Sulimirskiego. Ten paradoks tłumaczy się nader prosto. W ostatnim ćwierćwieczu prehistoria i antropologia, osiągnąwszy ujęcia syntetyczne, odsłoniły nowe perspektywy. Lingwistyka natomiast, która osiągnęła ten poziom znacznie wcześniej, nie mogła się już pochwalić równie sensacyjnymi wynikami. Zresztą chaotyczna mieszanina nazw geograficznych różnorodnego pochodzenia, stwierdzona na obszarze Polski, dopiero w perspektywie prehistorii stała się zrozumiałą jako rezultat rzutowania przeszłości na płaszczyznę teraźniejszości. Te przez J. M. Rozwadowskiego niedocenione wyniki jego badań pozwalają na utożsamienie etniczne bezimiennych kultur prehistorycznych i umożliwiają na podbudowanie historii głęboką perspektywą prehistoryczną.

Dane gramatyczne i słownikowe, przytoczone przez Tadeusza Lehr-Spławińskiego dla poparcia jego twier-

dzeń pozwalają na danie ciekawych uzupełnień, przy zastosowaniu naszej metody ilościowej.

Jeszcze wtedy, gdy pracowałem nad ilościowym ujęciem kartogramów, przedstawiających osiągnięcia Kazimierza Nitscha w dziedzinie dialektologii polskiej, zauważyłem, że najstarsze zróżnicowanie polszczyzny odzwierciedla się w morfologii, najmłodsze w słowniku, a zjawiska fonetyczne zajmują chronologicznie miejsce pośrednie. Gdy zwracałem na to uwagę moim lingwistycznym moderatorom, fakt ten nie wzbudził ich zainteresowania. Teraz, w perspektywie prehistorii, okazało się, że rozbieżności, zachodzące między gramatyką a słownikiem w materiale Tadeusza Lehr-Spławińskiego, stanowią konsekwencję momentu chronologicznego.

Olśniony perspektywami prehistorii nie liczy się on zupełnie z możliwością uchwycenia wpływu tego czynnika na terenie językoznawczym i twierdzi w sposób kategoryczny, że materiał bałto-słowiański, podany na podstawie słownika porównawczego języków indoeuropejskich Aloisa Waldena w opracowaniu Juliusa Pokornego, „dowodzi stanowczo, że zespół językowy bałto-słowiański związany jest pod względem słownictwa, tak samo jak pod względem struktury gramatycznej, znacznie silniej z północno-zachodnim odłamem, tak samo jak pod względem struktury gramatycznej, znacznie silniej z północno-zachodnim odłamem języków indoeuropejskich niż ze wschodnim. Nadto zaś również zgodnie z wnioskami opartymi na budowie gramatycznej, materiał słownikowy słowiański wiąże się ściślej z germańskim niż materiał bałtycki (94; 52), co pozwala przypuszczać, że w obrębie wspólności językowej praindoeuropejskiej i bałto-słowiańskiej przodkowie językowi Słowian siedzieli bliżej przodków plemion germańskich niż przodkowie ludów bałtyckich. Tak samo w nawiązaniach z odłamem wschodnio-indoeuropejskim wyraźna jest znacznie bliższa łączność przodków Słowian z plemionami aryjskimi, niż związek z nimi bałtyckich (55; 3)." (str. 42, 43).

Otóż powyższe kategoryczne twierdzenia pozostają na ogół w sprzeczności z faktami przytoczonymi na ich uzasadnienie. Najłatwiej można wykazać, że co do słownictwa Germanie są ściślej zespoleni z Bałtami, niż ze Słowianami. Okazuje się, że w materiale podanym na stronie 42 na 121 wyrazów bałtyckich mamy wspólnych z Germanami aż 72, co stanowi 60 %, na 251 wyrazów bałto-słowiańskich — wspólnych z Ger-

manami jest tylko 128, czyli 51 %, a wreszcie na 281 wyrazów słowiańskich wspólne z Germanami osiągają liczbę 136, czyli zaledwie 48 %. Skontrolowanie pozostałych twierdzeń wymaga zaś ujęcia ilościowego powinowactw, zachodzących pomiędzy poszczególnymi językami.

Zastosowanie metody ilościowej unaocznia przede wszystkim fakt, że zacieśnienie pola widzenia, spowodowane ograniczeniem się do bałto-słowiańskich zjawisk językowych, zasłania fakt tak jaskrawo występujący w ogólno-indoeuropejskiej perspektywie, że grupa północno-indoeuropejska stanowi najbardziej wyodrębniony zespół, przeciwstawiający się pozostałym językom indoeuropejskim. Ponadto w świetle jej wyników staje się wielce prawdopodobnym, moim zdaniem, że w danych słownikowych odzwierciedlają się stosunki późniejsze, a w danych gramatycznych dawniejsze. Do tej dawniejszej fazy należy ściślejsza łączność Słowian z Germanami, a do późniejszej — ściślejsze zespolenie się Bałtów z Germanami. Ponadto w tym dawniejszym okresie, odzwierciedlonym w danych gramatycznych, uwydatniają się zarówno: ściślejsze zespolenie Irańczyków z Bałtami, a nie ze Słowianami, oraz konsekwencje ekspansji weneckiej. Natomiast dane słownikowe kształtują się pod przemożnym wpływem ekspansji scytyjskiej (irańskiej). Przypuszczalnie temu czynnikowi przypisywać należy oderwanie Słowian od Germanów oraz ich zespolenie z Irańczykami. Natomiast zespolenie Bałtów z Germanami może stanowić konsekwencję ekspansji Germanów na ziemiach Bałtów. Gdyby ta interpretacja była słuszna, to wyniki nasze świadczyłyby wymownie przeciwko poglądowi, że znaczniejsze ilości Germanów przebywały przez czas dłuższy na ziemiach zamieszkanych przez Słowian.

Prawidłowość osiągniętych wyników ilościowych jest zaiste bardzo duża. Na szczególną uwagę zasługuje przestrojenie się obrazu powinowactw opartego na zjawiskach słownikowych. Świadczy to o ich plastyczności. Będzie to bez wątpienia konsekwencją skwalifikowania licznych zapożyczeń, jako wyrazów rodzimych, stanowiących relikty z czasów poprzedzających obecne zróżnicowanie. Im to bez wątpienia przypisywać należy, że w przeciwieństwie do wyraźnie zarysowanego obrazu, dawanego przez zjawiska gramatyczne, dane słownikowe, odzwierciedlające stosunki o pół tysiąclecia późniejsze, dają nam szary, słabo kontrastowany, kojarzący się ze wspomnieniem startego miedziaka, a jednak mimo to bardzo pra-

widłowy. Świadczy to, że nawet osiągnięte wyniki nie posiadają przypadkowego charakteru.

Książka Tadeusza Lehr-Spławińskiego posunęła poważnie zagadnienie naszej syntezy autochtonistycznej przez ujęcie ekspansji weneckiej i uporządkowanie danych toponomastycznych. Ponadto, przez swoje niedociągnięcia w dziedzinie statystycznego wyzyskania materiału, dała nam możność zwrócenia uwagi na fakt znamienny, że w słowniku odzwierciedlają się stosunki późniejsze aniżeli w zjawiskach gramatycznych. Stawia to na porządku dziennym należyte opracowanie słownika indoeuropejskiego Walden-Pokornego, zapewniając osiągnięcie bardzo ciekawych i ważnych wyników. Wreszcie należy jeszcze zaznaczyć, iż krytykując A. L. Kroebera, profesora Uniwersytetu Berkeley, amerykańskiego entuzjastę mojej metody, Tadeusz Lehr-Spławiński nie zorientował się iż ten, wskutek swoich niedociągnięć, osiągnął wyniki odpowiadające późniejszej fazie stosunków indoeuropejskich, to znaczy poprostu zmajoryzywał zjawiska starsze, przez liczniejsze uwzględnienie młodszych.

Polska synteza autochtonistyczna posiada nader ciekawą historię. Gdyby ją przedstawić z talentem, dałoby to bardzo fascynującą lekturę detektywistyczną, pozwalającą na naszkicowanie sylwetek poszczególnych bohaterów tej w rzeczywistości wyprawy w nieznane. Jest przecież rzeczą dziwną, że syntezy tej nie dał ośrodek praski od bardzo dawna przodujący w dziedzinie slawistyki. Tam bowiem pracowali tak znakomici uczeni, jak Dobrowski, Šafařik, a ostatnio Niederle. Tam przecież znajdował się świetnie wyposażony, tradycją uświęcony aparat badawczy, stanowiący przedmiot stałej troski, nie tylko państwa, lecz też i społeczeństwa. Tymczasem ogólna synteza wykwitła zupełnie nieoczekiwanie jako rezultat kolaboracji poznańsko-lwowskiej. Stanowiła ona zaś nagrodę niezależności polskiej myśli naukowej.

POLAK NAMIESTNIKIEM PRUS WSCHODNICH[1]

Pokonanie Niemiec przez aliantów zachodnich i Związek Radziecki otwarły Polsce wreszcie możliwości zajęcia ziem posiadanych ostatnio przez Niemcy, a państwu polskiemu do istnienia nieodzownie potrzebnych. Jak wiadomo są to ziemie utracone przed wiekami, lub też takie, nad którymi Polska posiadała jedynie luźną zwierzchność. Nic dziwnego, że w ostatecznym ich zagospodarowaniu brali udział przede wszystkim Niemcy i wobec tego dzisiaj z każdego kąta niemal witają przybyszów polskich wspomnienia dotychczasowych gospodarzy tych obszarów. Atoli wszędzie, gdzie tylko się na te nowe ziemie udamy, w ogromnej ilości na Śląsku, w poważnej ilości na Pomorzu, mniej nieco w Prusiech Wschodnich napotykamy również pod pokrywą nalotu niemieckiego mniej lub więcej wyraźne ślady działalności polskiej. Jeśli chodzi o Śląsk, to jak wiemy, możemy tu mówić wyraźnie całkiem o polskiej historii tej prowincji, podobnie swoją polską historię posiada i Pomorze. Inaczej trochę przedstawia się sprawa z Prusami Wschodnimi. Wprawdzie Warmia stanowiła przez dłuższy okres czasu część państwa polskiego, pozostałe jednak części przyłączonych dziś do Polski Prus Wschodnich, należące niegdyś do państwa pogańskich Prusów, potem do wielkiego państwa zakonnego miały wprawdzie przybyłą tu ludność polską, ale ludność ta przeważnie chłopska nie dochodziła do głosu, tak, że ziemie te związane tylko przez jakiś czas luźnym lennem z Polską mało wydawałoby się mają łączności z państwem polskim. W tej sytuacji wydaje mi się być korzystnym przypomnieć i szerzej omówić fakt znany dobrze historykom polskim,[2] troskliwie przemilczany przez Niemców, zarządzania Księstwem Pruskim przez Polaka w charakterze namiestnika. Nie przywiązujemy przesadnego znaczenia do tych faktów

[1] Artykuł niniejszy jest odpowiednio przerobionym wyjątkiem z szerszej pracy przygotowanej do druku p. t. Polska a Brandenburgia i Prusy w latach 1632—1648 r.

[2] Pisał o tym L. Kubala w Jerzym Ossolińskim, oraz K. Piwarski: Dzieje polityczne Prus Wschodnich 1621—1772.

historycznych. Nie na podstawie takich ułomkowych praw, ale na podstawie praw sprawiedliwości historycznej Polska otrzymała te ziemie. Z drugiej strony dla niejednego Polaka urządzającego dziś te ziemie w imieniu Rzplitej może być przyjemnym skonstatować, że w pracy tej miał w zamierzchłej niemal przeszłości swoich, nieprzeciętnych poprzedników.

* * *

Jednym z najważniejszych problemów jakie w pierwszej połowie XVII w. Polska musiała rozstrzygnąć, była jak wiadomo sprawa ułożenia swego stosunku z Szwecją. Zagadnienie praw dziedzicznych polskich Wazów do tronu szwedzkiego; sprawa Inflant a z czasem kwestia panowania nad należącymi do Polski wybrzeżami morza Bałtyckiego, wreszcie zagadnienie popierania przez Polskę i Szwecję przeciwnych sobie obozów ideologicznych w Europie, mianowicie obozu protestanckiego i katolickiego sprawiły, że stosunki te plątały się w mocny, trudny do rozplątania węzeł. Nie zdołał go rozwiązać Zygmunt III i zawierając rozejm w Altmarku w 1629 r. zostawił załatwienie tej kwestii swojemu zdolnemu synowi Władysławowi. To też gdy w 1634 r. rozejm, który miał trwać 6 lat wyraźnie zbliżał się ku końcowi, musiał się Władysław zająć załatwieniem tego problemu.

Stwierdźmy tu zaraz, że Władysław, co udowodniłem swojego czasu na innym miejscu, miał przy rozwiązywaniu tego problemu przede wszystkim egoistyczne cele na oku, że dążąc oficjalnie do odzyskania korony szwedzkiej, w rzeczywistości chciał w zamian za zrzeczenie się swych praw do korony Wazów uzyskać przyzwoite odszkodowanie terytorialne.[3] Przy tym wszystkim trzeba pamiętać o dwóch rzeczach. Pierwsze, że Władysław musiał ze względu na społeczeństwo szlacheckie dążyć do oswobodzenia pruskich i pomorskich wybrzeży z pod panowania szwedzkiego, po drugie, że jako zdolny wódz parł do wojny, albowiem zdawał sobie sprawę z tego, że na tej drodze może nie tylko najwięcej uzyskać, ale równocześnie może się okryć sławą, której nade wszystko pragnął.

Było jasnym, że przygotowywując się do wojny z Szwecją musiał Władysław pomyśleć o dwóch rzeczach. W pierwszym rzędzie o stworzeniu floty w drugim o zapewnieniu sobie moc-

[3] Wł. Czapliński, Na marginesie rokowań w Sztumdorfie w 1635 r. Przegląd Współczesny 1938 r.

nych pozycji w Prusiech. O pierwszym zagadnieniu pomówimy na innym miejscu, obecnie chcemy trochę miejsca poświęcić zagadnieniu drugiemu.

Sprawa zapewnienia sobie w Prusiech przewagi militarnej była zagadnieniem specjalnie ważnym. Prusy musiały siłą rzeczy służyć Szwedowi jako baza wypadowa do ataku na Polskę, chodziło więc o to, by możliwie wcześnie zająć w tej ziemi dogodne pozycje wojskowe, z których możnaby było nie tylko przeszkodzić Szwedowi w rozwinięciu jego sił, ale podjąć atak na posiadane przez niego na wybrzeżu morskim miasta. Zadanie to było specjalnie trudne, wobec tego, że ziemie te podlegały przecież tylko pośrednio państwu polskiemu i były zarządzane przez zastępujących księcia, Jerzego Wilhelma, oficjalnego sprzymierzeńca Szwedów przebywającego wówczas w Brandenburgii, czterech regentów, oglądających się we wszystkich ważniejszych sprawach na wyraźny rozkaz księcia. Poza tym trzeba było pamiętać, że mieszkańcy Prus, w przeważającej części przecież jeśli chodzi o miasta i szlachtę pochodzenia niemieckiego, nie palili się mimo wszelkich zastrzeżeń, jakie żywili w stosunku do Szwedów, do aktywnego poparcia interesów polskich. Wprawdzie w otoczeniu króla znajdowali się ludzie, którzy usiłowali przekonać Władysława IV i jego otoczenie, że ludność Prus nie życzy sobie neutralności i gotowa jest „przy dostojeństwie JKMci, przy całości Rzplitej ... gardło i majętności swoje położyć", ale jak się rychło miano o tym przekonać, były to optymistyczne obliczenia, którym nie odpowiadała rzeczywistość.[4] Nie wiemy o ile Władysław IV dawał ucha tym swoim doradcom. Znając jego optymistyczną otwartą naturę możemy przypuszczać, że gotów był im wierzyć, atoli trzeba przyznać, że mimo to od początku 1635 r. kwestia zapewnienia sobie w Prusiech zarówno życzliwości tamtejszej ludności, jak i przygotowania wojskowego tej prowincji należała do najgłówniejszych trosk króla.

Polityka jego w tej sprawie szła kilkoma torami. Tak więc postarał się król w pierwszym rzędzie, wykorzystując niechęć mieszczan do naczelnych władz księstwa, o to, by pozyskać sobie najpotężniejsze z miast księstwa, Królewiec, składający się wówczas z trzech gmin miejskich. W tym celu wydał jeszcze

[4] Memoriał niewiadomego autora ogłoszony przez Tomkiewicza Wł. w Przeglądzie historyczno-wojskowym 1937 r. Wydawca przypisuje ten memoriał Koniecpolskiemu, ale naszym zdaniem niesłusznie. Autorem był, albo Zawadzki starosta świecki, albo ktoś z Prusaków.

w styczniu 1635 r. responsum, rodzaj dekretu, na mocy którego udzielił Królewcowi prawa swobodnego nakładania podatków, zaciągania wojska i zaprzysięgania go na wierność miastu według przedłożonej królowi roty przysięgi. Tego samego dnia jeszcze, 18. I. 1635 r. dogadał się król z reprezentantami miast pozostałych, które zwolnił od obowiązku przyjmowania załóg książęcych, wyjmując tym samym kwestię obrony tych miast z pod kompetencji księcia.[5]

Zapewniwszy sobie w ten sposób życzliwe stanowisko miast pruskich wytężył król swe siły, by zapewnić sobie wpływ na jedną z najgłówniejszych władz w księstwie mianowicie na sejmik prowincjonalny, składający się z przedstawicieli szlachty i mieszczan. W tym celu usiłował król z jednej strony na własną rękę zwołać ten sejmik (dotąd prawo zwoływania należało do księcia), potem zaś skłonić stany do tego, by oddały sprawę wysokości podatków i ich ściągania w ręce króla. Próba ta przeprowadzona w lutym skończyła się jednak niepowodzeniem. Regenci bowiem pilnując praw książęcych zebrali sejmik dopiero wówczas, gdy przyszło do wyraźnej zgody księcia, potem zaś, gdy posłowie przysłani przez króla poczęli naciskać na stany, by oddały sprawę obrony w ręce króla, odroczyli dalsze obrady i skłonili delegatów stanów do rozjechania się do domu.[6]

Już jednak w dwa miesiące później udało się królowi częściowo przeprzeć swoją wolę. Kiedy bowiem w kwietniu zażądał od regentów zwołania sejmiku prowincjonalnego, regenci nie odważyli się tym razem sprzeciwiać się jego woli i zwołali na 3. maja sejmik do Zalewa, gdzie zgodnie z wolą króla szlachta uchwaliła żądane przez niego podatki.[7]

W parze z tymi posunięciami króla szła również jego działalność na innym polu. Tak więc jeszcze w marcu wysłał do Księstwa pułkownika Anzelma Truchsessa w celu zbadania stanu obrony tej prowincji. W kwietniu wysłał król tamże szereg pułkowników, zresztą prawie bez wyjątku Prusaków, którym polecił werbunek nowych oddziałów w tej ziemi. Wodzem naczelnym tej mającej w Księstwie powstać armii

[5] Responsum Królewcowi Rps. Czart. 130,41. Responsum mniejszym miastom Rps. Bibl. PAU 1055, 16.

[6] Akty do tego sejmiku w Pruskim Tajnym Archiwum Państwowym w Berlinie (A. B.) oraz w Państwowym Archiwum w Królewcu (A. Król).

[7] Akty tamże.

mianował król Prusaka, Wolfganga Kreytza, podczas gdy na komendanta Królewca wysunął Ottona Pudewelsa.[8]

Postępując w ten sposób nie krył się również król wcale przed posłami księcia pruskiego i elektora brandenburskiego z tym, że życzy sobie, by książę oddał mu całkowicie sprawę obrony Księstwa, z tym że prawa zwierzchnie elektora zostaną nienaruszone.[9]

Wiadomości o tym wszystkim dochodzące Jerzego Wilhelma zaniepokoiły go niemało, ale równocześnie przekonały go, że jeśli nie przybędzie do Księstwa, to król wcześniej czy później weźmie tam władzę w swe ręce. Tymczasem zaś okoliczności, których nie możemy tu bliżej roztrząsać układały się w ten sposób, że elektor nie mógł się zdecydować na przyjazd do Księstwa, wobec czego wybrał wyjście, wydające mu się najwygodniejszym, mianowicie postanowił sam oddać czas jakiś królowi władzę zwierzchnią w swej prowincji. Z tą misją został do Warszawy wysłany jeden z najzdolniejszych jego radców, sprzyjający zresztą niewątpliwie raczej Szwedom niż Polsce, Lewin Knesebeck.

Knesebeck otrzymał swą instrukcję dopiero z końcem kwietnia i udał się najpierw do Prus, by tu zbadać panujące wśród mieszkańców tej ziemi nastroje. Z Prus dopiero zawadziwszy po drodze o kwatery polskich delegatów do rokowań pokojowych w Prusiech udał się Knesebeck do stolicy Rzplitej.[10]

Poselstwo Knesebecka przyjęto na dworze królewskim z cichym zadowoleniem. Król przekonał się mianowicie w czasie tych pierwszych miesięcy t. r., że wobec lękliwości regentów, wobec braku zapału mieszkańców Księstwa do poważniejszych wysiłków w celu obrony swej ojczyzny nie przyjdzie mu łatwo narzucić swą wolę tej ziemi, jeśli to będzie się działo wbrew woli jej władcy. W konsekwencji w rokowaniach, rozpoczętych ostatniego maja i prowadzonych potem w czerwcu, król starał się uwzględniać życzenia elektora, oraz uspokajał zdecydowanie niechętnego elektorowi podkanclerzego Gembickiego. Inna rzecz, że w czasie tych rokowań przyznał, że szlachta ostrzy sobie apetyty na starostwa pruskie, kiedy zaś Knesebeck oferował przyjazd elektora do Prus, na pół żartem na pół serio stwierdził, że w takim wypadku nie puści go za

[8] List króla do regentów 4. IV. 1635 Rps. Bibl. Jagiell, 94 (Rps. Jag.) oraz listy w A. Król.

[9] Relacja Bergmanna 19/29 III. 1635 A. B.

[10] Instrukcja dla Knesebecka 14/24. IV. 1635 i jego liczne relacje A. B.

Wisłę. Ostatecznie w wyniku tych rokowań Knesebeck oddał królowi w imieniu elektora całkowite kierownictwo wszelkich spraw dotyczących obrony Księstwa z tym jedynie, czysto teoretycznym, zastrzeżeniem, że w wypadku przybycia elektora do Księstwa ten obejmie dowództwo nad wojskami krajowymi, ale nie będzie w żaden sposób zmieniał wydanych już przez króla zarządzeń. Ilość wojska, które miało być zaciągnięte w Królestwie określano na przeszło 8000 żołnierza. Król ze swej strony obiecywał znowu elektorowi, że „będzie bronił posiadłości i praw księcia, które mu z tytułu istniejących układów przysługują", oraz że nie będzie zmieniał systemu rządów w Prusiech. Obietnica ta została jeszcze wzmocniona odpowiednią kaucją wystawioną przez wybitniejszych senatorów jak kanclerz Jakub Zadzik, hetman koronny Stanisław Koniecpolski, Krzysztof Radziwiłł hetman litewski, Jerzy Ossoliński, podskarbi koronny i kilku innych.[11]

Układ ten wprawdzie był uzupełniony responsum królewskim, w którym Władysław uwzględniał pewne szczegółowe życzenia elektora odnośnie do stosunków w Księstwie, ale mimo to król mógł być z niego zadowolony.[12]

W gruncie rzeczy bowiem zyskiwał król dzięki temu układowi żądany wpływ na obronę Księstwa a wobec tego, że przecież w czasie wojny wszelkie sprawy musiały być podporządkowane sprawom obrony państwa, miał zapewniony na czas wojny przemożny wpływ na wszelkie sprawy państwowe w Prusiech.

Wzięcie w swe ręce wszelkich spraw dotyczących obrony prowincji przekonało jednak króla rychło z jakimi trudnościami jest złączone kierownictwo tych spraw. Pierwszą trudnością było uzyskanie od sejmiku prowincjonalnego zgody na żądane przez króla i konieczne do obrony kraju podatki. Sejmik ten zaczął się 21 czerwca i stosunkowo szybko skończył się, godząc się na ściągnięcie co prawda nie tak wielkich jak było trzeba, ale zawsze jeszcze dość wysokich podatków.[13]

Jeśli jednak tę pierwszą trudność zdołano dość szybko załatwić to rychło pokazało się, że pozostałe trudności nie dadzą się tak łatwo przezwyciężyć. Tak więc między innymi po-

[11] Kopia kaucji elektora 10. VI. 1635 r. A. B. Kopia asekuracji królewskiej Rps. Czart. 131.

[12] Responsum Knesebeckowi 11. VI. 1635 A. B.

[13] Urkunden und Aktenstücke zur Geschichte Friedrich Wilhelms T. XV. Wstęp napisany przez Kurt Breysig'a, oraz akty A. B.

kazało się, że sprawy stworzenia odpowiedniej siły zbrojnej w Prusiech i należytego zabezpieczenia poszczególnych miejscowości nie da się przeprowadzić nie pilnując jej na miejscu. Regenci bowiem nie kwapili się wcale z naznaczeniem wysłanym tu wcześniej jeszcze oficerom królewskim miejsc werbunkowych, ci zaś sami nie okazywali też zbytnio zapału do zaciągania żołnierzy. To też, kiedy w czerwcu trzeba było obsadzić poszczególne miasta oddane zgodnie z układem altmarskim przez Szwedów władzom Księstwa, nie było niemal kim ich obsadzić. Poza tym jednak waliły się na głowę króla jeszcze dalsze kłopoty. Regenci bojąc się zdaje się narazić elektorowi odnosili się we wszystkich drobiazgach do króla, który oddalony od Prus niejednokrotnie wydawał sprzeczne polecenia. Skutkiem tego dochodziło do nieporozumień, tarć między poszczególnymi władzami Księstwa, co naturalnie na dalszą metę było nie do zniesienia.[14]

W związku z tym zdecydował się król w połowie lipca udać się osobiście do Prus, by na własne oczy przypatrzyć się istniejącym tu stosunkom i pomyśleć o jakimś wyjściu i zaradzeniu tym trudnościom. Podróż ta nie była tak łatwa, albowiem Szwedzi zgromadzili wówczas już znaczniejsze siły pod Piławą. By więc zabezpieczyć się od niespodzianki polecił król obsadzić silniejszymi oddziałami leżące na północ od Królewca Rybaki poza tym zaś zabrał ze sobą około 2000 żołnierza i blisko 1000 osób liczący dwór i w tej asystencji udał się w podróż inspekcyjną po Prusiech, stając wreszcie w połowie miesiąca w Królewcu. Wynik inspekcji nie był pocieszający. Fortyfikacje Królewca nie były w stanie zadawalającym, regenci nie spieszyli się z wykonywaniem poleceń króla, miasta poszczególne powołując się na niedawne responsum króla nie chciały przyjmować do siebie oddziałów wojskowych, słowem trzeba było wszędzie wglądać i wydawać szereg zarządzeń i decyzji. W dodatku i nastrój mieszkańców Księstwa nie był korzystny. Nie wiadomo skąd rozeszła się po kraju wiadomość, że wszczęte z końcem maja rokowania polsko-szwedzkie w Stumdorfie są na najlepszej drodze i rychło dojdzie do zawarcia upragnionego pokoju.[15] Przekonanie takie wpływało naturalnie na to, że zarówno władze Księstwa jak i sama ludność uważała przygotowania wojenne za zbyteczne. Wszystko to razem skłoniło króla do tego, by opuszczając Prusy zostawić w Księstwie kogoś,

[14] Korespondencja króla z regentami A. B.
[15] Akty do pobytu króla w Królewcu głównie w A. B.

któryby wyposażony w pełnię władzy w jego imieniu pokierował obroną i zarządem Księstwa. Człowiekiem tym był bliski królowi, poważnie wykształcony i orientujący się dobrze w sprawach administracyjnych podskarbi nadworny koronny Jerzy Ossoliński. Mandat królewski wydany 20. VII. 1635 r. mianował go zasadniczo legatem królewskim, ale polecając mu równocześnie zastępować monarchę („vices nostras gerere") czynił go namiestnikiem króla polskiego. Jako taki otrzymywał Ossoliński władzę załatwiania wszelkich spraw dotyczących obrony Księstwa, mianowania dowódców poszczególnych oddziałów, przyjmowania przysięgi od urzędników Księstwa i władz miejskich, rozstrzygania wszelkich sporów wojskowych. Wprawdzie miał namiestnik polecone, by w takich sprawach radził się regentów, ale równocześnie rozkazywał król zarówno regentom, jak i wszelkim stanom, by we wszystkich sprawach „łączących się z obecną sytuacją i wojną" odnosili się do namiestnika i nic bez jego wiedzy i rady nie tylko nie czynili, ale nawet nie omawiali.[16]

Wybór na to odpowiedzialne stanowisko właśnie Ossolińskiego okazał się też z czasem bardzo trafnym. Jerzy Ossoliński zdołał się w czasie swego wówczas już 40-letniego życia kolejno zapoznać z różnymi dziedzinami życia publicznego. Wykształcony starannie w kraju i zagranicą, głównie w Niemczech, był kolejno posłem na cudze dwory, gdzie złożył dowody nieprzeciętnych zdolności dyplomatycznych, jako towarzysz królewicza Władysława w wyprawie na Moskwę zapoznał się bezpośrednio z sztuką wojskową i pokazał, że umie się również poruszać na polu walki; piastując od 1632 r. godność podskarbiego nadwornego zetknął się bezpośrednio z problemami finansowymi i administracją skarbową, wreszcie posłując na poszczególne sejmy polskie nauczył się w pewnej mierze trudnej sztuki obcowania z ludźmi.[17]

Zadanie przed którym Ossoliński stanął było niełatwe. Pierwszą trudnością był brak pieniędzy. Tydzień po objęciu swej władzy donosił namiestnik królowi, że „Panowie regentowie z podatków tutecznych i grosza jeszcze nie mają, ażeby na kredyt swój gdzie dostali, wymóc na nich żadną żywą miarą nie mogę, albo oni sami dostać nie mogą". W takiej sytuacji jedynym poratowaniem dla niego był fakt, że kupcowie króle-

[16] Assignatio legati in Ducali Prussia Rps. Jag. 94.
[17] L. Kubala Jerzy Ossoliński, Warszawa 1924.

wieccy na asekurację królewską pożyczyli mu 20.000 złp. Mając już w swoich rękach trochę pieniędzy przystąpił Ossoliński do organizowanie dzieła obrony. Tak więc 26. lipca skłonił regiment, zaciągnięty przez mianowanego przez króla pułkownika Truchsessa, do popisu i złożenia przysięgi. Oddział ten okazał się wcale dobrym. Pokazało się, że „ludzie w nim nie tak podli, jak udawano i owszem siła sołdatów starych, a bodaj nie większa część". Ten regiment skierował Ossoliński do Rybaków, w której to miejscowości przeprowadzono pod dozorem namiestnika remont całkiem przez regentów zaniedbanych fortyfikacji. 200 osób z tego regimentu miało być wreszcie posłanych do małego zameczku Lochstadt pod Piławą. Drugi regiment Kreytza skierował namiestnik na przeciwległe wybrzeże Zalewu mianowicie do Brandenburgu i Balgi. Pozostałe zamki musiały jednak pozostać nieobsadzone, albowiem dostarczone przez kupców królewieckich pieniądze wystarczyły zaledwie na częściowe zapłacenie wymienionych oddziałów, było zaś jasnym, że pozostałe, wówczas już zaciągnięte oddziały nie popiszą się i nie złożą przysięgi, zanim nie dostaną pieniędzy. Wobec tego przystąpił namiestnik do budowy szańców nad Pregołą, do której to roboty „zaprzągł" miasto Królewiec, równocześnie zaś dopilnowywał budowy czajek dla Kozaków, którzy na polecenie króla, mieli być w liczbie 1500 żołnierza przerzuceni z Ukrainy nad Bałtyk, by tu na czajkach wspomóc słabą flotę.

Nastrój jaki w tym czasie panował w Księstwie nie budził otuchy w Ossolińskim. „Przeraża mię — pisał do króla — niedokońca stateczna wiara, ile baczyć mogę, i mała życzliwość przeciwko WKMci obywatelów wszystkich tutecznych, którzy tak się przez te lata z Szwedami powąchali, że i dotąd niemi trącą. Pokazuje się to i z tąd, że najmniejsza szkodka od lada żołdata ludzi WKMci bardziej bywa od nich exagerowana aniżeli sześcioletnie łupiestwo Swedzkie. Więc nieochota znaczna w wykonywaniu poleceń WKMci, słów więcej aniżeli rzeczy samych. Owo zgoła obawiam się, aby chcieli być dobrymi, gdy nie będą mogli." Podobnie pisał do sekretarza koronnego: „świadków mam poczciwych ludzi, że nie próżnuję, biedząc się z nieszczerością, nieżyczliwością, niedostatkiem a naostatek i z głupstwem grubym tutecznych ludzi." Że w tej sytuacji nie ufano nawet zaciągniętym przez króla oficerom świadczy fakt, że do poszczególnych zaciągniętych oddziałów poprzydzielano

komisarzy Polaków, zdaje się nie w innym celu, jak poto, by pilnowali lojalności oficerów, Prusaków.[18]

Dużą pomocą i pociechą dla Ossolińskiego było, że Król, śledzący z zainteresowaniem jego działalność, służył mu pomocą, nie szczędził rady i wyrazów otuchy. Tak więc widząc trudności finansowe swego namiestnika, z jednej strony skierował pismo stanowcze do regentów wzywając ich do szybkiego ściągnięcia uchwalonych na sejmiku podatków, z drugiej zaś wysłał do zachodnich powiatów Prus polskiego pułkownika Żółtowskiego na czele tysiąca kilkuset żołnierza, który to oddział nie bacząc na protesty tamt. starosty zajął Pruski Holląd, Preuschmark i Morungę. Równocześnie każdy list przysłany przez króla z Grudziądza, gdzie wówczas przebywał, zawierał szereg poleceń zarówno natury politycznej, jak i wojskowej. Co do stanowiska ludności samego Księstwa król był dobrej myśli. „Lud ten nie przywykły do panowania naszego obojętnym się stawia — pisał do Ossolińskiego z początkiem sierpnia — z czasem będzie sposobniejszy, gdy konwersację szwedzką złoży i odorem ich pozbędzie."[19]

Powoli też energia Ossolińskiego zdołała przy poparciu króla przezwyciężyć istniejące trudności. Obok oddziałów Truchsessa i Kreytza stanął z czasem oddział barona Szenka, który zajął dalsze miasta nad Zalewem. W połowie sierpnia broniło Księstwa już prawie 4000 żołnierza pruskiego, jakie 1200 żołnierzy Żółtowskiego, około 600 ludzi licząca załoga Kłajpedy, wreszcie przybyły w tym czasie oddział Kozaków, liczący koło 1000 mołojców. Było to więc razem koło 7000 dobrego żołnierza. Jeśli do tego doliczymy jeszcze załogę Królewca liczącą wraz z milicją blisko 7000 żołnierzy, oraz wybrańców, których liczba dochodziła do 2000 to widzimy, że dzięki wysiłkom Ossolińskiego i króla broniła wówczas Księstwa siła licząca koło 16.000 żołnierzy. Naturalnie liczba ta nie oznaczała jeszcze kresu wysiłku Księstwa, albowiem Ossoliński, nie bacząc na niezadowolenie regentów prowadził dalej zaciągi.[20]

W parze z tym wzmacnianiem siły wojskowej Księstwa szło upewnianie się co do jego wierności. Na polecenie bowiem króla wysłał Ossoliński do poszczególnych miast swoich delegatów, by odebrać od władz miejskich przysięgę na wierność

[18] Jerzy Ossoliński do króla 27. VII. 1635 Rps. PAU 1055.
[19] Listy króla do Ossolińskiego Rps. Jag. 94.
[20] Stan liczbowy wojska zestawiony na podstawie danych archiwalnych i niemieckich opracowań odnoszących się do tego okresu.

królowi. Do niektórych miast wysłał z podobną misją sam król Żadorskiego.

Z chwilą, gdy w ten sposób zagwarantowano z grubsza bezpieczeństwo Księstwa trzeba było znowu z kolei pomyśleć o zapewnieniu koniecznych do zapłacenia wojska pieniędzy. Koszt utrzymania czterech regimentów (trzech zaciągniętych przez króla i jednego stojącego w Kłajpedzie) przez trzy miesiące wynosił razem z żywnością dla tych oddziałów 352.000 złp. Tymczasem z podatków zebranych poprzednio oraz z gotowizny znajdującej się w skarbie zdołano zapłacić zaledwie 100.000 zł. Tym samym trzeba było pokryć deficyt w wysokości 252.000 zł.[21]

Naturalnie odpowiednią sumę można było uzyskać jedynie od stanów, które w tym celu musiały na sejmiku uchwalić nowe podatki. Wobec tego Ossoliński w porozumieniu z królem wezwał regentów do zwołania sejmiku, który też ostatecznie został zwołany, już bez zasięgania zgody elektora, na dzień 28. sierpnia.

W chwili, kiedy sejmik się zbierał, było już jasnym, że do wojny nie dojdzie i że w najbliższych dniach nastąpi zawarcie rozejmu. Prawdopodobnie wskutek tego frekwencja na tym sejmiku była niesłychanie skromna. W pierwszym dniu ze szlachty przybyło jedynie 3 reprezentantów. Mimo to 29. sierpnia rozpoczęto obrady. Propozycję wygłosił jeden z regentów, potem przemawiał w imieniu króla Ossoliński. Wobec bliskiej perspektywy zawarcia traktatów wzywał też jedynie do uchwalenia odpowiednich podatków, by można było zapłacić zaciągnięte przez króla wojska. Przy tej sposobności podkreślał wysiłki króla podjęte jedynie w tym celu, by zapewnić tej prowincji pełne bezpieczeństwo. „Nie zostaje nic JKMci — oświadczył na końcu — w czym by nam poddanym swoim affekt swój ojcowski mógł oświadczyć, chyba, żeby już serce swoje królewskie dla nas otworzył, w którym bez wątpienia nic inszego nie wyczytalibyśmy, tylko szczególną ku nam miłość. Tak dobrotliwemu Panu aczkolwiek od wszystkiej Rzplitej, ale osobliwie od tutecznej prowincji jakaby powinna być wdzięczność, nie chcę się szeroko rozwodzić, gdyż z ludźmi mówię nie z kamieńmi, których samych poruszyć mógłbym.[22]

Nadspodziewanie jednak mieszkańcy Księstwa okazali się twardszymi niż kamienie i przez dłuższy czas, w każdym razie, aż do wyjazdu Ossolińskiego, nie mogli się zdecydować na

[21] Propozycja na sejmiku pruskim 29. VIII. 1635 A. B.
[22] Przemowa Ossolińskiego A. B.

uchwalenie żądanych podatków, co nastąpiło dopiero w październiku, już po odjeździe Ossolińskiego. Przyczyną takiej ospałości był niewątpliwie fakt, że niedługo po zwołaniu sejmiku rozeszły się wieści o bliskim zawarciu rozejmu a 12. września, rozejm zwany w historii stumdorfskim stał się faktem. Tym samym jednak mieszkańcy Prus nie odczuwali potrzeby uchwalania podatków. Równocześnie Ossoliński jako podskarbi koronny nie mógł być dłużej namiestnikiem Prus i opuścił Królewiec udając się na dwór królewski. Osiemnastego września wyszedł dokument odwołujący go ze stanowiska namiestnika i mianujący zastępcą jego kasztelana parnawskiego Magnusa Ernesta Denhoffa.[23]

Tym samym kończył się jeden rozdział stosunków polsko-pruskich, namiestnikowstwa Polaka na dawnych ziemiach krzyżackich. Gdybyśmy chcieli w związku z tym ocenić działalność Ossolińskiego, to musimy przyznać, że wywiązał się dobrze z przyjętej roli. Jego wysiłkom w dużej mierze należy przypisać fakt, że w obliczu grożącej wojny Księstwo znalazło się zaopatrzone w żołnierza i przygotowane do obrony. Fakt ten mógł się w pewnym stopniu przyczynić do ustępliwości Szwedów przy traktatach. Z drugiej strony mimo całej drażliwości swej sytuacji umiał Ossoliński zarówno uszanować interesy i wolę króla, jak i nie zrazić sobie tak regentów jak i ludności Księstwa. Wyrazem tego była z jednej strony życzliwa korespondencja prowadzona z Ossolińskim przez elektora, z drugiej, że z chwilą gdy Ossoliński opuszczał 17-go września stolicę Prus, regenci ofiarowali mu z wyrazami wdzięczności 2000 Talarów, t. j. 6000 złp.[24]

Z ustąpieniem Ossolińskiego skończył się faktycznie okres namiestnikowstwa polskiego w Prusiech. Wprawdzie M. E. Denhoff był przez króla mianowany następcą Ossolińskiego i w gruncie rzeczy miał sobie powierzoną równą jemu władzę, atoli wobec zmienionych warunków politycznych, przede wszystkim zawarcia rozejmu, Denhoff tej władzy przyznanej mu przez króla prawie całkowicie nie wykonywał. Na innym miejscu zajmiemy się tą kwestią bliżej. Dziś możemy stwierdzić, że wobec tego iż po wyjeździe Ossolińskiego wszelkie rozporządzenia królewskie były wykonywane jedynie w tym wypadku, gdy na nie zachodziła zgoda elektora, praktycznie nie można już było mówić o kierowaniu sprawami Księstwa przez króla.

[23] Król do regentów 18. IX. 1635 A. Król.
[24] Regenci do elektora 13/23 IX. 1635 A. B.

WARSZAWA

1815—1831

II.

B o ż e N a r o d z e n i e. Tradycyjny rok obrzędowy jest jeszcze zawsze bardzo żywy .

Bardzo hucznie i wesoło obchodzono święta Bożego Narodzenia. Po cichym i skupionym okresie adwentowym nastaje dłuższy okres uroczystości i zabaw. Na kilka już tygodni przed wilią organiści roznoszą opłatki, z nich najsławniejsze bernardyńskie, większych rozmiarów. Wilia była obchodzona bardzo solennie; przygotowywano wieczerzę wigilijną z tradycyjnymi potrawami postnymi, łamano się opłatkiem, zapalano świeczki na drzewku wigilijnym; zjawiał się Hajlekryst z długą siwą brodą i rozdawał dzieciom podarki. Msza pasterska o północy była zawsze tłumnie nawiedzana; organista dobierał sobie z młodzieży chór, który na pamiątkę powitania Dzieciątka w stajence, naśladował głosy zwierzęce. Wójcicki, który nam tę tradycję przekazał, pisze: „ten świstał jak kos, ten krakał jak wrona, inni ryczeli jak woły, to beczeli jak owce w towarzystwie świerkania ptastwa rozmaitego. Powstawał z tego gwar niesłychany, a wszystko to na pamiątkę urodzin Jezusa. Najsłynniejsze pasterki odbywały się w kościele Paulinów wprost Mostowej ulicy, które gdy poszły w przesadę, z chórów usunięto gorliwych naśladowców ptastwa i zwierząt."

Od wilii zaczynając ubodzy studenci z niższych szkół obchodzili domy, gdzie czytali ewangelię, dostając za to parę groszy i coś do zjedzenia. Od pierwszego święta zaczynają się obchody z „turem" czy „żórawiem", znane w całym kraju; chłopcy rzemieślniczy, przebrani za fantastyczne zwierzęta, kudłate czy dziobate, chodzili po domach śpiewając kolędy i wyprawiając zabawne figle. Od Trzech Króli zaczynały się widowiska wędrownych zespołów, przedstawiające sceny „herodowe", a więc adorację pasterzy, trzech króli, porwanie Heroda przez śmierć. Daleko popularniejsze było widowisko szopkowe, podówczas jeszcze wolne od naleciałości teatru

miejskiego; tutaj stale występuje Małgorzatka tańcząca, żyd, czarownica klecąca masło, Słowak z olejkami i driakwią, drelicharz z Andrychowa, góral, oczywiście także król Herod, śmierć i diabeł.

Były też jeszcze przez pewien czas odgrywane jasełka po kościołach; dopiero w r. 1822 zakazano tych przedstawień. „Było to widowisko osobliwe, pisze Wójcicki. — Przy jednym z ołtarzy bocznych urządzano zastawę szeroką z desek pokrytych mchem zielonym, i na niej małe figurki, przedstawiające stajenkę w Betleem ... Najsłynniejsze jasełka przedstawiano u Bernardynów na Krakowskim Przedmieściu i kościół był tu ciągle przez kilka tygodni przepełniony, szczególniej dziatwą, gdyż tu nie tylko jasełka były najokazalsze, nie tylko odznaczały się wielką ilością figur, bogato przystrojonych, ale co najwięcej wabiło, że się poruszały. Trzej królowie przesuwali się z dworzanami swymi i wojskiem przed ubogą stajenką, oddawali tu swoje hołdy nowonarodzonemu Zbawicielowi."

Nowy Rok był obchodzony bardzo hucznie. „Wszędzie brzmiała muzyka-pisze Wójcicki-bo orkiestry Czechów i grajkowie warszawscy obchodzili domy po kolędzie. Pocztylioni na trąbkach wygrywali przed gmachem pocztowym, na podwórzach hotelów i domów zajezdnych, kominiarze pierwszy raz czysto umyci biegali od kamienicy do kamienicy. Orkiestry wojskowe grały przed kwaterami swych pułkowników i generałów. Ruch po ulicach wielki od rana do wieczora."

W dzień Trzech Króli zakupywano na straganach przed kościołami kadzidło i kredę święconą; kadzidłem z jałowca i żywicy wykadzano mieszkanie, a kredą wypisywano na drzwiach tradycyjne litery K + M + B.

W dzień Matki Boskiej Gromnicznej kupowano znów poświęcane woskowe gromnice, które służyły jako obrona przed piorunami.

P o p i e l e c. W środę popielcową wyrostki przyczepiały dziewczętom klocki drewniane na znak, że nie zdołały w ciągu zapust wyjść za mąż; dużo zawsze było z tym nieporozumień i uciechy. W tenże dzień kto tylko mógł, jechał do Wilanowa; niegdyś odbywał się tam bal rzeźników, którzy spożywali niewyprzedane zapasy mięsa, a potem zabawa ta stała się modna. Gołębiowski liczy ilość wszelakiego rodzaju pojazdów, które w ten dzień znajdują się w Wilanowie na 450—1000. Odwiedzano także chętnie „wiejską kawę"; kto w ten dzień nie mógł być w Wilanowie, dochodził przynajmniej do ogrodowej kawiarni za placem Trzech Krzyży.

W i e l k i T y d z i e ń. Z tradycyj Wielkiego Tygodnia znany był jeszcze zwyczaj „topienia Judasza". Opisuje go Wójcicki: „W Wielki Piątek całe Stare Miasto wraz z bocznymi ulicami wybiegało pod kościół Panny Marii na Nowym Mieście dla widzenia śmierci Judasza. Chłopcy od szewców w towarzystwie pachołąt rybaków dużą ze słomy lalkę, dziwacznie przystrojoną, wciągali na wysoką wieżę kościoła, stamtąd rzucali ją na bruk wsród okrzyków przekleństwa, po czym bito kijami; gdy przywiązano do szyi duży kamień, gromadnie ciągniętą na sznurze topiono w nurtach Wisły."

Przez Wielki Piątek i Wielką Sobotę obchodzono „groby"; najpiękniejszy grób był podówczas u Kapucynów przy ulicy Miodowej.

Na Wielkanoc najpopularniejszą zabawą był śmigus, powszechnie w drugie święto praktykowany. Na pierwszego kwietnia, prima aprilis, zwodzono się wzajemnie; na pierwszy maja jeżdżono na Bielany, aby użyć przyjemności początku wiosny.

Z i e l o n e Ś w i ą t k i. Największy zjazd na Bielanach był jednak w Zielone Świątki. Naiwnie opisuje te zabawy Gołębiowski: „Ktokolwiek z cudzoziemców w drugim dniu Zielonych Świątek ujrzy Bielany, tę ludność całkiem niemal z stolicy wylaną, to mnóstwo powozów, ten ubiór kobiet rozmaitością i pięknością zadziwiający, widokiem tylu bogactw i wdzięków tylu zachwyconym bywa ... Powab tego miejsca i szlachetna prostota wspaniałej natury ujmuje; tu wyższych osób snujące się gromady mile bawią oko, tu mimowolnie pociąga szczerość zabaw ludu pod namiotami po całym lasku i przyjemnych nadbrzeżach Wisły rozsypanego. Rozstawione w kilku miejscach przygrywają orkiestry, pokazują sztuki, przedają trunki, rozmaite jadła i chłodniki. Dwie drogi wyborne do Bielan prowadzą; jedzie się dołem, wraca górą, wielu idzie piechotą. Powozów bywa 3600, konnych 300—620."

W r. 1825 sam cesarz Aleksander odwiedził na Zielone Świątki Bielany, dając okazję do entuzjastycznych manifestacyj.

Miasto było całe umajone zielenią. „Na dni kilka przedtem — pisze Wójcicki — przez wszystkie ulice Warszawy ciągnęły liczne fury Mazurów, wiozących gałęzie zielonej brzeziny i pęki ogromne tataraku, które rozkupywano skwapliwie, bo od niedzieli rano brzeziną przystrajano drzwi wchodowe i bramy, w szynkach izby, gdzie goście bawili, a okna i podłogi przez obydwa święta suto tatarakiem zaścielano."

W i a n k i. Odwieczny zwyczaj puszczania przez młodzież żeńską wianków w wilię św. Jana przybiera nowe formy, stając się z tradycyjnej zabawy ludu Starego Miasta i Powiśla wesołym widowiskiem całego, coraz to większego miasta. „Obrządek ten — pisze Łukasz Gołębiowski w r. 1831 — skromny niegdyś i cichy, samej tylko niższej zostawiony klasie, od lat kilku na most (przy ulicy Bednarskiej) i wyższe osoby ściąga, ciekawe przypatrzeć się tej niewinnej ludu zabawie."

Pamiętnikarz, T. Lipiński, notuje pod r. 1826, że w wilię św. Jana tysiące osób znajdowało się na moście. „Nie pamiętam żadnego roku w dzień ten takiego natłoku, jaki był teraz; do połowy mostu trudno się było przecisnąć. Uważam, że dzień ten zaczyna wchodzić w coraz większy zwyczaj; tą razą cały piękny świat, to jest pierwsze osoby w społeczności, znajdowały się na moście."

Zwyczaj ten przybiera też formy literackie; do wianków dołącza się często wierszyki, które następnie się odczytuje po wyłowieniu wianka. Cechy rzemieślnicze, które korporacyjnie brały udział w zabawie, puszczały na wodę wianki, mające symbolizować dane rękodzieło. Tak np. wedle relacji Kolberga wianek stolarski był z rozmaitych gatunków wiórów z drzew kosztownych na kształt piramidy strojnie uwity, gałązkami, łupinkami orzechów i woskowymi świeczkami poprzetykany. Wianek szewcki i rymarski utkany był misternie z okrawek rozmaitego gatunku skór, krawiecki z rozlicznych płatek sukna, powroźniczy z powrozów i sznurków itd. A chwytała zwykle te wianki czeladź lub chłopcy nie tego samego, lecz innego cechu; jeśli tedy zwinny żeglarz pochwycił np. wianek ze skór, wróżono mu, że się ożeni z szewcówną" itd.

Nie brakło oczywiście i figli; Słowacki w liście do matki z r. 1829 opisując wianki, na które „cała publiczność warszawska" gromadzi się na moście, dodaje, że „często się zdarza, że psy do aportowania wprawne, podżegane od złośliwych chłopaków wpław się za wiankami rzucają i wynoszą one na brzeg, a stąd zaraz dziewczętą źle sobie rokują na przyszłość i smutek przynajmniej na cały tydzień."

Równocześnie nad brzegami Wisły wyrostki zapalali ognie sobótkowe, skakali przez nie i śpiewali stare pieśni; w zabawie tej brali udział (wedle świadectwa Bandtkiego z r. 1819) chłopcy od rzemieślników i służące klas niższych. Także i tu wróżono ze skoków o przyszłym małżeństwie. „Zwyczaj ten zgromadza teraz na most i przyległą ulicę Warszawę niemal całą" — pisze Gołębiowski.

I n n e ś w i ę t a. W dniu Wniebowzięcia Marii Panny, zwanym powszechnie dniem Matki Boskiej Zielnej, wieśniaczki z okolic przynosiły zioła i kwiaty do poświęcenia; mieszczanie rozkupywali te zioła i przynosili do domu.

W dzień Wszystkich Świętych i zaduszki odwiedzano cmentarze; na grobach zapalano świece czy lampki.

O d p u s t y. Wielkie odpusty bywały na Emaus u Bonifratrów, w drugi dzień Zielonych Świątek u Kamedułów na Bielanach, na św. Stanisława na Woli, na św. Bonifacego w Czerniakowie; w kościele św. Karola za rogatkami Powąskowskimi był odpust w ostatnią niedzielę każdego miesiąca. Na Matkę Boską Zielną jeżdżono tłumnie do Rokitna, o trzy mile od miasta.

Z a b a w y p o p u l a r n e. Ale także i niezależnie od tradycyjnych świąt bawiono się wcale żywo. „W dni świąteczne latem — pisze Gołębiowski — zbiera się lud na Tamce, po wzgórzach Denasowskich, gdzie huśtawki sporządzone; to w licznych ogródkach w mieście i na przedmieściu, tam kręgalnie miewa, tudzież przekąski i napoje niekosztowne; zimą w mnogich gromadzi się szynkach, gdzie przy odgłosie katarynki albo innej okazalszej muzyki wywija ochocze tany. Sala Wrocławską zwana, za Mirowskich koszarami, zwabiała muzyką janczarską, miała galerię dla widzów, kiedy inni bawili się tańcem, grali w bilard lub karty."

Obrazek z takiego ogródka podmiejskiego, u Gebla, daje nam Witowski („Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia"): „Ledwieśmy minęli Wolskie rogatki, publiczność geblowska dała nam się poznać po kręglach. K a f e h o l c, a l e n e i n e, r u n d u m k e n i g! te były pierwsze słowa, któreśmy słyszeli. Na wnijściu do ogrodu spotkał nas dymek dosyć nieprzyjemny tytoniowy. To jest publiczność jakoby niemiecka ... składający ją jedni się huśtali, drudzy czekali przy bilarze, czy się nie zdarzy wątpliwy karambol, żeby powiedzieć zdanie swoje ... L u f t b i e r zaczął powoli rozgrzewać głowy publiczności geblowskiej ..."

Na Fawoach była znów „Mała Holandia", restauracja sławna z dobrej kuchni i wyborowej muzyki, wygrywającej najlepsze walce, mazurki, tyrolczyki i kontredanse.

Wiemy z raportów tajnej policji, że sale tańca i gospody, uczęszczane przez rzemieślników, były pod czujnym nadzorem władz; publiczność była gwarna i niespokojna, alkoholu zawsze było dosyć, więc dziwić się nie można, że zwady i bójki były na porządku dziennym, i że rzadko dzień świąteczny przeszedł

bez interwencji policyjnej. Wiemy też z tych raportów, że tutaj zachodzili również czasem akademicy i literaci, widocznie dla kontaktów politycznych.

Wielkie zabawy ludowe organizowano z tytułu nadzwyczajnych uroczystości. Taką więc wielką fetę wydano na placu przed ujazdowskim lazaretem (tam, gdzie dziś jest Park ujazdowski) w czasie koronacji Mikołaja na króla polskiego; Lipiński opisuje nam, że „wszystko jest gustownie i pięknie urządzone, po obu stronach od alei uszykowane są stoły w półkole, obite płótnem, po obu zaś stronach od pałacu wystawione galerie architektury gotyckiej, każda na tysiąc dam. W środku placu wznosi się rotunda na 13 gradusach; 16 kolumn koryckich utrzymuje kopułę, na niej orzeł polski, wewnątrz gzymsy, ozdobione girlandami i orłami. Po całym placu symetrycznie urządzono obszerne namioty dla muzyki i tańców, huśtawki i karuzele, dwie fontanny w kształcie globów na miód, sześć źródeł do czerpania piwa, dwie fontanny w kształcie kolumny, z których wino będzie wytryskiwać; są też amfiteatra na widowiska, maszty z chorągwiami ... Przed godziną pierwszą przybył cesarz i wielcy książęta konno, a cesarzowa w otwartej karecie, przyjęci przez prezydenta miasta, objechali cały plac i weszli do rotundy. Z danym znakiem lud przystąpił do stołów zastawionych różnym mięsiwem; w mgnieniu oka je wypróżniono, nie tyle jednak zjedli, jak chowali po kieszeniach i napełniali chustki." Ulewny deszcz przerwał uroczystość; dopiero nad wieczór znowu nadciągnęła znaczniejsza ilość osób, aby wykończyć to, co jeszcze zostało. Opodal stała w pogotowiu asysta wojskowa, kilka batalionów piechoty z ostrymi ładunkami i kirasjerzy; widocznie nie bardzo ufano ludności stolicy.

T y p y u l i c z n e. Ulica jest barwna. Dużo widuje się wojska, zarówno polskiego jak i rosyjskiego; wyżsi urzędnicy chodzą w mundurach. Publiczność wytworniejsza ubiera się wedle mody europejskiej, mieszczanie dawnego autoramentu chodzą w kapotach, Żydzi, których jest coraz więcej, mają własny tradycyjny ubiór, specjalnie uroczysty w soboty, w które to dni wkładają jedwabne chałaty i wielkie czapki sobolowe. Dużo było dalej włościan z okolicznych wsi, którzy wszyscy nosili podówczas barwny strój mazowiecki.

Ale poza tym nie brak jeszcze różnorodnych charakterystycznych typów, ożywiających i tak gwarne życie ulicy. Oto np. drelicharze z Andrychowa (w Galicji), w długich, jasnoniebieskich sukmanach i wysokich czapkach z białych baranków,

sprzedający drelichy, płótna i stołową bieliznę, czasem także i włoskie orzechy. Cebularze w żółtych żupanach, najczęściej z Podlasia lub z Krakowskiego, dźwigali efektownie swój towar, ogłaszając się głośno: cebuli, czosnku, koszałki, sieci! Garncarze, zarówno mężczyźni jak i kobiety, mieli swe składy na rynku Starego i Nowego Miasta, ale poza tym chodzili też po mieście; mężczyźni dźwigali towar swój na plecach, a kobiety w fartuchach miały miski gliniane polewane, w rękach zaś mniejsze garnki; także i na głowie nosił taki garncarz zazwyczaj dużą rynkę. Na ulicy Miodowej osiadali krupnicy przybyli z krakowskich stron; tutaj kupowano najpiękniejszą drobną kaszę i wyborową mąkę sandomierską. Pod Bramą Krakowską, a następnie, po jej zburzeniu, na stopniach kolumny zygmuntowskiej zasiadali tracze, najczęściej wysłużeni żołnierze, którzy wynajmowali się do piłowania czy rąbania drzewa opałowego. Dużo było „babek koszykowych", które sprzedawały ciastka i owoce w pobliżu szkół, przy kościołach i teatrze, lub też obnosiły po ulicach obwarzanki, jaja na twardo, kiełbasy i sery. Wieczorami, zwłaszcza w okresie karnawałowym, chadzali jeszcze kiełbaśnicy, obnoszący w blaszankach z gorejącymi węglami gorące kiełbaski, a także chleb i bułki, czasem i wódkę.

Władze zaczynają myśleć o uregulowaniu targów ulicznych. Decyzja namiestnika z r. 1823 przewiduje, aby „produkta i wszelkie wiktuały tylko na targach lub w miejscach stosownych, do tego przeznaczonych (tak ażeby przejścia i przejazdy publiczne, również jak i po domach prywatnych, nie były utrudnione), sprzedawano, żadne zaś tego rodzaju stragany na ulicach nie były dozwolone;" jedynie sprzedaż „kwiatów i fruktów" wolno było nadal prowadzić na ulicach, „byle nie na wąskich trotuarach".

S p r a w a ż y d o w s k a. Z kolei wypada zająć się nieco sprawą żydowską.

Rozporządzenie z dnia 19 czerwca 1821 rozszerza granice dzielnicy centralnej, w której nie wolno mieszkać Żydom; między innymi włączono tu także ulice Królewską i Marszałkowską, gęsto podówczas przez ludność żydowską, wysiedloną za czasów Księstwa z ulicy Senatorskiej, zamieszkane. Ośrodkiem nowej dzielnicy staje się ulica Franciszkańska.

Ogromna większość Żydów to oczywiście bieda z nędzą; w wielkim mieście zawsze była okazją do dorobku, więc nie dziw, że Warszawa ciągnęła ich do siebie. Bywali wśród nich

i bogacze, i to czasami zupełnie fantastyczni, jak choćby rodzina Szmula Zbitkowera. Berek Berekson, z oficjalnego nazwiska Sonnenberg, syn Szmula, wierny zawsze chasydyzmowi, chodzący w tradycyjnym stroju żydowskim, miał jeszcze od Fryderyka Augusta pozwolenie na mieszkanie w Warszawie poza dzielnicą żydowską; wystawił on wielką bożnicę na Pradze i czterdzieści tysięcy rubli na biednych gminie żydowskiej zapisał. Synowie jego przeszli w szeregi oświeconego żydostwa i przyjęli nazwisko Bergsonów (z tej rodziny pochodzi znany filozof francuski). Córka Szmula, Anna, rozwiódłszy się z pierwszym mężem, wyszła w r. 1813 za senatora Morawskiego, dyrektora głównego w komisji rządowej przychodów i skarbu. Matka ich, wdowa po Szmulu, zmarła w r. 1829, zapisała znaczne sumy dla licznych instytucyj dobroczynnych, bez różnicy wyznań. „Nie pamiętają — notuje Lipiński — aby widziano tak liczny orszak pogrzebowy, albowiem liczono powozów wszelkiego rodzaju do 400, i pięć tysięcy osób, a cóż dopiero znajdowało się ciekawych po wszystkich ulicach, kędy przechodził ten orszak. Rozdawano hojne jałmużny — zawiadomieni przez policję ubodzy jakiegokolwiek wyznania, zebrali się z całego miasta; najmniej, jeśli który złoty otrzymał. Dziesięciu rabinów z Warszawy i okolic miało mowy pogrzebowe".

Oświeceni Żydzi zaczynają się zbliżać do społeczeństwa polskiego; widzimy ich w lożach masońskich, gdzie czynny udział bierze Jakub Epstein, księgarz Nataniel Glücksberg, bankier Samuel Eleazar Kronenberg, spotykamy ich czasem w wojsku, przeważnie jako lekarzy; pewna ich ilość wstąpiła do wojska, w czasie powstania były usiłowania stworzenia „pułku starozakonnych", które zresztą spotkały się ze zdecydowanym oporem ze strony nadzoru bożniczego.

Coraz też więcej jest neofitów, i to rozmaitych sfer społeczeństwa żydowskiego. Dużo tu mamy konwertytów z pośród nędzarzy, którzy szukali oparcia o możnych protektorów (choćby księżnę łowicką Joannę czy ministra Grabowskiego), ale zdarzają się także neofici, których poziom kultury czy zawód oddalał od tradycyjnego ghetta; tak więc np. gdzieś od r. 1825 chrzczą się chyba wszyscy urzędnicy monopolu tabacznego. Największy z nich, najbardziej wpływowy, to chyba Leon Newachowicz, Żyd ze Szkłowa pod Mohylewem, dzierżawca konsumcji alkoholu w Warszawie i monopolu tytoniowego na całą Kongresówkę, który dorobił się ogromnej fortuny i zaczął się bawić w kulturę wystawiając nawet sztuki teatralne

własnego utworu; jedna z nich, „Abuhasan", przedstawiająca zgubne skutki nowatorstwa, upadła po pierwszym przedstawieniu w teatrze Narodowym, drugą wystawił amatorskimi siłami swoich urzędników z biur tabacznych i alkoholowych we własnym pałacu.

Komisja Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego organizuje trzy szkoły elementarne, przeznaczone dla młodzieży żydowskiej; otwarto je w r. 1820 na Marszałkowskiej, na Lesznie i na Bugaju. Uczono tu języka polskiego, kaligrafii i rachunków, tudzież czytano biblię w przekładzie Wujka, co oczywiście nie mogło się podobać ludności żydowskiej; szkoły te były bardzo niepopularne. W sześć lat później otwarto Szkołę Rabinów i Nauczycieli, na wcale wysokim poziomie, w której prócz biblii i talmudu uczono języka hebrajskiego, polskiego, historii powszechnej i polskiej, geografii, matematyki i nauk przyrodniczych, a więc przerabiano pełny kurs szkoły średniej; niedługo potem dodano jeszcze język francuski i niemiecki. Oczywiście i szkoła rabinów była znienawidzona.

Rzecz jasna, że tu i ówdzie zdarzały się jakieś awantury antysemickie. W czasie koronacji cara Mikołaja podczas iluminacji, pisze Lipiński — „formalna była krucjata na Żydów; chłopaki po wszystkich ulicach czynili zasadzki i ćwiczyli żydostwo; niebezpieczeństwo było stawać w obronie smaganych. Przypadek zdarzył się, że księdza wzięto za Żyda i kilkanaście mu prętów wyliczono". Ale i Żydzi, kiedy się czuli silniejsi, także mogli wywołać awanturę; w zapiskach tegoż Lipińskiego spotykamy wiadomość o powstaniu żydowskim na Pradze w jesieni 1830 r. Otóż burmistrz praski osadził w więzieniu kilku Żydów; współwyznawcy domagali się wypuszczenia ich na święto kuczek, a nie mogąc się tego doczekać, uderzyli na więzienie i wyswobodzili więźniów, wybijając przy tym szyby w mieszkaniu burmistrza.

Rozwój gospodarczy. Rozwój gospodarczy miasta postępuje bardzo szybko; po dwudziestu kilku latach zastoju kraj uzyskuje znowu możność względnie spokojnego myślenia o jutrze, a władze — czy to Staszic, czy Lubecki, tak od siebie odmienni i w tylu zakresach niezgodni — popierają bardzo intensywnie wszelkie poczynania gospodarcze. Koncentracja pieniądza w stolicy, obecność wielkiego garnizonu, licznego sztabu urzędników, znacznej ilości ziemian, spędzających tu długie miesiące, tworzą pomyślne warunki zbytu; produkuje się więc dużo, coraz więcej. Warszawa uniezależnia się w znacznym stopniu od towaru zagranicznego.

R z e m i o s ł a. „Rzemieślnicy teraźniejsi tak co do strojów jako też i sprzętów nie ustępują paryskim i londyńskim — pisze Gołębiowski. — Roboty krawców, szewców, tapicerów, siodlarzy, robiących powozy i stolarzy są tak piękne, że prace ich rozchodzą się i rozchodzić mogą śmiele i zagranicą. Ostatni w pałacach Bianka, Potkańskich i obok zamku pozakładali magazyny tak obfite, że najobszerniejsze domy odrazu mogą być umeblowane... Modniarek jest mnóstwo teraz... są na każdej ulicy głównej, a nawet po kilkanaście ich blisko siebie niekiedy. Szlafroki warszawskie idą aż do Berlina. Zadziwiającej piękności są lampy astralne i różne z blachy wyrabiane naczynia, jako to maszyny, wazony, lichtarze u Bonniera przy ulicy Bielańskiej; bronzy u Norblina, Hildebranda; zegary astronomiczne i grające złociste Krantza, Dragunowskiego, Ziera; roboty jubilerskie Siennickiego, Hildebranda, Neubauera, srebrne Plewińskiego niegdyś, Lilpopa, Schwartza i wielu innych; mosiężne platerowane Fragetów przy ulicy Jasnej, fortepiany Leszczyńskiego, Bucholtza, Jansena, Brinnera, z wynalazkami pod imieniem eolimelodikon, eolipantalion, trombonion, glaskordy znanymi, tudzież inne muzyczne instrumenta, smyczki do skrzypców i strony Fiorentiniego; świeczniki stalowe Bluhma, zegary podobnież Taszyńskiego i wszelkie roboty ślusarskie; krzesła po snycersku wypracowane i złocone przez La Chapelle i Gvimil, szory Cyryniego, siodła damskie Gebharda, gzymsy i krokszlyny z cynku wyrabiane jak na Lesznie, roboty piękne tokarskie u głuchoniemych i w wielu miejscach; prace introligatorskie, odlewy druków, instrumenta matematyczne Migdalskiego i Staniszewskiego, chirurgiczne najdelikatniejsze do zdejmowania katarakty nawet u Gerlacha i Mahna na Podwalu."

P r z e m y s ł. Podobnie przedstawia się również rozwój przemysłu fabrycznego, o czym także pisze Gołębiowski.

„Dziś za dzielną pomocą rządu mnóstwo fabryk liczy i główne miasto nasze i Polska cała... Gdzie niegdyś były piekarnie skarbowe za Prusaków, tam założono fabrykę rządową sukna, a wzbogaciwszy ją machinami i pierwszy nadawszy jej popęd, za półtora miliona złotych sprzedano bankierowi Frenklowi; posiada ona machiny do przędzenia, tkania, prasowania i postrzygania, kierowane przez machinę parową, ma nowo urządzoną farbiernię. W domu Pozenera na Nalewkach założył właściciel fabrykę sukna, do której sprowadził machiny Kokerella z Niderlandów; będzie to z czasem jeden z najpiękniej-

szych zakładów. Osadzeni w domu kary i poprawy, i ubodzy w Towarzystwie Dobroczynności robią sukna grube, kołdry i baje. Fabryka na Marymoncie tworzy 8—9 tysięcy sztuk perkalów, cyców, żaknotów, merynosów, jędwabnych materii, niemniej chustki pospolite, wełniane i bourre de soie; z pociechą widzieć można i wyższe nawet osoby nie pogardzające tymi wyrobami, dające przykład innym. Przy ulicy Książęcej jest fabryka wyrobów żelaznych; dom pomieniony ma długości 166 łokci, szerokości 24, sal 12, izb mieszkalnych dwoje tyle, w każdej sali mnóstwo warsztatów będzie. Materie półjedwabne i bawełniane wyrabiają Żydzi przy ulicy Twardej. Schatler na Podwalu ma tkanki bawełniane i węże konopne do sikawek, lepsze nad skórzane; czerkasy, kamizelki, dymy znajdują się w fabryce Kruszewskiego przy ulicy Bonifraterskiej. U Czabana są kołdry białe i kolorowe, bawełniane i wełniane; chustki, żaknot, madras, nankin i płócienka wydaje zakład Enocha Landstein za Zdrojami. Kwiatów paryskim równych dostarcza pani Chovot, Szyc, Loth i Wieczorkowska, pończoch nicianych, bawełnianych, jedwabnych, guziczków do koszul, fabryki tego rodzaju, pachnideł Szwellengreber. U Grossa rękawicznika 500—600 szwaczek wyrabiają rękawiczki z 40 000 skórek jagnięcych; doścignąć ten zakład usiłują Niwet, Schipold, Sandmann i inni. Garbarnie rządowe, Kurtza i Jakubowiczowej piękne wyprawiają safiany, skóry łosie i wszelkie inne. Kapelusze kastorowe męskie, damskie i dziecinne robią w wielu miejscach, a ze słomy krajowej dla płci pięknej kapelusze u Bourné, gdzie więcej niż dwieście dziatek pod dozorem Łukaszewskiej jest użytych. Powstała fabryka Martin, Gackiewicza i Stypułkowskiego grzebieniarzy, nie tylko że wyrabiają różne grzebienie, ale posiadają sposób spajania szylkretów i wprawiania zębów w grzebieniach złamanych. Dabasse i Reszke zastanawiającej piękności układają pióra damskie; złota i srebra ciągnionego fabryka Wina, dostarcza go haftarzom robiącym szlify i inne ozdoby wojskowe, jest również chustek tyftykowych naśladowanie. Na Solcu kobierców fabryka dodaje kolorowych włóczek, na 18 warsztatach zajmuje 180 osób i wyrabia przez rok dziewięć tysięcy łokci szlaków i kobierców; na pierwszą wystawę okazałe sukno granatowe z jednej, zielone z drugiej strony. Włosiennice na meble robią się u Michalskiego. Papiernia rządowa w Marymoncie do stu centnarów szmat cienkich spotrzebuje, z których welinu 1.200 ryz wyrabia; tamże jest fabryka papieru ze słomy, która daje

tektury dachowej ryz 12.000, niemniej 100 ryz papieru z rogóżek i 600 ryz okładkowego. Jest fabryka biletów, obiciów papierowych, werniksów i prędko schnącego lakieru, ceraty, glansowanej tektury do prasowania sukien, kart u Gotti i Baumanna na Żoliborzu, papierów kolorowych u Kuhnke; fabryka papieru na Solcu nie mało dostarcza wszelkich gatunków papieru. U Ewansa przy ulicy Świętojerskiej 150 osób, samych niemal Polaków użytych; wyrabiają z żelaza i mosiądzu hidrauliczne, gospodarskie i wszelkiego rodzaju. Piwo angielskie i porter wyrabia na Czystem Hahl Anglik. Pugilaresów i innych futerałów dostanie u Kunklera i w Instytucie Głuchoniemych; koszyki piękne są u Reinharta przy Żabiej ulicy; płodów chemicznych ogromnych i wielce pożyteczny zakład jest na Solcu pod sterem Hirszmana i Kijewskiego, skąd wychodzi sto niemal gatunków farb, kwasów i witriol w gatunkach lepszych jak zagraniczne. Mamy stambułki własne, z bursztynów ozdoby wszelkie; mydła przeźroczyste i pachniące robią się na Nowolipiu i w Marymoncie; tamże jest fabryka wody i proszku do blichowania ... Octu 500 okseftów podobnież się w Marymoncie zakwasza, nie licząc robionego u różnych w Warszawie. Lak do pieczętowania, ramy, tudzież ozdoby do mebli z masy pozłacane, niemniej pióra stalowe, kredę czarną i kolorową, guziki, szachy, tabakę, pierniki na toruński sposób już nie z zagranicy sprowadzamy, lecz w naszej stolicy wyrobione mamy. Umówiony jest Bawarczyk do założenia fabryki zwierciadeł."

Warszawa staje się także ośrodkiem handlu pieniężnego; coraz więcej jest tu domów bankierskich (Fränkel, Jakubowicz, Rosen, Kronenberg, Löve, Berends, Saulson, Salinger), a w r. 1828 powstał z inicjatywy ministra Lubeckiego wielki Bank Polski, mieszczący się w nowym, stylowym budynku obok pałaców ministerstwa skarbu przy placu Bankowym.

Hotele. Hoteli było dość, wśród nich szereg wielkich, wygodnych, mieszczących się w dawnych pałacach, które w okresie kryzysu za czasów pruskich przeszły w ręce przedsiębiorców. Był więc Hotel Paryski Nestego, zwany później Europejskim, dalej Chovot przy ulicy Miodowej, Polski przy Długiej, Litewski przy Nowosenatorskiej, Wileński na Tłumackiem u Rosengarta, Niemiecki i Drezdeński na Długiej, Angielski na Wierzbowej u Gąsiorowskiego, Podlaski przy ulicy Bednarskiej; poza tym było jeszcze sporo mniejszych i skromniejszych hoteli, aż do całkiem bezpretensjonalnych domów gościnnych.

Hotele prowadziły normalnie restauracje, „garkuchnie czyli restauratornie po modnemu" jak pisze Gołębiowski; „znajdują się wszakże traktiernie i oddzielne, jako to Pod Żarłokiem na Podwalu, u Marenża, Grassa itd. Znawcy sądzą, że najlepszy rosół i kapłon bywa u Szylera, befsztyk u Marenża, polędwica u Neymanowej, zupa pomidorowa w Hotelu Angielskim, pirogi i ryby w Wileńskim, flaki pod Żarłokiem, kurczęta u Grassowa i na Pradze, raki przedtem u Kolsonowej, teraz na Wiejskiej Kawie i szparagi tamże, zbytkowe potrawy u Chovot."

Moda cudzoziemska w kuchni stała się obowiązująca; żalili się na nią ludzie starzy, jak choćby Karpiński, który pod koniec życia odwiedził Warszawę i gorzko skarżył się Morawskiemu: „żeby też jedna potrawa, coby się po ludzku nazywała. Jakieś melszpajzy, plumpudyngi, poczciwa nawet sztuka mięsa w jakiś dziki przekształciła się bifsztyk, a wino, Boże odpuść, w jakichsiś rogatych kapeluszach, mankietach, same Francuzy, Hiszpany i Niemcy, nigdzie owo Hungaricum ..." Grafoman i wyjadacz, stary Molski skarży się również na nową modę win francuskich i hiszpańskich:

Soterno-Rewisalt-Tawel-Frontiniaki
Szatomargo-Szambertiny
I zakończone na esy
Jakieś Xeresy, Pedroxemenesy itd.
Ten rój wędrowców z gór całego świata
Modnych zbytków płód nieprawy
Dziką pstrocizną na stołach przeplata
Nieznane ojcom potrawy,

dopisując na marginesie: „nazwiska tych potraw śmiechu godne można czytać na karcie tutejszych restauratorów — płaci się drożej za tytuł niż za wartość."

K a w i a r n i e. Kawiarnie były już bardzo popularne. W r. 1822 liczono ich dziewięćdziesiąt; najwytworniejsze z nich to były Cesarska, Królestwa Polskiego (naprzeciw zamku), Wojskowa, Narodowa, Słowiańska (przy ulicy Powąskowskiej, wraz z ogrodem), pod Kopciuszkiem (dawnym i nowym); Paryska, Lursa, i w ogrodzie Unruha za Wolskimi rogatkami. „Wiejska Kawa" była zawsze bardzo uczęszczana; niekiedy bywało tu tyle gości, że ledwo się mieścili w siedmiu pokojach, i właściciel był zmuszony nowy dom postawić. „Kawa Nowowiejska", dalej położona, nie cieszyła się już takim uznaniem.

Ale od wytwornych lokali ciekawsze były małe kawiarenki, w których zbierało się osobliwe towarzystwo: dziennikarze, literaci, studenci, aktorzy, ideologowie polityczni, słowem żywioł inteligentny i niespokojny. Otóż ta ruchliwa i niesforna kompania bywała w „Suchym Lesie" przy ulicy Długiej tuż koło teatru, z Alojzym Żółkowskim, Elsnerem, Kurpińskim i Brunonem Kicińskim na czele, dalej w kawiarni Brzezińskiej, gdzie prócz kawy były także i dzienniki, krajowe i zagraniczne, a gdzie gośćmi bywali Nabielak, Goszczyński, Chopin, Mochnacki. W pałacu Teppera była popularna tak zwana żartobliwie „Dziurka Marysi", kawiarenka, do której wchodziło się przez niewielkie drzwi z klatki schodowej. Przy Miodowej również, w kamienicy „Kasztelańskiej" Al. Chodkiewicza była sławna w czasie powstania, kawiarnia Honoraty Cymermanowej, „Honoratka", w której była wyborowa muzyka; tutaj też skupiała się młodzież radykalna na zebrania konspiracyjne.

N i e r z ą d. Władze policyjne, wykonując stare rozporządzenie jeszcze z czasów Księstwa, wysiedliły domy publiczne z Mariensztatu, Źródłowej i Garbarskiej, wyznaczając im nowy rejon, mianowicie Dunaj, Bugaj, Furmańską, Tamkę, Twardą, nieco później także i Rybaki. Ale też na tym skończyła się właściwie ingerencja władz. L. Jabłonowski, który niedługo przed powstaniem był w Warszawie, stwierdza, że policja zostawia „zupełną swobodę heterom Powiśla i strzygom Furmańskiej ulicy, które w stroju Ewy z okien zapraszały na pięciogroszowe rozkosze".

Walkę z nierządem na swój kałmucki sposób prowadził także i Wielki Książę. Lipiński notuje w pamiętniku, że kiedyś w obozie pod miastem przytrzymano sześć takich kobiet; „wydany najwyższy wyrok natychmiast wypełniony został, to jest ogolono im głowy. Nic nie skutkowały ich płacze i prośby; przy dwóch takowych operacjach był obecny Wielki Książe. Gdy i na innych dopełniono wymierzoną karę, nie dość na tym odprowadzone zostały do miasta boso, obnażone prawie, gdyż im zdjęto chustki, kapelusze, i odebrano parasolki. Osobliwszego rodzaju był to widok widzieć te nieszczęśliwe ofiary idące zasmarkane ze świecącymi głowami, zbryzgane krwią, gdyż przy takim wzruszeniu poraniono je brzytwą, i kryjące swe oblicze w rękach przed mnóstwem ludu towarzyszącego aż do ratusza. Nie dość na tym, przywołano tamże i trzy gospodynie, które były wyprawiły owe dziewczęta do obozu, i również im głowy pogolono".

S z p i t a l n i c t w o. Przechodzimy do szpitalnictwa i opieki społecznej.

Skarbek, a więc bardzo kompetentny znawca, wydał smutny wyrok o stanie szpitali, które „były w dawnym stanie zaniedbania, pogorszonym jeszcze z powodu natłoku chorych i niedochodzenia przeznaczonych na ich utrzymanie funduszów. Siostry miłosierdzia, jakkolwiek pełne dobrych chęci, pomimo zwiedzenia szpitali petersburskich, częścią nie mogły, częścią nie chciały korzystać z tego, czego się w tych wzorowych zakładach nauczyły, i obstawały przy dawnych zwyczajach i sposobie postępowania; szpitale zaś świeckie, to jest zawiadywane przez cywilnych intendentów, były głównie źródłem dochodów dla tych urzędników, którzy mieli czym okupywać kontrolę i nadzór nad nimi prowadzony. U Dzieciątka Jezus i u Marcinkanek leżało wówczas po dwóch chorych w jednym łóżku, nadto jeszcze pomiędzy łóżkami na podłodze prosto na siennikach składano szukających ratunku w szpitalach, skutkiem czego powietrze w nich było zabijające, a żywienie i obchodzenie się z chorymi odpowiadały powierzchowności całego zakładu. Szpital św. Łazarza prócz podobnego stanu zaniedbania i większej jeszcze nieczystości, oraz gorszego, skutkiem rodzaju chorób w nim leczonych, powietrza, przedstawiał obraz ciągłego zgorszenia, rażącego zgiełku i niekarności rozwiązłych kobiet, a to tak dalece, że gdy kto zwiedzał ten zakład, wtedy intendent musiał iść przodem z prętem w ręku i rozdawać na prawo i lewo dotykalne razy, aby cichość i porządek choć na chwilę utrzymać."

Gmach szpitala Dzieciątka Jezus uległ zasadniczej przebudowie; przedłużono go znacznie w stronę ulicy Świętokrzyskiej, i uprzątnięto plac przed szpitalem. Ilość chorych wzrasta wciąż; w r. 1816 jest ich 633, w 1820 przekracza tysiąc, w roku 1831 dochodzi 3545; podobnież i dzieci, których było zrazu 981, miano w r. 1831 w ewidencji 2221, z czego 2022 było na wychowaniu po wsiach.

Szpital św. Ducha przy ulicy Piwnej znajdował się w takim stanie, że przeniesienie go do bardziej nowoczesnej siedziby było palącą koniecznością. Dr. Dziarkowski przedstawiając w piśmie do księcia-namiestnika (1822) względy za zniesieniem dawnej siedziby szpitalnej, tak stan szpitala ujmuje. Przede wszystkim więc sama ulica Piwna jest za ciasna, za wysoko zabudowana i niezdrowa z powodu wielkiej ilości rynsztoków; następnie sam szpital jest niekorzystnie położony. „Jest on ze wszystkich stron murami wyniosłymi, kościołem księży augu-

stianów otoczony, w pośród których znajduje się rzeczony szpital, mający cztery sale, dwie górne nieco suchsze, dolne zaś aż nadto wilgotne, tak dalece, że jedna z nich tylna przed dziewięciu laty z rozkazu byłej prefektury departamentu warszawskiego zamkniętą być musiała. Że nie jest rzeczą rzadką, w zimową zwłaszcza porę, ujrzeć w obu salach ze ścian kroplami spadające wilgoci, udzielające się chorym i ich pościeli, zawilgocając sale... Szczupłość szpitala wzbrania urządzić nakadzeń, kąpieli ... ani się da pomyśleć o podziale sal na choroby z zarazy uczestnictwo mające, na nieuleczone rany, na sale dla przychodzących do zdrowia, na wiek podeszły i młody, wszystko to się mieści razem w czterech salach, których nawet słońce nie oświeca, a co jeszcze szkodliwszym czyni, jest pomiędzy salami dla gmachu tego wychodek, którego wyziewy napełniają przykrą wonią, udzielającą się wszystkim salom". W niezdrowym tym domu łatwo zachorować; śmiertelność jest też bardzo wielka, a więc nie należy szpitala tego uważać właściwie za szpital, lecz „za schronienie i przytułek dla cisnącej się z cierpieniami nędzy, gdzie taż odbiera posiłek, spoczynek, wygodę i ciepło, odzież aż do koszul, bez których nader często przychodzi, przytułek i ratunek na lekkie choroby, rany i przypadki". Dla ciężej chorych dom ten jest grabarnią.

Władze uznały widocznie ten stan rzeczy za nieodpowiedni, skoro w r. 1825 doszło do kupna obszerniejszego kompleksu budynków na Przyrynku (dawnego pałacu Carpentierów), który właściwie nie nadawał się na cele szpitalne, wymagał ciągłych remontów i adaptacyj, ale niewątpliwie był daleko dogodniejszy od dawnej siedziby koło kościoła św. Marcina. Ilość chorych wzrasta z górą dwukrotnie, przekraczając zresztą znacznie ilość miejsc rozporządzalnych, tak że po dawnemu chorzy leżeli w natłoku i niewygodzie.

W r. 1826 otwarto Instytut Oftalmiczny, dla chorych na oczy, z fundacji Edwarda Lubomirskiego, zrazu przy szpitalu Dzieciątka Jezus, potem w gmachu opróżnionym przez szpital żydowski przy ulicy Marszałkowskiej.

Szpital żydowski, mieszczący się zrazu przy ulicy Marszałkowskiej, musiał być wysiedlony wobec wyznaczenia w r. 1824 nowych granic dla Żydów; gmina żydowska zakupiła więc dom przy ulicy Zielonej, który po odpowiednim dostosowaniu otwarto w r. 1827. Było tu podówczas 70 łóżek.

Z nowocześnie pomyślanych dzieł opieki społecznej należy wymienić Instytut moralnie zaniedbanych dzieci, który w r.

1830 otwarto za Wolskimi rogatkami; inicjatorem tego zakładu był Fr. hr. Skarbek.

Cmentarze. Z cmentarzy warszawskich najważniejszy jest jeszcze Świętokrzyski, dochodzący do ulicy Marszałkowskiej; tutaj chowano najbardziej znane osobistości, jak np. Elżbietę Szydłowską, morganatyczną żonę Stanisława Augusta, generała Sokolnickiego, poetę Józefa Szymanowskiego. Cmentarz ten, nisko położony, wciąż zalewany wodą został zamknięty w r. 1831.

Cmentarz na Powązkach był podówczas daleki i pusty; była to jeszcze wielka wydma piaszczysta, na której z rzadka gdzie widniało drzewko czy trochę trawnika.

Egzekucje. Za rogatkami jerozolimskimi było miejsce kaźni, gdzie kat, występujący w efektownym czerwonym ubiorze spełniał swe makabryczne rzemiosło. Wojsko tworzyło czworobok, w którego środku było rusztowanie, a tłumy ludu cisnęły się, aby zobaczyć egzekucję. Kat, dokonawszy dzieła, podnosił głowę ściętego skazańca i pokazywał publiczności, wymawiając przy tym tradycyjną formułę: „Ojcowie i matki, strzeżcie wasze dziatki" itd.

Pożarnictwo. W zakresie organizacji ochrony przed ogniem nie ma właściwie żadnych zmian; narzędzia pożarnicze przechowywano w gmachu nowowybudowanego ratusza, poza tym jeszcze w każdym cyrkule były mniejsze składy. Strażnica, która mieściła się przez długie lata na ratuszu Starego Miasta, została również przeniesiona do nowego ratusza. Dopiero u schyłku powstania, w obawie przed oblężeniem, rząd narodowy wydał dekret o „dodatkowej organizacji straży ogniowej w czasie oblężenia", ustanawiający korpus pompierów, ale upadek powstania przerwał prace przygotowawcze i jeszcze o kilka lat odwlókł zorganizowanie stałej straży.

Dodać jeszcze można, że w r. 1825 urząd municypalny wydał szczegółowe przepisy w sprawie czyszczenia kominów, ustanawiając terminy i taksy; do obowiązków kominiarzy należała również rewizja narzędzi pożarniczych i pomoc w razie pożaru. Był to nielada przywilej i niezła synekura zarazem być majstrem kominiarskim; liczono ich w całym mieście wraz z Pragą trzynastu, z nich każdy miał kilku czeladników i chłopców; niektórzy z tych majstrów mieli po 30 000 złp. dochodu rocznego, więc zazdrośnie strzegli swych praw, złączeni pomiędzy sobą związkami rodzinnymi, tworzyli zwartą i zamkniętą kastę.

Bruki. Dużo zrobiono w zakresie brukowania ulic. Chodniki zaczęto wykładać cegłą, piaskowcem lub płytami granito-

wymi; trafiały się nawet gnejsy i porfiry. Na przedmieściach po raz pierwszy spróbowano stosować powierzchnie mokadamowe z tłuczonych kamieni. Konserwacja bruków była prowadzona przez miasto, które pobierało specjalną opłatę, t. zw. brukowe, zależne od długości frontu posesji i położenia przy brukowanej czy niebrukowanej ulicy. Plac Saski, służący do rewij wojskowych, został wybrukowany na rozkaz Wielkiego Księcia Konstantego.

Niejedno w tym zakresie zrobiono, ale i tak skargi na bruk były powszechne. Oto np. jakaś dama z Litwy, zwiedzając Warszawę w r. 1829, skarży się w liście do przyjaciółki: „Dziś oglądałam dwa kawałki trotoarów na próbę zrobionych przed sklepem Kellera na Krakowskim Przedmieściu; jeden z piaskowca szydłowieckiego, drugi z cegły na sztorc kładzionej. Jeśli Warszawa dojdzie do tego kiedy, że będzie miała takie trotoary na wszystkich przyncypalnych ulicach miasta, będzie dobrze chodzić po mieście, bo dziś wykręcanie nóg po kamieniach dla nieprzyzwyczajonych jest nie do zniesienia przykre".

O ś w i e t l e n i e u l i c. Władze miejskie zaczęły również organizować oświetlenie stolicy. W r. 1816 wprowadzono nowy typ latarni czworograniastych zawieszanych na linie między dwoma słupami; ustawiono je najpierw na Krakowskim Przedmieściu, Senatorskiej i Miodowej. W r. 1819 zaczęto oświetlać ulice latarniami t-zw. genewskimi; było ich razem 245.

Mimo to oświetlenie miasta było bardzo problematyczne. Największe usługi oddawali tu jeszcze latarnicy, wynajmujący się do odprowadzania spóźnionych przechodniów; było ich zawsze dość przy każdym wieczornym widowisku, przy redutach i maskaradach, najwięcej oczywiście przed teatrem na placu Krasińskich. Byli to pomocnicy murarscy, w zimie bez zajęcia, synowie dorożkarzy i przekupni; zdarzali się także i zdeklasowani dworscy słudzy czy też weterani z wojen napoleońskich.

Bezpieczeństwa nocnego pilnowali specjalni patroliści, zrazu w liczbie 30, potem dwukrotnie zwiększonej; chodzili oni od zmroku do świtu po swoich cyrkułach z halabardami i grzechotkami.

W o d o c i ą g i. Myślano także coś niecoś o wodociągach; w r. 1829 bracia Flachat, sprowadzeni w tym celu z Paryża, dokonują wierceń próbnych w Ogrodzie Saskim i na Solcu, które zresztą nie dały pozytywnych wyników.

Z tym wszystkim stan sanitarny miasta nie był najlepszy. Radca municypalny i mecenas Woliński ogłaszając w r. 1831

„Uwagi o brukowem" pisze wyraźnie, że „stan zdrowia wymaga najrychlejszego oczyszczenia wielu miejsc nieczystościami napełnionych, oraz gór z nawozów narosłych i szkodliwymi wyziewami powietrze rażących".

B r z e g W i s ł y. Zaczęto myśleć także o uporządkowaniu brzegów wiślanych; wytknięto linie regulacji rzeki, zaczęto budować bulwary, poczynając od magazynu solnego na Solcu ku północy. Całe wybrzeże od Solca aż do koszar gwardii koronnej na Żoliborzu miało być obwarowane wielkim bulwarem, wyłożonym ciosowym kamieniem, a połączonym szeregiem ulic z miastem; po upadku powstania roboty te zawieszono, a przygotowane zapasy kamienia zostały zużyte pod budowę cytadeli. Projektowano również podobny bulwar przy Tamce, do którego realizacji jednak nie zdołano już przystąpić.

Wyznaczono także już miejsca, w których wolno się było kąpać; nie bardzo tych miejsc przestrzegano i w upalne zwłaszcza dni policja miała dużo kłopotu z pilnowaniem kąpieli.

M o s t y. Mosty na Wiśle były, jak przedtem, prowizoryczne. Był więc most palowy w r. 1826 przy ul. Spadek na Żoliborzu, później i łyżwowy w r. 1828; w r. 1827 był most łyżwowy przy ul. Mostowej, ale były to oczywiście prowizoryczne budowle, które woda łatwo niszczyła; wracano wtedy do przewozu promem czy łodzią. Pamiętnikarz Lipiński notuje pod r. 1829 w styczniu: „od kilku tygodni jak most zerwany został, artykuły żywności nader podrożały ... Policja zabrania przeprawiać się, jednakowoż znajdują się tacy, którzy nie zważają na to, przewoźnicy zaś umieją korzystać i po dziesięć złotych każą sobie płacić od osoby. Wielki jest zjazd na Pradze, taniość wszelkich żywności wielka, ale natomiast nielitościwie zdzierają za pomieszkania".

W r. 1829 postawiono most łyżwowy przy ulicy Bednarskiej. W czasie działań wojennych na wiosnę 1831 saperzy polscy spalili most przy ulicy Mostowej, most natomiast przy Bednarskiej został ufortyfikowany.

Dodać jeszcze można, że w r. 1827 wybudował Chaim Markus Jesionowski most łyżwowy, łączący Pragę z Saską Kępą, otrzymując za to prawo pobierania myta przez trzydzieści lat.

Nie brakło projektów zbudowania stałego mostu, który by wreszcie połączył oba brzegi wiślane; projekt mostu żelaznego daje młody podówczas inżynier Pancer (późniejszy budowniczy Nowego Zjazdu), potem szef inżynierii komunikacji Metzl, twórca Zofiówki pod Humaniem, projektuje most łań-

cuchowy, inny jeszcze projekt daje naczelny inżynier dróg i mostów, J. P. Lelewel (brat historyka). Wreszcie budowniczy, rządowy, Adam Idźkowski, wystąpił z oryginalnym projektem połączenia obu brzegów przez podziemny tunel, ogłoszonym drukiem w r. 1828 pt. „Projekt drogi pod rzeką Wisłą"; podnosi on tu względnie niskie koszty budowy (2 miliony zł., podczas gdy most na łańcuchach kosztowałby około 3 milionów, a kamienny 20—30 milionów), tudzież wysoką jego wartość na wypadek wojny.

Żegluga. W r. 1828 zjawił się na Wiśle pierwszy statek parowy, wywołując ogromną sensację; dozwolono publiczności zwiedzać go za opłatą złotego na zupę rumfordzką dla biednych. Podziwiano wewnętrzne urządzenie statku, meble mahoniowe, lustra itd. i z niedowierzaniem przyjmowano wiadomość, że ma on stale kursować.

Saska Kępa. Saska Kępa, podlegająca stale zalewom Wisły, została uregulowana; w r. 1818 zbudowano pod Kępą tamę, a niedługo potem drugą, większą, ukończoną w r. 1822.

Literat niemiecki, Harro Harring, który w burzliwym swym i wciąż zmiennym życiu także i w Warszawie parę lat spędził, służąc wojskowo, opisuje („Erinnerungen aus Warschau", Nürnberg 1831) Saską Kępę jako oazę niemczyzny. „Von deutscher Zunge begrüsst, von deutsch offenen Blicken angeschaut, in deutscher Reinlichkeit bewirtet und mit deutscher Ehrlichkeit bedient — wird es dem Deutschen auf dem Sächsischen Werder so herzlich wohl und seine Seele erweitert sich in treuer Anhänglichkeit und Liebe zum fernen, theueren Vaterlande." Pod cienistymi drzewami były tam liczne stoły i ławy, kręgielnia, huśtawka i karuzela.

Praga. Były plany regulacji Pragi; projekt z r. 1828 przewidywał przeprowadzenie sieci ulicznej tak, by z środkowej części zamku można było mieć perspektywę wachlarzowo rozłożonych ulic, ale nie doczekał się on wykonania.

* * *

Okres Królestwa Kongresowego, pracowity i niełatwy, wykazujący zarówno dobrą wolę społeczeństwa i poświęcenie wielu jednostek, jak też i brak dobrej woli ze strony carskich opiekunów, kończy się powstaniem.

Wybuch powstania. Wybuch powstania z końcem listopada 1830 zaskoczył miasto, które było doń nieprzygotowane. Sytuacja była co prawda dość naprężona; młodzież była podniecona wieściami o rewolucjach na Zachodzie, rozdrażniona ciągłymi szykanami i aresztowaniami najczynniejszych jej przedstawicieli; mieszczanie byli niezadowoleni z bezrobocia i wzrastających wciąż kosztów utrzymania; wojsko czuło porywczą i ciężką, niezawsze sprawiedliwą rękę Wielkiego Księcia. Dyskutowano po mieszkaniach prywatnych, potem także po klubach i kawiarniach; nastrój stawał się coraz to bardziej radykalny. W październiku zaczynają pojawiać się na mieście plakaty z napisami: „wiwat wolność! wiwat rzemieślniki!" które jakoby mieli przylepiać uczniowie szkół pijarskich, ale które zapewne były dziełem prowokatorów; z końcem września dymisjonowany oficer obił publicznie niepopularnego prezydenta miasta, Woydę, a uradowani studenci zaczęli nosić na pamiątkę tego zdarzenia grube laski, które nazywano powszechnie wojdówkami.

Ale, mimo ogólnego podniecenia, nikt nie spodziewał się szybkiego wybuchu powstania; noc listopadowa zaskoczyła całe miasto, które stanęło bezradnie wobec faktów. Dzielnice inteligencko-urzędnicze, a więc przede wszystkim Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat, zareagowały na pierwszą wieść o rozruchach zamknięciem kawiarni i gospód, opustoszeniem ulicy, zamykaniem bram; rzemieślnicy i w ogóle ludność Starego Miasta wyległa na ulice, gotowa wziąć udział czynny w wypadkach. Sytuacja była niepewna; oddziały wojskowe polskie i rosyjskie były rozlokowane w różnych punktach miasta, walki więc zaczęły się równocześnie w wielu miejscach, zwłaszcza, że i w pułkach polskich należało przezwyciężyć niechęć, czy też opór zwłaszcza wyższych, niewtajemniczonych w plany zamachowe oficerów; padło tu kilkunastu generałów i sztabowców, częścią skutkiem przypadku czy też tragicznej pomyłki. Tłum rzucił się na arsenał i zdobywszy broń zaczął akcję partyzancką na mieście. 30 listopada rano nie było już Moskali w Warszawie; oddziały powstańcze, mimo braku jednolitego kierownictwa, opanowały miasto.

Wszystko to stało się niespodzianie, bezplanowo, chaotycznie; był to odruch młodzieży i pospólstwa, poza którym nie było zwartej organizacji politycznej ani kierownictwa. Najbliższe dni poświęcono stworzeniu nowych władz.

Nie było to rzeczą łatwą. Senatorowie, wyżsi wojskowi, arystokraci i burżuazja są przeciwni powstaniu i najchętniej by cały odruch nocy listopadowej uznali za niebyły; na mieście zaczęły się rozruchy; Rada Administracyjna, urzędująca w tych przełomowych dniach w gmachu Banku Polskiego prowadzi rokowania z Wielkim Księciem, który stoi na Wierzbnie, a równocześnie próbuje zorganizować miasto, powołując Radę Municypalną i tworząc gwardię narodową. Kilka pierwszych dni mija w gorączkowym podnieceniu: społeczeństwo nie wie, czy bunt podchorążych i ustąpienie Konstantego z miasta oznacza początek powstania i wojny z Rosją, czy też jest incydentem, który będzie można zlikwidować i wrócić do stanu poprzedniego; zwolennicy porozumienia z Rosją prowadzą pertraktacje, tłumy rewolucyjne demonstrują i grożą. Ostatecznie 5 grudnia Chłopicki ogłasza się dyktatorem; miasto, zmęczone niepewnością tych kilku dni, przyjmuje fakt ten z ulgą i entuzjazmem.

Karol Kurpiński notuje w swym pamiętniku pod dniem 5 grudnia: ,,Jenerał Chłopicki ogłoszony dyktatorem. Otworzyliśmy teatr operą ,,Stare Krakowiaki"; w końcu nowe śpiewki śpiewano i deklamowano. Któż potrafi opisać zapał całej publiczności, krzyki jednogłośne, głuszące oklaski, śpiewanie powszechne razem z aktorami. Przed rozpoczęciem sztuki żądano mazura Dąbrowskiego, poloneza Kościuszki; gdy to orkiestra zagrała, co za krzyki! śpiewano z orkiestrą, przytępywano, tańczono! ... Po skończonej sztuce podchorążowie, akademicy, urzędnicy, oficerowie, prości żołnierze i cywilni, wszystko to pomieszane razem tańczyło na parterze mazura Dąbrowskiego ..."

O gwardii narodowej pisze Lipiński z wyraźną niechęcią. ,,Tworzenie się gwardii najgorzej idzie; wybory oficerów odbyły się przy zebraniu się czasem tylko 30 osób, inni obywatele i nie wiedzieli o niczym; tam obrano na kapitanów, poruczników i podporuczników samych prawie kupców i to Niemców, z których wielu po polsku nie umie; stąd wielka niechęć i powszechne oburzenie na takie pokątne wybory. Posprawiali sobie już mundury, poprzypinali szlify; widać mnóstwo tych improwizowanych oficerów, a żadnego prostego gardysty w mundurze."

Nastroje stolicy są zmienne, od entuzjazmu do zwątpienia. Wydawałoby się, że większość mieszkańców miasta nie ma wiary w zwycięstwo, że poprostu uniesieni oni są prądem

i czekają, co będzie. Życie w mieście płynie poza tym dość normalnie; zaczyna się myśleć o sprawach, dotychczas zaniedbanych lub uniemożliwionych przez stanowisko władz przedlistopadowych; po zniesieniu cenzury rozwija się żywy ruch publicystyczny, odbywają się liczne zgromadzenia, dyskusje, polemiki. Łatwo zrozumieć, że stan działań wojennych wpływa na te nastroje, że wiadomości o zwycięstwach przyjmowane są entuzjastycznie, a klęski przynoszą przygnębienie i doprowadzają do odruchów rozpaczy, zamieszek i samosądów ulicznych; tłumy, prowadzone przez lewicowych agitatorów, przekonane są, że to panowie zgubili Warszawę. Rząd jest dość niepewny swej sytuacji, musi się liczyć z nastrojami społeczeństwa, sam zresztą jest słaby wskutek daleko idących różnic polityczno-społecznych swych członków.

Upadek Warszawy. Tragedia dziejowa dobiega końca. 6 września zaczyna się szturm wojsk rosyjskich. Uderzono na Wolę którą zdobyto koło południa; tutaj zginął śmiercią bohaterską komendant Woli, generał Sowiński. Na drugi dzień podjęto znowu walki; pod wieczór Rosjanie zdołali opanować drugą linię umocnień. Wieczorem los stolicy był już przesądzony.

W nocy z 7 na 8 września wojsko polskie opuszcza Warszawę, udając się przez most u wylotu ulicy Bednarskiej na drugi brzeg Wisły. „Dzieci, kobiety, starcy, lud w rozpaczy — opisuje ten tragiczny odwrót Mochnacki — żołnierze rozpierzchnieni bez ładu, artyleria, piechota, jazda, wszystko w największym nieporządku, a tu ciemno, jak w wilczej jaskini. Tylko łuna na niebie od pożarów, naokoło pustoszących Warszawę, ruinę naszą oświetlała . . .“

Jan Reychman

BADANIA REGIONALNE W XIX WIEKU

Regionalizm w nauce pojmowany jako system czy kierunek, w którym zespoły, ośrodki miejscowe, prowincjonalne specjalizują się przede wszystkim w systematycznym badaniu najbliżej im dostępnej okolicy, ziemi, kraju („regionu") znalazł swe sformułowanie w czasach już nowszych jako jeden z objawów t. zw. ruchu regionalistycznego. Nie znaczy to bynajmniej, aby w czasach poprzedzających krystalizowanie się tego ruchu nie było u nas objawów, których — choć nie były one podjęte w imię „regionalizmu" (terminu tego nawet jeszcze nie znano) — nie moglibyśmy dziś śmiało zaliczyć do objawów, będących wyrazem regionalnej organizacji prac i badań naukowych na prowincji polskiej a więc niejako poprzedników dzisiejszych poczynań regionalistycznych.

Te pierwociny badań regionalnych nie wypływały z określonej metody, jaką dziś stosujemy, ale często z warunków, zmuszających, przy ówczesnych środkach, badaczy prowincjonalnych do zacieśnienia się do dostępnych im dla badań najbliższych okolic. Silną podnietą bywał i sentyment dla rodzinnych okolic. Nieświadomie jednak, te poczynania były wyrazem tych samych dążności, które przyświecają dzisiejszym regionalistom: wykorzystania zetknięcia się bezpośredniego (zrośnięcia niejako) badacza prowincjonalnego z terenem i uczynienia z jego przywiązania do okolicy bodźca do badań nad nią naukowych. Początkami swymi wiążą się one z narodzinami polskiego krajoznawstwa, z początkami zainteresowań się krajem, jego ludem czy fizjografią, złączonymi z nazwiskami Staszica, Niemcewicza, Kołłątaja, Jana Potockiego, Chodakowskiego.

Pierwszy jednak okres w rozwoju badań krajoznawczych, zamknięty mniej więcej rokiem 1830, nie mógł jeszcze dać pola do popisu dla prac czy badań lokalnych, regionalnych. W pracach krajoznawczych, ludoznawczych przeważa jeszcze skłonność do prac, usiłujących objąć za jednym zamachem całość ziem polskich, ba nawet i słowiańskich; a jeśli nawet prace te obejmowały mniejszy zakres, to przeważało znów tu samouctwo, skłonność do prac powierzchownych bez głębszego

przygotowania do badań nad okolicą wziętą w danej chwili za przedmiot studiów. Opisywano, ba, nawet i wyciągano daleko idące wnioski tylko na podstawie przelotnych wrażeń, poczynionych w czasie podróży, której zamierzeniem było objąć odrazu olbrzymie połacie kraju. Badania te prowadzone były zupełnie indywidualnie, bez żadnych form organizacyjnych, żadnych prac zespołowych prócz przypadkowych pomocy. O ile nawet zdarzało się tu i ówdzie, że ktoś zbierał materiały czy czynił opisy swej okolicy, to zwykle były to tylko opisy zabytków czy osobliwości natury, utrzymane często w tonie t. zw. „heroicznej romantyki" z nieodstępnymi ruinami zamczyska, szemraniem ruczaju w wąwozie itd. Towarzystwa naukowe w tym okresie się rozwijające mają w większości zasięg ogólnopolski a ich rozdzielenie na różne ośrodki nie jest bynajmniej wynikiem jakiegoś podziału według zainteresowań regionalnych, ale wynika z podziału ziem polskich między odrębne ciała polityczne (Królestwo Polskie, „kraj zabrany", Wielkie Księstwo Poznańskie, Prusy Zachodnie, Rzeczpospolita Krakowska, Galicja); wskutek odrębnych w każdym z nich warunków i ogniska umysłowe życia polskiego ulegały rozbiciu.

Wszakże, szczególnie w mniejszych ośrodkach, i te towarzystwa musiały siłą rzeczy przyczyniać się do ożywienia umysłowego, co z kolei pobudzało do zajęcia się problemami miejscowymi. Nie obejmowało więc naprzykład prac regionalnych Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lublinie (1818—1830) z celem „dążenia do upowszechnienia oświaty w województwie lubelskim" było więc to towarzystwo par excellence oświatowe, nie przedsiębrało więc żadnych prac naukowych koło ziemi lubelskiej, ale tchnęło ono w życie umysłowe Lubelszczyzny nowy powiew: wyrazem tego ożywienia była np. wydana w tym czasie w Lublinie praca prezesa miejscowej komisji wojewódzkiej Ignacego Lubowidzkiego „Statystyka województwa lubelskiego" (1824), obejmująca nie tylko statystykę, ale i stan przemysłu, rolnictwa itd.[1] Więcej interesowało się własnym regionem Towarzystwo Naukowe Płockie z lat 1820—1830.[2]

1 Por. Kukulski Z., Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lublinie 1818—1830 na tle epoki, Pamiętnik Lubelski, III (1938). Przed powstaniem Towarzystwa wyszedł w Lublinie „Almanach Lubelski" (1815) m. in. z artykułem krajoznawczym z Lubelskiego, pióra późniejszego członka T. P. N. Puchały.

2 H. Rutska; Towarzystwo Naukowe Płockie; por. też: Regionalizm płocki przed 100 laty, „Kurier Poznański" nr 585 z 19 grudnia 1930.

Wyrazem ówczesnych, rosnących na prowincji zainteresowań się bliską, bezpośrednią okolicą były „pamiętniki naukowe", skupiające pióra miejscowych badaczy czy pisarzy i poświęcające sporo miejsca opisom lokalnym. I tak wymienić należy wyszłe w Płocku dwa tomy „Pamiętnika Płockiego" wydawane w latach 1828—1830 przez rodaka z Borzenia w Płockim, prezesa miejscowego trybunału, W. H. Gawareckiego (1788—1853), autora poza tym całego mnóstwa mniejszych lub większych rozpraw i opisów rozmaitych zakątków ziemi płockiej zresztą raczej pożytecznego zbieracza bezkrytycznie i bez głębszego przygotowania naukowego zgromadzonych wiadomości niż prawdziwego badacza regionalnego. W latach 1829—1830 sandomierzanin, ex-pijar i ex-profesor szkół kieleckich Tomasz Ujazdowski wydawał w Warszawie „Pamiętnik Sandomierski" w którym wyszło nieco rozpraw z krajoznawstwa, statystyki Sandomierskiego i okolic.[3]

W dwuch środowiskach atmosfera i kierunek miejscowych uczelni nie pozostały bez wpływu na prace i badania regionalne: w Wilnie i Krzemieńcu. W Wilnie ruch umysłowy silnie się ożywia na odnowionym uniwersytecie (1803—1832). Wielu profesorów prowadzi prace terenowe wciągając w nie i uczniów. I tak - mineralog Ignacy Horodecki (1776—1824) kieruje badaniami uczniów w okolicy Wilna, profesor języka, historii i literatury rosyjskiej Jan Łobojko († 1863), autor artykułu „Groby olbrzymie na Żmudzi" (Dz. Wil., II, 1823) opracowuje wspólnie z uczniami pozostawiony w rękopisie opis ok. 80 miast i miasteczek litewskich; w historii Litwy wyróżnia się Ignacy Onacewicz (1780—1845), autor szeregu opracowań i monografii („Rzut oka na pierwotne dzieje Litwy" i szereg pozostawionych rękopisów). Botanik Józef Jundziłł (1794—1877) w ciągłych podróżach botanicznych systematycznie bada florę Wileńszczyzny, ogłaszając szereg prac podstawowych, zwracając m. in. uwagę nawet zagranicy na skamieniałości w Popielanach. Dużo prac profesorów drukuje się i w czasopismach redagowanych przy współudziale profesorów jak „Dziennik Wileński", „Tygodnik Wileński", „Noworocznik Litewski". Sam uniwersytet ogłasza w 1816 i 1817 r. „Instrukcje do układania po gimnazyach i szkołach

[3] Patkowski Al., Tom. Ujazdowski, wydawca „Pamiętnika Sandomierskiego, Pamiętnik Świętokrzyski, 1930.

[4] Bieliński J., Uniwersytet Wileński, III, 200, 254, 283.

powiatowych zapisów w przedmiotach różnych nauk", wzywając do dokonywania spostrzeżeń z życia ludu.[5]

Ruch ten nie mógł pozostać bez wpływu i na młodzież, wciąganą do badań nad okolicą rodzinną. Uniwersytetowi wileńskiemu zawdzięczamy wychowanie takich badaczy Litwy, Żmudzi czy Białej Rusi jak: Michał Baliński, Ignacy Łachnicki (1793—1826), autor „Statystyki gubernii litewsko-grodzieńskiej" (1817), Antoni Muchliński znawca Tatarów litewskich, historyk Narbutt, Konstanty Tyszkiewicz i inni, których działalność przyjdzie nam niżej omawiać. Podejściu regionalnemu sprzyjała też sama atmosfera wśród młodzieży; dążność do metodycznego poznawania i badania okolic wyraźnie się przejawia u Filomatów i Filaretów (kwestionariusz krajoznawczo-statystyczny opracowany pt. „Opis geograficzny" przez Zana i Malewskiego (1821),[6] a choć zainteresowania te zasadniczo łączyły się u nich z celami ściśle praktycznymi, wypływającymi z ich ideologii społecznej (dążenie do poznania stanu oświaty, gospodarstwa) to jednak szły one w parze z ich naiwnym jeszcze może wtedy dążeniem do ludowości, wyrażającym się głównie w zbieraniu pieśni „gminnych"; środowisku też filareckiemu zawdzięczamy — poza ich silnie zarysowanym „regionalizmem literackim"— wydanie z siebie pierwszego zbieracza pieśni białoruskich jakim był Jan Czeczott († 1847).

W Krzemieńcu, chociaż gimnazjum, potem liceum wołyńskie (1805—1832) nie miało na celu badania Wołynia, to jednak panująca w nim atmosfera, zapał dla nauki nie mogły pozostać bez wpływu na badania nad okolicą. Profesorowie liceum przystępują do prac krajoznawczych, fizjograficznych. I tak Willibald Besser (1784—1842) bada florę i faunę okolicy; badania geologiczne prowadzą matematyk Wojciech Zborzewski, chemik Zienowski i zoolog Eichwald, pobudzając do prac dalszych swoich uczniów Antoniego Andrzejewskiego (1785 do 1868) botanika i geologa zasłużonego badacza przyrody Wołynia, Podola i Ukrainy, autora sławnych wspomnień wołyńskich „Ramoty starego Detiuka" (1861). Brak może wśród uczniów wyraźniejszych zainteresowań się ludem okolicznym jak to widzieliśmy u akademików wileńskich, ale z liceum wyjdzie sporo uczniów, którzy nie tylko zachowają głęboki

[5] Gawełek F., Bibliografia Ludoznawstwa polskiego, Kraków 1914, wstęp, s. IX.
[6] Mościcki H., Wilno i Warszawa w „Dziadach".

dla liceum i jego okolicy sentyment, ale poświęcą się badaniom nad Wołyniem i ziemiami okolicznymi.[7]

Wyrazem żywych związków wychowanków liceum wołyńskiego z Krzemieńcem i dążności do pogłębienia tych związków było wydawane już na emigracji paryskiej przez skupionych tam byłych jego uczniów, w latach 1857—1861 pismo „Biesiada Krzemieniecka", poświecone wyłącznie rozprawom i materiałom czy to odnoszącym się do liceum i jego założyciela, czy to do miasta Krzemieńca. Wraz z bibliografią o Krzemieńcu i krzemienieckich wychowankach pomieszczono tu sporo interesujących przyczynków regionalnych.[8] W okresie następnym, międzypowstaniowym, 1831—1864, wraz z ogólnym wstrząsem, zahamowaniem ruchu umysłowego, zamknięciem pism, wyższych uczelni, emigracją wielu talentów i pęd do badań kajoznawczych wykazuje najpierw wyraźne osłabienie, wszakże wkrótce, w latach czterdziestych daje się zauważyć ponowne ożywienie. Pod wpływem ogólnego pędu do pogłębienia zasad naukowych, ruchu ekonomicznego i tu odbywa się reakcja od romantycznego ujmowania tylko ruin i szemrzących strumyków do opisów i studiów bardziej pogłębionych. Atoli przeważa jeszcze ciągle system opisów przypadkowych, gdzie jeden i ten sam autor pisuje i o Kieleckim i o Podlasiu czy Mazowszu, brak jeszcze wciąż regionalnego zorganizowania. Już jednak znać obok tego i dążność do specjalizowania się w określonych ramach terytorialnych. Tak więc geolog Zejszner bada ziemie Małopolski, tak historyk sztuki Józef

[7] Nie wiele zwracają uwagi na zagadnienia lokalne miejscowe towarzystwa uczniowskie ani też wydawane przez b. uczniów (m. in. T. Zaborowskiego 1828 autora „Dum Podolskich") „Ćwiczenia Naukowe" (1818) i „Pamiętnik Naukowy" (1819) por. Danilewiczowa M., Życie naukowe dawnego liceum krzemienieckiego, Nauka Pols., XXII.

[8] O „Biesiadzie" Rolle M., Ateny Wołyńskie, Lwów, 1923, 292—297. Inne środowiska mało w tym czasie przyczyniały się do badań miejscowych. Nie zasłużyła się pod tym względem krótkotrwała Akademia w Połocku (w wydawanym przez nią miesięczniku nie ma prawie przyczynków lokalnych, z wyjątkiem np. artykułu historycznego o miasteczku Kosarzewie w drysieńskim, 1818). We Lwowie daje się odczuć ożywienie umysłowe słabo związane z niepolskim uniwersytetem, raczej z instytucjami jak Ossolineum; ziemianin z pod Lwowa I. Lubicz Czerwiński pierwszy ogłasza miejscowe przyczynki etnograficzne („Okolica zadniestrska", 1811), zaczynają się interesować krajoznawstwem lokalnym pisma lwowskie jak „Pszczołka", „Pamiętnik Galicyjski", „Pamiętnik Lwowski", „Haliczanin". W dodatku do „Gazety Lowskiej" w r. 1812 zacznają wychodzić monografie poszczególnych cyrkułów.

Łepkowski (1826—1894) w licznych „podróżach archeologicznych" zwiedza Galicję zachodnią, spisując wszystkie dokonane spostrzeżenia i kładąc tym podstawy pod inwentaryzację zabytków sztuki tej okolicy, interesując się i przylegającą do Krakowskiego częścią Śląska. Z Łepkowskim współpracuje zasłużony znawca starożytności krakowskich Ambroży Grabowski (1782—1868) którego prace jak „Kraków i jego okolice" (szereg wydań od 1835 do 1866), „Starożytne Wiadomości o Krakowie", „Dawne zabytki miasta Krakowa" stały się bodźcem do dalszych badań nad przeszłością i zabytkami tego miasta. Romuald Baczyński i Edward Mroczkowski wydają w r. 1848 interesujące pismo zbiorowe „Radomianin".

Nie pozostaje w tyle i Poznańskie. Działa tu przede wszystkim zamożny obywatel ziemski Edward Raczyński z Rogalina (1786—1845) poprzednio amator podróży orientalnych, obecnie po wymówkach czynionych mu przez żonę „c z e m u r a c z e j r o d z i n n e j n i e o p i s u j e z i e m i?", „d o w i n y s i ę p o c z u w a j ą c"[9] bierze się do opracowania Wielkopolski i po długoletniej drobiazgowej pracy wydaje w latach 1842 do 1844 dwa tomy „Wspomnień Wielkopolski" obejmujących nie tylko jej przeszłość i zabytki ale i stan przemysłu, handlu, rzemiosła itd. Sam Raczyński oprócz własnych swych prac gorliwie się przyczynił do badań nad Wielkopolską, wydając m. in. Kodeks Dyplomatyczny Wielkopolski, zakładając Bibliotekę Raczyńskich, wydając pisma jak „Przyjaciel Ludu", dużo miejsca poświęcający krajoznawstwu miejscowemu, redagowany zresztą przez autora „Historii miasta Poznania" i szeregu mniejszych monograficznych przyczynków z Wielkopolski, Józefa Łukaszewicza.

Trudniejsze w tym okresie są warunki pod zaborem rosyjskim w t. zw. kraju zabranym, ale i tu dzięki energii jednostek czynione są udatne próby regionalne, czemu jeszcze sprzyja oddalenie od wielkich centrów i zanik ambicyj „stołecznych" właściwych tamtym ośrodkom wielkomiejskim. Wyraźnym ośrodkiem prac naukowych na prowincji staje się w tym okresie Wołyń tak dzięki atmosferze wytworzonej przez liceum krzemienieckie jak i dzięki jednostkom tu miejszkającym, jak Kraszewskiemu, który tu przebywał w latach 1837—1860. Żywy jego umysł rychło wciągnął się do prac nad poznaniem ziemi, którą przypadło mu przez tyle lat zamieszkiwać; wynikiem

[9] W o j t k o w s k i A., E. R a c z y ń s k i i j e g o d z i e ł o, Poznań 1929, 76—77.

tych wołyńskich zainteresowań Kraszewskiego były „Wspomnienia Wołynia, Polesia ..." (Wilno, 1860), „Wieczory Wołyńskie" ogłaszane w lwowskim „Dzienniku Literackim" (1859), szereg mniejszych artykułów krajoznawczych (np. „Żytomierz" w „Tyg. Il.", 1861, nr 100). Stąd redagował on „Athenaeum", poświęcające też sporo miejsca sprawom wołyńskim (polemika z Rzewuskim o liceum wołyńskie).[10]

Pęd do badań miejscowych udziela się i Kijowszczyźnie, gdzie wyróżnia się pracowity badacz, doskonały typ monografisty regionalnego, autor sumiennego „Opisu powiatu wasylkowskiego pod względem historycznym, obyczajowym i statystycznym (1853) i „Opisu powiatu kijowskiego" (wyd. po śmierci autora w Kijowie, 1913) Edward Rulikowski.

Jak na Wołyniu Liceum Wołyńskie, tak na Litwie Uniwersytet Wileński zapłodnił w poprzednim okresie życie umysłowe swej okolicy, tak że żyła ona tym posiewem jeszcze w okresie następnym. Na Litwie wychowankowie uniwersyteccy przodują w badaniach nad ziemią litewską. Były profesor Uniwersytetu Józef Jaroszewicz (1793—1860) ogłasza „Obraz Litwy pod względem jej oświaty i cywilizacji od czasów najdawniejszych do końca XVII w." (3 t. 1844—45). Wychowanek uniwersytetu wileńskiego Michał Baliński (1794—1864) jest autorem „Opisania statystycznego miasta Wilna" (1835), „Historii miasta Wilna" (1836), „Dawnej Akademii Wileńskiej" (1862). Zbierają pieśni: litewskie Ludwik Adam Jucewicz (1810—1864), autor zresztą szeregu przyczynków z dziejów swego kraju („Rysy Żmudzi", 1840, „Wspomnienia Żmudzi" 1842), białoruskie Filomata Czeczott W dziedzinie historii i archeologii wyróżnia się Teodor Narbutt (1784—1864), któremu zawdzięczamy „Dzieje narodu litewskiego" (1847), „Pomniki do dziejów litewskich" (1846) i szereg innych prac. Na Białej Rusi próbuje swych sił dwuch braci Tyszkiewiczów z Łohojska w Mińszczyźnie, wydając „Opisanie powiatu Borysowskiego", w którym starszy z braci, Konstanty (1806—1868) zresztą też wychowanek Uniwersytetu Wileńskiego, opracowuje część historyczną i archeologiczną a młodszy Eustachy (1814—1873) resztę. Wileńscy krajoznawcy grupują się w tym okresie koło

[10] O działalności J. I. Kraszewskiego na Wołyniu B a r A., J. I. K r a s z e w s k i n a W o ł y n i u, Rocznik Wołyński, IV (1935) Kraszewski doskonale rozumiał zagadnienie prasy regionalnej gdy pisał: „pierwszym celem pisma wychodzącego na prowincji i przedstawiającego jakąś część kraju jest primo loco reprezentować sobą ten ziemi naszej krąg, którego jest organem ...", G a w ę d y o l i t e r a t u r z e i s z t u c e, Lwów 1866, 108.

miejscowej Komisji Archeologicznej,[11] której Eustachy Tyszkiewicz jest prezesem a Baliński wiceprezesem i koło pism mejscowych, które nie mogąc pisać o sprawach politycznych z konieczności sporo miejsca poświęcają „starożytnościom" jak „Teka Wileńska" (1857, tu m. in. St. Morawski drukował swe opisy krajoznawcze „Od Merecza do Kowna"), „Pismo Zbiorowe Wileńskie" (1859), „Kurier Wileński" redagowany zresztą przez redaktora i dwuch powyższych, zamiłowanego krajoznawcę i archeologa, autora „Przechadzek po Wilnie" Adama Honoriusza Kirkora (1818—1886). Były to zresztą już ostatnie echa bujnej atmosfery wileńskiej przed jej zupełnym zamarciem w okresie następnym.

Niezmiernie interesującym objawem ówczesnych poczynań regionalnych było pismo „Rubon" (1842—1849). Założył je obywatel ziemski z Inflant, marszałek powiatów rzeczyckiego i dyneburskiego, sam zresztą literat i miłośnik poezji Kazimierz Bujnicki (1788—1878),[12] celem skupienia pisarzy pochodzących z okolic naddźwińskich („Rubon" miała to być nazwa starożytna dla Dźwiny) i interesujących się życiem i przeszłością swej ziemi. Piszą więc tu sami Inflantczycy o swych okolicach: a więc np. „Rzut oka na Inflanty" daje J. Piater, „Dwa słowa o Dźwinie podaje" M. Borch (1806—1869), który obok tego umieszcza wzmiankę o zamku dynaburskim; o dawnych grobach i starożytnościach, o rolnictwie i przemyśle w gubernii witebskiej pisze A. Plater (1792—1862) kolega Bujnickiego ze szkół krasławskich. Ogłasza „Rubon" i teksty pieśni „gminnych" miejscowych, wiadomości o poezji białoruskiej. Widzimy więc, że zakres zanteresowań pisma dość szeroki, od folkloru aż do spraw rolnych i przemysłowych, atoli wszystko z terenu naddźwińskiego. „Rubon" to piękny przykład poczynań regionalnych w XIX wieku.

Odrębny jest w tym okresie charakter prac lokalnych krajoznawczych na tych terenach, które poprzednio w ruchu kulturalnym udziału nie brały i gdzie obecnie dopiero następuje akcja uświadamiania ludności o jej łączności z Polską, jak to się dzieje np. na Śląsku. Praca badawcza siłą rzeczy łączyć tu się musi z pracą uświadamiającą, oświatową i pobudką dla niej jest dążność do znalezienia w terenie samym tradycji dla tej pracy, do odgrzebania związków historycznych i kultu-

11 „Archeologia" znaczyło wtedy wiedza o zabytkach sztuki.

12 O „Rubonie" w Bibliogr. Estreichera. Życiorys Bujnickiego przez P(iotra) Ch(mielowskiego) w „Wielkiej Encyklopedii Ilustrowanej".

ralnych łączących te ziemie z Polską. Na Śląsku praca ta grupuje się dookoła pierwszych budzicieli śląskich i ich akcji oświatowo-popularyzacyjnej a więc przede wszystkim Józefa Łompy (1797—1863), który obok akcji społecznej czy prasowej znajduje czas na prace w zakresie etnografii śląskiej (zbieranie podań ludowych, przysłowi), historii miejscowej („Krótkie wyobrażenie historii Śląska", Opole 1821), regionalnej historii literatury („Krótki rys piśmiennictwa polskiego w Śląsku" „Dzien. Górnośl.", 1849) czy geografii („Krótki rys geografii Śląska", Lubliniec, 1843). Sporo przyczynków krajoznawczych ogłasza też Lompa na łamach „Dziennika Górnośląskiego", redagowanego zresztą wespół z Józefem Łepkowskim. Łepkowski jest wychowankiem grupy krakowskich uczonych interesujących się wówczas Śląskiem i utrzymujących z nim bliski kontakt, skupionej dookoła Jerzego Samuela Bandtkiego (1768—1835) wychowanka szkół wrocławskich i autora jednych z pierwszych rozpraw o ludności polskiej na Śląsku i jego zięcia L. Kosickiego (rodem z Wieluńskiego z granic Śląskich) i in.[13] Obok Lompy w zakresie badań miejscowych wysuwają się etnograf Jan Mikołaj Fritz (1809—1870) lektor języka polskiego na uniwersytecie Wrocławskim, spolszczony bawarczyk Roger (1819—1865) i in.

Przełomowym w dziejach poczynań regionalnych w Polsce jest okres następny mniej więcej od lat sześćdziesiątych. Z jednej strony w miejsce tak częstego dotychczas eklektyzmu a nawet i dyletanctwa zjawia się dążenie do metody naukowej: krajoznawstwo a z nim i badania regionalne przechodzą „od utopii do nauki". Luźne i nieskoordynowane opisy zostają zastąpione przez systematyczne badania archeologiczne, archiwalno-historyczne, antropologiczne, etnograficzne, językoznawcze, geologiczne (te ostatnie pobudzane przez poszukiwania rud, węgla, nafty, co wiąże się z dążeniem do uprzemysłowienia kraju). Powstają instytucje poświęcone centralizowaniu tych badań (Komisja Fizjograficzna Towarzystwa Naukowego w Krakowie potem Akad. Um., rozmaite Towarzystwa Archeologiczne[14] itd.) a w braku towarzystw rolę tę

[13] O tych początkach polskiej pracy naukowej na Śląsku por. Stan i potrzeby nauki polskiej na Śląsku, dzieło zbior. pod red. R. Lutmana, Katowice 1935, zwłaszcza prace Ogrodzińskiego (Historia literatury) i Piotrowicza (Historia). O Łepkowskim por. też Pampuchówna, M., Działalność J. Łepkowskiego na polskim Śląsku w latach 1848—1849, „Polonia" (Katowice) 24. II. 1935.

[14] Por. przypisek 10.

spełniają doskonale wielkie wydawnictwa zbiorowe („Pamiętnik Fizjograficzny", „Zbiór wiadomości do antropologii krajowej", „Wisła", „Słownik Geograficzny"). Zjawiają się wskazówki do badań etnograficznych czy antropologicznych w terenie (Karłowicza „Poradnik dla zbierających rzeczy ludowe", 1871; „Instrukcja do bad. właściwości ludowych", odb. ze Spraw. mat. filolog., Kraków 1874, Instrukcja dla robienia spostrzeżeń antropolog.", Kraków 1875, Gustawicza, „Instrukcja dla zbierających zwyczaje i obyczaje ludowe", 1880).

Z drugiej znów strony i życie całego kraju skupione dotychczas w kilku ośrodkach monopolizujących całą działalność kulturalną, społeczną czy gospodarczą przesuwa się teraz i na prowincję, zyskującą na znaczeniu. Łączy to się silnie z ideologią epoki, z pozytywizmem, głoszącym potępienie „wielkiej" polityki na rzecz „małej", to jest „pracy organicznej". A do niej należało właśnie kulturalne i gospodarcze podniesienie prowincji, zwrócenie uwagi na jej życie: potrzeba zainteresowania się tym „co się dzieje w sąsiednim Pruszkowie czy Grodzisku, jaki jest ruch umysłowy czy społeczny w kraju".[15] W związku z tym ożywieniem umysłowym życia prowincji pozostaje też w tym czasie powstanie samorzutnych zespołów prac kulturalnych jakimi były dzienniki na prowincji: powstają też wówczas m. in. „Kurier Lubelski" (1866—1878) potem „Gazeta Lubelska" (1876), „Kaliszanin" (1870), „Wisła" (w Radomiu 1871), „Gazeta Kielecka" (1872), „Tydzień" (Piotrków, 1873), „Korespondent Płocki" (1876), „Gazeta Radomska" (1886), „Dziennik Łódzki". Badania regionalne, które poprzednio prowadzone były dorywczo, przypadkowo, nieświadomie, często z konieczności (przy braku środków do szerszych badań) przybierają obecnie charakter świadomy, metodyczny. Przyczynia się do tego i wpływ zagranicy, gdzie zwłaszcza we Francji, Niemczech, Włoszech kwitną już w tym czasie na prowincji liczne towarzystwa poświęcone temu co się we Francji nazywa „histoire locale", to jest naukowemu badaniu okolicy. Choć warunki polityczne uniemożliwiają często u nas organizowanie się tego typu towarzystw, to jednak krystalizuje się w tym czasie szereg zainteresowań regionalnych, kształtuje się typ sumiennego, wykorzystującego wszelkie mu dostępne źródła

[15] Artykuł Wiślickiego w „Przeglądzie Tygodniowym" 1871.

okoliczne badacza prowincjonalnego, powstają samorzutne zespoły miłośników wiedzy regionalnej.

Zespoły te znajdują oparcie w rozmaitych większych instytucjach, wydawnictwach zbiorowych etc. I tak przy Komisji Fizjograficznej Krakowskiego Towarzystwa Naukowego grupuje się zespół uczonych dążących do systematycznego zbadania pobliskich Karpat a szczególnie Tatr, znanych dotychczas tylko z krótszych wypadów wycieczkowych. Uczeni ci jak zoolog M. Nowicki czy botanik o wszechstronnych zainteresowaniach Eugeniusz Janota (1823—1878) pragną wiedzę o Tatrach pogłębić planowymi badaniami. Nowicki poświęca się badaniom fauny, ochronie zwierzyny, a Janota obok zapisków przyrodniczych i pomiarów wysokości w Tatrach, zbiera wszystkie dane do przeszłości Podhala, a nie obce mu są i prace o charakterze turystycznym (pierwszy przewodnik do Tatr i na Babią Górę) czy etnograficzne (notatki do muzyki góralskiej), obejmując więc całą wiedzę o Tatrach.[16] Nowicki i Janota wciągnęli do pracy w Komisji Fizjograficznej szereg ludzi miejscowych jak Adama Uznańskiego z Szaflar, który opracował dorzecze Białego Dunajca, wychowując i dalszych kontynuatorów tych badań. Wiernym spadkobiercą Janoty był profesor gimnazjum w miejscowościach podkarpackich Bronisław Gustawicz; acz przyrodnik, nie obcy był zagadnieniom historycznym ogłaszając szereg źródłowych przyczynków do dziejów Podhala, publikując stare dokumenty, dając z siebie doskonały typ sumiennego regionalnego badacza. Jego pióra są artykuły dotyczące Tatr i Podhala w Słowniku Geograficznym. Uczeń Janoty z gimnazjum Św. Anny w Krakowie i towarzysz jego wędrówek Walery Eliasz (1840—1905) specjalizuje się dalej w opisach Tatr, Górali, Podhala, wydaje pierwszy większy przewodnik po Tatrach (1870); przez coroczny swój pobyt pod Tatrami w ciągu ok. 40 lat pogłębia on swą znajomość Tatr, popularyzuje o nich wiedzę przez liczne swe przyczynki („Szkice z podróży w Tatry", „Kartka z przeszłości Podtatrza", „Z podróży po Spiszu", liczne opisy wycieczek tatrzańskich). Nowicki, Janota, Eliasz należą do założycieli „Towarzystwa Tatrzańskiego" (1873), którego pierwszym celem było „umiejętne badanie Karpat a w szczególności Tatr i Pienin oraz rozpowszechnia-

[16] O Janocie Gustawicz B., Pomiary Tatrzańskie, Pam. Tow. Tatrz, 1883, VIII, 76—79; o jego zapiskach etnograficznych Chybiński A., Z dawnej pasterskiej poezji i muzyki górali podhalańskich, Wierchy, 1923, I, 98.

nie zebranych o nich wiadomości". Towarzystwo, będące więc formą organizacyjną badań regionalnych w Karpatach wydaje od r. 1876 swe „Pamiętniki", w których ukazały się liczne prace odnoszące się do Tatr czy Podhala pióra Chałubińskiego, Eliasza, Świerza, Kleczyńskiego (o muzyce góralskiej), Wrześniowskiego (o podhalanach) ks. Sutora (o życiu pasterskim). Ci pierwsi pionierzy zespołowej pracy nad Tatrami czy góralszczyzną przygotowali teren dla następnego pokolenia, które przez fakt stałego u stóp Tatr zamieszkania znajomość góralszczyzny jeszcze pogłębiło. Jako wyniki prac tego grona inteligencji w Zakopanem w latach osiemdziesiątych osiadłej wychodzą tu prace jak Witkiewicza „Na przełęczy" Matlakowskiego studia nad budownictwem czy zdobnictwem góralskim, Dembowskiego o gwarze podhalańskiej. Tymi pracami położono podstawy pod tak świetnie później rozwinięty regionalizm podhalański.[17]

Jak w Krakowie przy Towarzystwie Naukowym Krakowskim tak w Poznaniu przy Towarzystwie Przyjaciół Nauk skupiają się uczeni badający lokalne zagadnienia: specjalnie dużo wysiłku uczeni poznańscy wkładają w prace z dziedziny archeologii, historii i geografii historycznej; w tej ostatniej wyróżnia się E. Callier (1833—1893), redaktor „Tygodnika Wielkopolskiego", otwierającego swe łamy miejscowemu krajoznawstwu i autor monograficznych opisów powiatów wielkopolskich według ich stanu z XVI w. Przeszłością miasta Poznania zajął się Marceli Motty (1818—1898), autor felietonów z historii miasta w „Dzienniku Poznańskim" wydanych następnie jako „Przechadzki po Poznaniu".

Świadomie „regionalny" już charakter posiada założone w r. 1877 w Toruniu Towarzystwo Przyjaciół Nauk, które wyłącznie ogranicza się do badań nad dziejami Pomorza; jego „Roczniki" (wydawane od r. 1878) zawierają gruntowne rozprawy z przeszłości Pomorza pióra głównie dwuch najlepszych w tym okresie znawców dziejów pomorskich ks. Gapińskiego i ks. Kujota. Obok tego budzą zainteresowanie i Mazury; specjalizują się tu synowie tej ziemi, jak niezwykle płodny

[17] Obok zainteresowania Tatrami, przy Towarzystwie Tatrzańskim (Oddział Czarnohorski) rozwijało się i zainteresowanie się Karpatami Wschodnimi, Huculszczyzną; Towarzystwo wciągnęło do współpracy autora „Rysu historycznego o Hucułach", (Lwów 1863) ks. Sofroniusza Witwickiego z Żabiego, który w „Pamiętnikach" Towarzystwa ogłaszał niektóre swe przyczynki ze swego terenu.

uczony, rodem z Ełka, Wojciech Kętrzyński (1838—1917) autor ogromnej ilości poważnych prac z geografii, historii, zaludnienia etc. Prus Wschodnich, Pomorza („O ludności polskiej w Prusach niegdyś krzyżackich", „O Mazurach" i wiele innych) oraz przedwcześnie zmarły, dziś zapomniany Pomorzanin, uczeń królewieckiego uniwersytetu J. Julian Ossowski (1856—1882) autor „Przyczynków do literatury mazurskiej" (Ateneum, 1882).

Gdzie warunki nie pozwalały na tworzenie żadnych polskich towarzystw tam zastępowały je zbiorowe wydawnictwa jak „Pamiętniki", „Roczniki". W Kielcach w latach 1870, 1871, 1874 wydawany jest „Pamiętnik Kielecki" pod redakcją Liliany (Z. Porębskiej) a potem znanego monografisty Kielecczyzny ks. Wł. Siarkowskiego i grupujący miejscowych pisarzy. W „Pamiętniku Kieleckim" drukowali rozprawki dotyczące Kieleckiego, oprócz redaktorów i inni miejscowi badacze jak H. Święcicki, Ign. Kaczkowski; opisywano tu tak zabytki okolic jak „Płody przyrodzone okolic kieleckich", obok wiersza poświęconego Buskowi były tu opisy marmurów kieleckich.[18] Podobny charakter nosił i „Rocznik" wydawany w Piotrkowie w latach 1871—1873, z przyczynkami krajoznawczymi do okolic piotrkowskich, Wolborza, Witowa itd.

Taką samą rolę spełniały i lokalne kalendarze i czasopisma. Czasopisma na ówczesnej prowincji były to pisma „prowincjonalne" a nie jak byśmy dziś powiedzieli regionalne, to znaczy były to dzienniki lub na dziennikach wielkomiejskich wzorowane pisma, starające się z jednej strony zastąpić gazety wielkomiejskie w udzielaniu wiadomości z „wielkiego świata", z drugiej zaś rejestrujące wydarzenia okoliczne. Przy tym rejestrowaniu nie mogły oczywiście pomijać i licznych bolączek, potrzeb okolicy, wciągając tym samym czytelników w obręb zainteresowań życiem miejscowym. Nie mogło być też pominięte i życie kulturalne, to też tu i ówdzie pisma te udzielają swych łamów pracom regionalnym o cennej nieraz wartości. I tak dla przykładu wymienimy, że w takiej „Gazecie Kieleckiej" (1885, nr 29—31 i 1886, nr 34—38) umieszczał swe interesujące przyczynki do dziejów szkolnictwa kieleckiego w XVIII i XIX w. F. Rybarski. „Gazeta Radomska" redagowana przez zamiłowanego badacza ludu tych okolic,

[18] Hubicka M., Pamiętniki Kieleckie, 1870, 1871, 1874 i 1898, Pamiętnik Świętokrzyski, I (1930), 230—232.

autora m. in. rozpraw o szopce radomskiej (Wisła, VIII), o Czarnolesie i Policznej (Wisła, X) Szczęsnego Jastrzębowskiego otwiera chętnie swe łamy dla wszelkich przyczynków krajoznawczych z okolicy: tu ukazywały się artykuły o starym Radomiu na podstawie opisu z 1820 r. (1885, nr 33—35), opis dawniejszy wsi Maków koło Radomia (1886, nr 33), tu wreszcie dłuższa cenna rozprawa Hieronima Łopacińskiego o Radomskim i Sandomierskim w przysłowiach, wyrażeniach i piosenkach ludowych (1893—1894), poza tym wiele opisów zwyczajów, sobótek okolicznych etc. W „Gazecie Lubelskiej" i „Kurierze Lubelskim" (redaguje je przez pewien czas W. Dawid 1816—1897, sam zresztą rodak lubelski ze Szczebrzeszyna) ogłasza wiele drobnych przyczynków do historii Lublina pierwszy prawdziwy monografista Lublina, autor „Monografii Lublina" (1878, wyszedł tylko t. I), „Opisu Lublina jako przewodnika dla zwiedzających miasto i jego okolicę" (1876), „Cechów w Lublinie" (Biblioteka Warszawska 1886), Wł. Zieliński (1836 do 1895).[10] Pod koniec XIX w. wydawano też w Lublinie „Kalendarze Lubelskie"; w tych kalendarzach ogłaszał niektóre swe lubelskie przyczynki niezapomniany Hieronim Łopaciński, wówczas nauczyciel w Lublinie, tu też pisywał przyczynki miejscowe i Klemens Junosza (Szaniawski).

Nawet tam gdzie nie było nie tylko polskich instytucyj naukowych ale nawet polskiej prasy czy kalendarzy, gdzie tępione było wszelkie słowo polskie czy wszelka polska akcja kulturalna, nie brakło miejscowych badaczy polskich, którzy prowadzili tam działalność naukową, do dziś dnia zadziwiającą swą niezwykłą wytrwałością, sumiennością, wszechstronnością, będącą nieraz jedynym sposobem, którym mogli oni podkreślać swe przywiązanie do polskiej przeszłości tych ziem.

Przykładem może najlepszym tego rodzaju uczonego regionalnego w wielkim stylu był dr Józef Rolle (pseud. Antoni J., 1830—1894). Lekarz rzucony do zapadłej — acz ze świetną przeszłością — mieściny kresowej, Kamieńca Podolskiego, nie zamyka się w ramach swej praktyki, ale śladem wielu ówczesnych lekarzy rozwija gorliwą i wszechstronną działalność, w której praca naukowa pierwsze chyba zajmuje miejsce. Skrupulatny typ zbieracza, miłośnika przeszłości, mający — ze swej praktyki lekarskiej jak ze stosunków rodzinnych (sam

[10] Życiorys Zielińskiego w Tyg. Il., 1895, nr 15.

też pochodzi z Podola) — znajomości w całej okolicy, wykorzystuje je skwapliwie dla przetrząśnięcia nie tylko archiwów miejskich ale i dziś już zniszczonych czy rozproszonych archiwów domowych, po dworach i dworkach podolskich, wertuje stare papierzyska tułające się po strychach dawnych siedzib pańskich, odkrywa stare rękopisy, zapiski, wydobywa od starych ludzi moc wspomnień z dawnych czasów, zapoznaje się ze wszystkim co do Podola się odnosi a co znajduje nie tylko w źródłowych wydawnictwach polskich ale i w archiwalnych, tak u nas w tym czasie zaniedbywanych wydawnictwach rosyjskich jak Archiwum Południowo-Zachodniej Rosji, Wydawnictwa Towarzystwa Historycznego w Kijowie itd. Stale też jest au courant lokalnych wydawnictw rosyjskich, tych wszystkich roczników gubernialnych, „Eparchialnych Wiedomosti", po których rozproszone też było dużo miejscowych przyczynków krajoznawczych. Nie zapomina i o opowieściach ludowych, nie pomija sposobności aby wymknąć się na pobliski besarabski (t. zw. turecki) brzeg, tak ważny dla przeszłości ziemi podolskiej. Obok tego nie pomija i prac wiążących się z jego praktyką, działa jako sekretarz miejscowego towarzystwa lekarskiego, prowadzi prace lekarskie i studia przyrodnicze w okolicy, przykłada się do miejscowych poczynań społecznych. Z pod jego pióra wychodzą do dziś dnia poczytne studia jak „Zameczki Podolskie na kresach multańskich" (1880), 9 tomów „Opowiadań, „Szkiców" i „Sylwetek historycznych" (wszystkie z dziejów podolskich), „Niewiasty kresowe", „Oświata na dawnych kresach" (Prz. Polski 1880).

To co jest w pracach dr Antoniego J. najcenniejsze to nie tylko drobiazgowe wyczerpanie, pracowite przedstawienie wybranego przedmiotu, tego czy innego epizodu z dziejów podolskich z XVII czy XVIII w., ale to, że potrafił dać rzecz może dla pisarza historycznego najtrudniejszą: dać kipiący życiem obraz środowiska w opisywanej epoce, obraz atmosfery podolskiej ówczesnej epoki, atmosfery tego społeczeństwa szlacheckiego, z jego latyfundiami, z szlachtą zawadiacką i buńczuczną, z przepychem wschodnim i całą tą atmosferą sarmacko-orientalną, która tam na Podolu objawiała się w swojej najcharakterystyczniejszej postaci: bo też to Podole było wtedy jakąś rubieżą wschodu i zachodu, a koloryt orientalny dodawał mu nie tylko przepych orientalny dworów szlacheckich ale i mieszanina miejscowego społeczeństwa,

i Grecy, Ormianie, Tatarzy, Wołosi, i sąsiedztwo z baszą chocimskim, najbliższym reprezentantem potencji ottomańskiej [20]

Czym był dr Antoni J. dla Podola, tym dla Inflant był Gustaw Manteuffel (1832—1917). Tamten rzucony był na rubież, gdzie schodziły się wszystkie narody i kultury południowo-wschodniej Europy, gdzie jeszcze niedawno graniczyły ze sobą łacińska Polska, bizantyjska Rosja i muzułmańska Turcja, gdzie stykały się i zlewały żywioły ruski, polski, wołoski, tatarski, grecki i ormiański tworząc z tego jakby jakiś pstry kobierzec wschodni. Ten tkwił też w centrum swoistego mikrokosmosu etniczno-kulturalnego, gdzie stykał się żywioł polski, białoruski, łotewski i (po miastach) niemiecki, gdzie łączyły się świat łacińskiej Polski, wschodniej Rosji z surowym, protestanckim, gotyckim światem Hanzy i kawalerów mieczowych.

Jak dr Antoni J., działał w terenie posiadającym dobre regionalne tradycje, na kresach bowiem wołyńsko-podolsko-ukrainnych rozwijała się tak dobrze przecież działalność i Kraszewskiego w Żytomierzu i Heleniusza Iwanowskiego i Edwarda Rulikowskiego i „Gwiazdy" kijowskiej, tak też i Gustaw Manteuffel miał w swej pracy regionalnej na Inflantach polskich nie bylejaką tradycję — tradycję „Rubonu", działalności takich jak on przedstawicieli szlachty inflanckiej Platerów, Borchów.

Gustaw Manteuffel rekonstruował w swych pracach miniony świat inflancko-kurlandzki, ten świat, który już wówczas, po zamachach nań rusyfikacyjnych od połowy XIX wieku był muzyką dalekiej przeszłości. Śledził też Manteuffel sąsiedzkie wydawnictwa historyczne czy krajoznawcze Niemców ryskich, zapoznawał się z ich archiwami, jeździł do ich muzeów i na wystawy historyczne, zdając z tego wszystkiego sprawozdania w polskich pismach naukowych, aby utrzymać tę więź dwuch nauk pracujących na tym mieszanym terenie. Interesował się też wydatnie i teraźniejszością kurlandzką; stosunkami kościelnymi, etnicznymi, folklorem miejscowych Kurów czy Łotyszów. Z najważniejszych prac tego wielkiego badacza regionalnego

[20] O drze Antonim J., K r a u s h a r A., Doktór Antoni J. (Opowiadania i Wizerunki historyczne) Warszawa, 1906, T a l k o H r y n c e w i c z J., O s t a t n i z d a w n y c h l e k a r z y k r e s o w y c h (Dr. Antoni J.), Pam. Wileń. Tow. Lekars. i Wydziału Lekars. Uniw. Stefana Batorego, VI, Wilno 1930, 4—5, tamże spis prac dra Antoniego J., por. też spis prac w nekrologu, Kwart, Hist. 1894.

wymienić specjalnie należy: „Inflanty polskie" (1879), „Piltyń i archiwum piltyńskie" (1884), „Słupi Róg i jego stosunek do poezji Łotyszów naddźwińskich" (1885), „Księstwo inflanckie w XVII i XVIII w." (1897), „Cywilizacja, literatura i sztuka w dawnej kolonii zachodniej nad Bałtykiem" (1897), „Krasław" (1901). Jemu też zawdzięczamy sumiennie opracowane, monograficzne artykuły o Kurlandii, Inflantach etc. w Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego i innych ziem słowiańskich" Chlebowskiego [21]

Roliemu i Manteufflowi nieco tu więcej miejsca poświęciliśmy, byli to bowiem najbardziej „rasowi" przedstawiciele zapomnianych już dziś a tak zasłużonych badaczy regionalnych XIX wieku. Tak bogata i wszechstronna twórczość, jak i systematyczność i metoda ich prac, wysuwają ich bezsprzecznie na czoło, pozwalają postawić ich na pierwszym miejscu w nauce polskiej na dalekiej prowincji w tych ciężkich dla twórczości polskiej czasach.

Ale obok nich w żadnej prawie okolicy nie brak już w tym czasie specjalistów, monografistów, zbieraczy, szperaczy, przyczynkarzy miejscowych. I tak na pograniczu mazowiecko-podlaskim, nad Narwią rozwija działalność rodak z tutejszych okolic (z tykocińskiego) Zygmunt Gloger (1845—1910), który aczkolwiek wyszedł znacznie poza swój teren obejmując swymi zainteresowaniami etnograficznymi całą Polskę, to jednak rodzinnej swej okolicy poświęcił dużą ilość prac i przyczynków. W Radomskim działa znów niestrudzony proboszcz z Jedlni ks. Gacki (1805—1876), któremu zawdzięczamy monografie licznych kościołów okolicznych („Radom stary i jego kościoły", „Jedlnia, w niej kościół i akta obecnego prawa", monografie 62 kościołów z okolicy w „Pamiętniku Religijno-Moralnym" 1844—1862). W okolicach kaliskich specjalizował się Kaliszanin Antoni Adam Chodyński, założyciel (1870) i długoletni współpracownik „Kaliszanina", drobiazgowy monografista nietylko zabytków ale i wszelkich instytucyj, szkół i całej przeszłości ziemi kaliskiej. W Łowickim wysuwają się w tym czasie Romuald Oczykowski i Władysław Tarczyński.

Wołyń podtrzymuje dawne tradycje żytomierskie. Wyróżnia tu się J. T. Stecki autor prac statystyczno - historycznych jak „Miasto Równe" (1880), „Wołyń pod względem statystycz-

[21] O Manteufflu Cz. Jankowski, Dziejopis Inflant, Tyg. Il. nr 28 1908.

nym, historycznym archeologicznym" 1864—1871, 2 tomy); wychowanek żytomierski, rodem z Zasławia na Wołyniu Marian Dubiecki (1830—1926) obok opisu „Dawnego Żytomierza" (w zbiorku „Na kresach i za kresami") poświęca się dziejom dawnym „dzikich pól", Zaporoża i Kudaku.

Inny Wołyniak J. Dunin Karwicki z Mizocza jest autorem „Przejażdżek po Wołyniu" (Przew. Nauk. i Lit.,1892) i również odnoszących się do Wołynia „Szkiców obyczajowych i historycznych. (1882). Dziejom klasztorów i szkół na kresach poświęca się jeszcze jeden Wołyniak, M. G. Giżycki („Wołyniak", „Marek Gozdawa").

Na Śląsku z rosnącej wciąż grupy badaczy miejscowego ludu wyróżniają się w tym okresie samorodni cieszyńscy uczeni Andrzej Cinciała (1825—1898) zbieracz przysłowi i jego zięć J. Bystroń z Wisły, autor rozprawy o „O mowie polskiej w dorzeczu Stonawki i Łucyny w Księstwie Cieszyńskim" (1887). Na Górnym Śląsku kontynuują prace Lompy ks. A. Hytrek (1813—1899), redaktor „Katolika", i redaktor „Kuriera Górnośląskiego", autor „Dziejów Śląska (Bytom 1892) ks. Loss.

Schyłek XIX wieku niesie ze sobą jeszcze jeden objaw badań regionalnych twórczości miejscowej: wzmożenie badania przeszłości większych miast. Miała poprzednio Warszawa Sobieszczańskiego czy Wejnerta, miał Kraków Grabowskiego, Lwów Kunasiewicza (autora „Przechadzek archeologicznych po Lwowie", 1874—1876) Poznań Mottyego czy Wilno Kirkora, ale były to próby tylko sporadyczne. Obecnie studia te systematyzują się, przybierają na sile, organizują. Przykład daje tu Kraków, gdzie u samego schyłku tego stulecia grono miłośników starożytności krakowskich (Tomkowicz, Łuszczkiewicz, Chmiel, Bąkowski) zakłada (1898) „Towarzystwo Miłośników Historii i Zabytków Krakowa" z celem „badania przeszłości drogiej dla każdego Polaka stolicy dawnej Polski" i wydaje „Bibliotekę Krakowską". Stopniowo i inne miasta organizują tego typu ośrodki badań własnej przeszłości. Z tym też bilansem regionalizm polski wkroczył w wiek XX.

PRZEGLĄDY

PAMIĘTNIK STANISŁAWA PIGONIA

Pamiętniki Stanisława Pigonia powstały w latach wojny.* Wstęp do owych wspomnień młodości nosi datę innej epoki: styczeń — marzec 1942. Rękopis przetrwał trudne miesiące i oglądamy go dziś w druku. Kiedy autor patrzył w korektach na swoją opowieść autobiograficzną, z oddali lat kilku wydała mu się niezupełna, wymagająca rozwinięcia w szczegółach. Napisał wówczas swoim malowniczym językiem: „Raz potrącona struna wspomnień nie łatwo ucicha." Czytelnik wtórzy chętnie tym refleksjom Dla niego również pamiętnik młodości Stanisława Pigonia „Z Komborni w świat", gdy odwraca ostatnią kartę książki, gdy czyta ostatnie już słowa, jest dziełem w swoich wymiarach — jakże zresztą obmyślanych — wyraźnie za małym, skończonym zbyt prędko. Jaka szkoda! — mówimy, patrząc na białą stronicę.

Polska literatura pamiętnikarska jest bardzo bogata. Okazały tom Edwarda Maliszewskiego „Bibliografia pamiętników polskich" zgromadził ponad 5 000 pozycji, które niebawem St. Wasylewski i in. skrzętnie pomnożyli. W tym przebranym zaledwie bogactwie materiału występują tłumnie politycy, żołnierze, podróżnicy, literaci. Któż bowiem traktuje życie własne, jako temat? Działacze, którzy muszą w nim czegoś bronić albo kogoś oskarżać, adwokaci i prokuratorzy historii. Lub też pisarze, którzy przeżyli wiek ciekawie, malowniczo, i teraz — przy ostatnim stole — raczą nas plotką i dobrą anegdotą. Uczeni rzadko piszą pamiętniki. Jeden szary żywot, zakurzony, archiwalny — to za mało na pamiętnik. Opowiedzieć uczone przygody poważył się tylko Joachim Lelewel. Kiedy przed laty „Nauka Polska" ogłosiła drukiem kilka pamiętników uczonych autorów, doniosłym rezultatem owej ankiety były — dokumenty, przygotowane starannie dla badania psychologii twórczości naukowej. Wiemy dobrze, że życie wyraża się także dokumentem, ale czyni to — by tak rzec — mimochodem.

Pamiętnik Stanisława Pigonia od ubogiego tła, jakie zachowaliśmy w pamięci, odbija bardzo wyraziście. Zamierzenie autora jest bowiem zupełnie inne. Prześledzić rozwój własnego intelektu — to tylko jeden z celów pamiętnikarza. Ukazać epokę, już oddawna zamkniętą — to tylko wyznaczyć elementy tła. Właściwe zagadnienie spoczywa gdzie indziej. Stanisław Pigoń, idący zwolna, lecz świadomie z Komborni do Krakowa, kreśli zarazem drogę, która prowadzi z opłotków chłopskich „ku kulturze duchowej". Jest to — w metaforze autora — „ścieżka wiejska", która ma swoje stromości, zakręty, zdradzieckie urwiska (s. 264). I ów pa-

* Pigoń Stanisław. Z Komborni w świat. Wspomnienia młodosci. Z przedmową Franciszka Bujaka. Kraków 1946. Spółdzielnia wyd. „Wieś". Biblioteka dziejów i kultury wsi. T. 10.

miętnik chłopskiego syna, który został uczonym, prawi w istocie o czym innym, aniżeli pamiętniki z „Nauki Polskiej". Przedstawia bowiem historię pochodu od wiejskiego prymitywizmu do wysokiego poziomu duchowej i umysłowej kultury. Na przykładzie własnego życia, na które patrzymy z szacunkiem i podziwem, ukazuje ogólniejsze zagadnienie społeczne: „wrastania synów chłopskich w inteligencję".

Ta jedyna opowieść autobiograficzna, doprowadzona do wieku męskiej dojrzałości, rozłamuje się pod piórem na cztery opisy: Moja wieś. Mój dom. Lata szkolne. W uniwersytecie. Każdy z tych rozdziałów pamiętnika, który konsekwentnie trzyma się obranej linii głównej, pobrzmiewa wyraźnie inaczej.

„Moja wieś" — Kombornia w powiecie Krośnieńskim — nie ujawnia właściwie akcentów osobistych. Cały ten rozległy obraz, socjografię wsi, piszą naprzemian ręce historyka, który zacieka się w szczegółach przeszłości lub badaniu tradycji historycznej; etnografa, który zadziwia precyzją i starannością opisów, wprowadza do nich język ludowy, daje zarys toponomastyki Komborni; ale także socjologa, który obserwuje rzeczywistość społeczną, czytelnictwo wsi, kreśli procesy przemiany, wydobywa z wydarzeń refleksje ogólniejsze, nie uchyla się od uprawiania pedagogii społecznej.

Z tym wszystkim ów historyk, etnograf, socjolog i któż tam jeszcze, to Stanisław Pigoń, badacz literatury. Bogaty pod jego piórem materiał literacki roi się od przypomnień lektury. Powracają tu gęsto, dla różnych powodów, Goszczyński, Fredro, Kaczkowski, Konopnicka, Żeromski, Reymont . . . Owe reminiscencje, choć i liczne, nie mącą rzeczywistości. Są raczej niezawodnym środkiem stylistycznym, metaforą, która towarzyszy obserwacji, nigdy jej jednak nie wikła sztucznością lub zawiłością wysłowienia. Jeśli do opisów wkracza literatura, czyni to bez maski. „Charaktery wiejskie" pod piórem Pigonia nabierają cech prawdziwego pisarstwa. Oszczędna w słowie notatka, jak to syn chłopski jedzie do szkoły w Jaśle (s. 69—70), lapidarna, niezrównana, stanowi doskonałe p e n d a n t opisów, tylokrotnych w powieści, kiedy do bram szkolnych zbliża się wyrostek szlachecki. Raz po raz pióro pamiętnikarza prowadzi badacz literatury ludowej. Przez książkę Pigonia przewinie się wówczas kapitalna seria wiejskich gawędziarzy, chciało by się rzec, „literatów", którzy nie trafią nigdy na swojego „Korbuta". Pigoń rozpoznaje doraźnie wątki wędrowne, na poły literackie np. w tradycjach pańszczyzny. Rozrzuca ciekawe przyczynki do beletrystyki straganowej, wiążąc lekturę wiejską z tytułami dzieł, nawet z nazwiskami wydawców (s. 63, psoty Janka Sowiżrała i inne).

„Mój dom", rozdział następny, zatracił całkowicie poprzedni świadomy obiektywizm. Otwiera ów rozdział zdanie nieporównane: „Drzewa genealogiczne na wsi nie rosną zbyt bujnie i nie są rosochate . . ." Po czym następuje wywód rodowy, chłopskie drzewo genealogiczne, niewysokie, ułomne, „dwie, trzy gałązki". Oblicze matki. Postać ojca, chłopa, kowala. Słowo dotychczas powściągliwe, panujące nad wzruszeniem, staje się ciepłe, serdeczne, nabiera tonów miękkich, trafia do uczuciowości czytelnika tyleż kluczem prawdy, co wysokiej sztuki. Na owo tło rzucony obraz dzieciństwa, pierwszej zabawy, pierwszej szkoły, w którym przewijają się raz po raz reminiscencje z Mickiewicza. Nie nadaremno! Już bowiem po trzecim czy czwartym roku nauki w Komborni Pigoń przyniósł do domu cenną „Nagrodę pilności": „Pana Tadeusza", w wydaniu Macierzy Polskiej. Było to pierwsze spotkanie z arcydziełem. „Moja wieś" jest złożonym obrazem historyka, etnografa, socjologa. „Mój dom" jest obrazem miłości.

„Lata szkolne" Pigonia wypełniają zagadnienia pedagogii. Unosi się nad

tymi kartami naczelny problem całej książki: przemiany synów chłopskich w inteligencję. Przemiana ta odbywa się ciężkim wysiłkiem osobistym, w którym rzadko kto z zewnątrz przychodzi z pomocą. Galeria pedagogów gimnazjalnych w Jaśle, znaczonych w tekście kryptonimami (które jednak rozwiązuje autor w indeksie), należy znowu raczej do Teofrasta, aniżeli do Plutarcha. Pigoń już wówczas znajduje własną drogę: odkrywa uroki filologii, zacietrzewia się nad książkami Brücknera. Wie napewno: będzie służył literaturze. Z mnóstwa szczegółów, jakie przynosi ta relacja, chcemy wyłowić ten tylko, który dotyczy Jaracza: Stefan Jaracz, wypędzony z gimnazjum tarnowskiego, gra przed uczniami w Jaśle Nosa i Dziennikarza w „Weselu". „Jakże on grał! Nigdy później nie widziałem lepiej zagranej roli Dziennikarza" (s. 148).

„W uniwersytecie" — to etap ostatni. Jeśli lata szkolne wiodły chłopca wiejskiego do inteligencji, okres studencki, spędzony w Krakowie, otwiera mu inne widnokręgi: kultury moralnej. Pigoń przystał do ruchu, jaki wywołał Wincenty Lutosławski, rozpoznany przez autora „utopista".

Z prostotą, która zniewala, i ze znaną powściągliwością słowa, aby powiedzieć to tylko, co konieczne, Pigoń kreśli swą biografię psychiczną mając wokół siebie gromadę ludzką, poddaną równie żywym fermentom, moralnym, uczuciowym, społecznym. Jest to drugi w literaturze pamiętnikarskiej (jeśli przypomnieć szkic Stanisława Cywińskiego) opis środowiska „Eleusis", zasięgu, jaki uzyskał, i przemian, którym z kolei podlegał. W tle owego przeżycia został ustawiony jeszcze kolos naówczas: Uniwersytet Jagielloński. Odtąd karty pamiętnika należą do historii polonistyki uniwersyteckiej. Tarnowski przemknął się tym rozdziałem pospiesznie, dosięgnięty słowem celnym, ironicznym. Stanisław Windakiewicz potraktowany dociekliwie i rzetelnie. Jan Łoś owiany serdecznością. Ign. Chrzanowski, najpierw nauczyciel, po tym przyjaciel. Dojrzałość moralną zdobywa Pigoń w grupie Eleusis, intelektualnie krzepnie nad książką. Uporządkowawszy wszystkie wątpienia młodego wieku, pozostał w nauce. Jak przystało: w gruntowej nauce filologicznej Stanisław Pigoń, syn chłopski, syn kowalski.

Tadeusz Mikulski.

Z NOWOCZESNEJ ANTROPOLOGII

Czekanowski J.: Podstawy teoretyczne antropologii i ich konsekwencje. — Tow. Naukowe K. U. L. Wykłady i przemówienia. Nr. 1. Lublin 1946, str. 32.

Prof. Czekanowski po raz trzeci w swym życiu otwiera serię nowych wydawnictw. Tak bowiem rozprawą Czekanowskiego jeszcze w roku 1918 rozpoczęła się seria „Prac Geograficznych, wydawanych przez prof. R. Romera". Podobnie nowa seria „Ludu" rozpoczęła się również pracą J. Czekanowskiego, obecnie nowy cykl wydawnictw Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego otwiera wykład Czekanowskiego na temat podstaw teoretycznych antropologii.

Prof. Czekanowski pierwszy w literaturze światowej zwrócił już dawno uwagę na proces stopniowej przebudowy antropologii w naukę ścisłą. Zresztą w powolnym wypracowywaniu dróg tej przebudowy brał sam wybitny udział, co nadało tak charakterystyczne piętno nie tylko jego twórczości ale też i twórczości szkoły antropologicznej, przez niego wytwo-

rzonej. Twórczość Czekanowskiego stanowi niewątpliwie etap w rozwoju antropologii, a jego śmiałe syntezy i uogólnienia zyskują mu z jednej strony liczne rzesze zwolenników a z drugiej strony przeciwników, namiętnie je zwalczających.

Wykład, o którym mowa, jest próbą zestawienia dotychczasowych osiągnięć na drodze przebudowy antropologii na naukę ścisłą jak też rzuceniem pewnych koncepcji, w myśl których dalsza przebudowa iść powinna. Zastanawiając się nad właściwościami nauki ścisłej autor słusznie zauważa, że charakteryzuje ją dwutorowość. Z jednej strony mamy tam tor indukcyjny, który ujmując obserwowane fakty dochodzi do pewnych ogólnych, syntetycznych tez; „jest to dział empiryczny, w najklasyczniejszej postaci reprezentowany przez fizykę eksperymentalną". Z drugiej strony równolegle do tego toru przebiega tor dedukcyjny, który wychodząc od osiągniętych już teoretycznych tez, stanowiących teraz założenia, wywodzi już analitycznie fakty obserwacji, odkrywa nowe, dotychczas nieznane fakty, wynikające z teorii i sprawdza je materiałem obserwacyjnym. Klasycznym tego przykładem jest fizyka teoretyczna.

Czekanowski stara się wykazać, że w antropologii wyodrębnia się dział teoretyczny, analogiczny do fizyki teoretycznej. — Oczywiście są to dopiero początki, ale dalszy rozwój antropologii w tym kierunku zdaniem autora, jest nie tylko możliwy, ale nawet bardzo prawdopodobny. Konstrukcja antropologii teoretycznej w ujęciu Czekanowskiego opiera się na czterech następujących tezach: 1. na prawie rozszczepiania się mendelistycznego, 2. na prawie dominacji mendelistycznej, 3. na hipotezie mendelistycznej dziedziczności typu morfologicznego i 4. na hipotezie stałości typu morfologicznego, uwarunkowanej zespoleniem zjawiska dominacji z rasą. Już w roku 1921 wykazał Czekanowski, że zarówno t. zw. prawo regresji Galtona jak i współczynniki dziedziczności Pearsona, obliczane przez angielską szkołę biometryczną, stanowią proste konsekwencje rachunkowe prawa rozszczepiania i prawa dominacji Mendla. Wykazał on przy tym, że współczynniki dziedziczności są w zasadzie wielkościami stałymi, ale niektóre metody obliczania mogą wielkość ich deformować, skutkiem zjawiska dominacji, uzależniającej obliczaną wielkość współczynnika od składu badanej grupy. Wreszcie w 10 lat później wykazał również, że uwzględnienie praw Mendla doprowadza do zupełnego uzgodnienia ogólnego prawa dziedziczności t. zw. „Law of ancestral heredity" Karola Pearsona z wielkościami współczynników dziedziczności. Te teoretyczne osiągnięcia zostały następnie skontrolowane przez bezpośrednie obserwacje, dotyczące grup serologicznych krwi. Kontrola ta była umożliwiona głównie przez to, że grupy serologiczne krwi są cechą, nie wykazującą zmienności, dającą wyraźnie odgraniczone kategorie. Zmienność bowiem cech takich jak barwa oczu, włosów i t. p. była przyczyną trudności, które komplikowały sprawdzenie osiągnięć teoretycznych danych przez szkołę biometryków angielskich z wynikami doświadczeń. Opierając się na odkryciu, że istotą niepowodzeń biometryków angielskich w ujmowaniu zjawisk dziedziczności było nie tylko nie uwzględnianie praw Mendla (prawa rozszczepiania i dominacji), ale także i komplikującego oddziaływania zmienności cech — Czekanowski doszedł do przekonania, że należy wyeliminować zmienność w badaniu tych zjawisk. Na tych przesłankach oparł J. Czekanowski swoją hipotezę, dotyczącą liczności typów morfologicznych w populacji. Przez zastosowanie określeń typologicznych, wprawdzie niedokładnych, ale eliminujących zmienność typologiczną, i dających kategorie na wzór kategorii serologicznych, starał się wykazać, że stosunek typów morfologicznych w populacji musi być prostą konsekwencją rachunkową

praw Mendla. Hipoteza ta zawiera w sobie założenie, że typ morfologiczny dziedziczy się jako całość na wzór cech prostych monomerycznych. To uogólnienie zostało następnie sprawdzone przez materiał genetyczny, zebrany przez ks. B. Rosińskiego a ogłoszony przeze mnie w wyciągu w roku 1939. Niestety ks. B. Rosiński dotychczas nie ogłosił indywidualnego materiału, skutkiem czego brak jest kontroli, czy jego określenia typologiczne zostały dostatecznie ściśle wykonane. Należy tu jednak dla ścisłości dodać, że hipoteza Czekanowskiego została przez innych badaczy — na co prawda mniej licznym i fragmentarycznym materiale — w ogólnych zarysach potwierdzona.

Biologiczny mechanizm populacji, będącej w równowadze, w której elementy rasowe, wykrzyżowując się wzajemnie, dają mieszańców — a ci z kolei krzyżując się wzajemnie wymendlowują z powrotem elementy zasadnicze, nasuwa przypuszczenie, że musi istnieć pewien stały i dający się określić stosunek między właściwościami populacji a jej typologicznym składem. Sformułowanie prawa, ujmującego ten stosunek, jak to słusznie Czekanowski zaznacza, stanowić będzie realizację bodajże najważniejszego etapu przebudowy antropologii na naukę ścisłą. Czekanowski próbował dotąd ująć ten stosunek jedynie dla kształtu głowy, formułując w roku 1930 t. zw. prawo średniej arytmetycznej wskaźnika głównego. Pozwala ono na obliczanie średniej tej cechy dla danej populacji na podstawie jej składu. Ujęcie tego rodzaju praw, co najmniej dla takiej ilości cech, jak wielką jest liczba zasadniczych elementów rasowych populacji, pozwoliłoby na określanie składu rasowego populacji wyłącznie na podstawie jej ogólnych charakterystyk liczbowych. Odwrotnie mogłaby być przeprowadzona kontrola określeń rasowych populacji przy pomocy średnich arytmetycznych, odnoszących się do całej grupy. Niestety nie udało się dotychczas skonstruowanie analogicznych praw dla innych cech poza wskaźnikiem głowy. Prawo średniej arytmetycznej J. Czekanowskiego zakładało, że formy krótkogłowe dominują nad pośredniogłowością a ta z kolei nad długogłowością. Dało się ono stosować do serii historycznych aż do wczesnego średniowiecza. Serie wcześniejsze, wykazujące znaczną przewagę długogłowości, nie dały się uzgodnić z tym prawem. Wobec tego Czekanowski postawił dodatkową „hipotezę przestrojeń dominacji". Hipoteza ta zakłada istnienie tych samych elementów biologicznych w okresach przed średniowieczem jak i w okresach późniejszych, których cechy nabierają charakteru pewnych konstant biologicznych, ale zachodzi tu inny stosunek pomiędzy cechami składników rasowych a średnią populacji. Ten odmienny stosunek polega na zmianie dominacji. Mianowicie w okresach wcześniejszych formy długogłowe dominują nad pośredniogłowymi a te z kolei nad krótkogłowymi. Na tym, zdaniem Czekanowskiego, polega tak wielostronnie stwierdzana zmiana wskaźnika głównego na terenach Europy począwszy od paleolitu aż do czasów dzisiejszych. Gdyby ta hipoteza okazała się słuszną pozwoliłoby to na określanie epoki, z której dana seria antropologiczna pochodzi.

Niestety hipoteza stałości typu morfologicznego wraz z dodatkową hipotezą przestroju dominacji nie została jeszcze wszechstronnie wyjaśnioną i uzasadnioną. Dlatego też t. zw. prawo średniej arytmetycznej J. Czekanowskiego wskazuje nam jedynie drogę i cel ostateczny, do którego antropologia teoretyczna dążyć powinna. Dotychczas bowiem dwa ostatnie założenia, na których opiera się w ujęciu autora antropologia teoretyczna, nie zostały jeszcze w sposób należyty skontrolowane dostatecznym materiałem obserwacyjnym. Z tego też względu, jak to słusznie sam autor zaznacza, nie można jeszcze antropologii uważać za naukę ścisłą. Mimo to jednak hipotezy te otwierają bar-

dzo szerokie horyzonty dla dalszych badań.

Jest rzeczą zastanawiającą, że przy pomocy prawa liczności typów w populacji nie wykrywa się właściwie żadnego wpływu procesów selekcyjnych. Takie procesy niewątpliwie istnieją. Czekanowski jednak przypuszcza, że rozbieżności tendencji procesów selekcyjnych, eliminujących raz jeden to znowu inny element rasowy, stanowią przyczynę nikłości wpływu doboru naturalnego na przeobrażenia składu rasowego ludności europejskiej. Te same krzyżujące się wzajemnie kierunki eliminacyjne procesów selekcyjnych niwelując się wzajemnie nie zaznaczają się na ilościowym stosunku składników morfologicznych populacji. Ponadto procesy selekcyjne zwracają się głównie przeciwko dysharmonijnym mieszańcom a nie przeciwko charakterystycznym przedstawicielom poszczególnych typów antropologicznych. Autor stąd wyciąga wniosek, że istotą konstytucji patologicznej jest dysharmonia w dziedziczeniu. Za tezą tą przemawiają liczne argumenty zarówno ze strony klinicystów jak i antropologów.

Jakkolwiek nie wszystkie założenia w konstrukcji antropologii teoretycznej J. Czekanowskiego są dostatecznie uzusadnione i udowodnione, to jednak dotychczasowe osiągnięcia, uzyskane na podstawie tych założeń, są tak wartościowe i otwierają tak wielkie perspektywy na przyszłość, że jako hipotezy robocze mogą oddać nieocenione usługi. Wykład J. Czekanowskiego stanowi niewątpliwie program prac na przyszłość i wytycza kierunki rozwoju antropologii, po których ona pójść powinna.

Jan Mydlarski.

POLSKIE ŻYCIE UNIWERSYTECKIE W WIELKIEJ BRYTANII W LATACH 1940—1945

1.

Utworzony po klęsce wrześniowej Uniwersytet polski w Paryżu pod kierownictwem Oskara Haleckiego nie był szkołą akademicką w ścisłym tego słowa znaczeniu. Były to raczej luźne cykle wykładów tych profesorów i docentów polskich szkół akademickich, którzy znaleźli się we Francji. Szło tu bardziej o manifestację ciągłości, nieprzerwalności polskiego życia naukowego i uniwersyteckiego przed światem w obliczu pierwszych strasznych ciosów, jakie spadły na naukę polską w kraju. Ten moment uwypukliły silnie wstępne wykłady St. Kota i St. Strońskiego. Oparty o bogate zbiory Biblioteki Polskiej w Paryżu, Uniwersytet skupił przeważnie humanistów, trochę prawników i utrzymał się do klęski Francji w czerwcu 1940. Bliskość kraju, mała ilość młodzieży, garnącej się przede wszystkim w szeregi wojska, a ponad wszystko powszechne niemal iluzje co do szybkiego trwania działań wojennych przesądziły o luźnym kształcie organizacyjnym pierwszego ośrodka naukowego zagranicą po załamaniu się państwowości polskiej. Nie myślano wówczas o regularnym kształceniu młodzieży akademickiej, stąd w konsekwencji wynikła forma nie powiązanych wykładów uniwersyteckich. Ale spełnił swoje zadanie przypominania francuskiemu światu intelektualnemu losu nauki i uniwersytetów polskich.

2.

Inna była całkiem sytuacja dziejowa i psychologiczna w momencie przybycia masy polskiej do Anglii w lecie roku 1940. Prysła iluzja, że działania wojenne mogą szybko się zakończyć, wręcz przeciwnie nawet najzatwardzialsi optymiści uświadomili sobie, że wojna zaciąga się na długie lata. Znaleźliśmy się na terenie obcym olbrzymiej większości Po-

laków, dalekim od kraju. Powszechny niemal brak znajomości języka angielskiego sprawiał, że tylko wyjątkowe jednostki z pośród młodzieży mogły w pierwszym roku pobytu marzyć o dostaniu się na uczelnie brytyjskie. Równocześnie z kraju zaczęły dochodzić wiadomości o coraz bardziej systematycznej, konsekwentnej eksterminacji inteligencji przez Niemców. W wojsku złożonym w dużej mierze z elementu inteligenckiego, ale niemniej także w poważnym odsetku składającego się z dawnej francuskiej emigracji chłopsko-robotniczej, w szeregach inteligenckich, zwłaszcza wśród podchorążaków zaczął się budzić gwałtowny pęd do studiów. Władze wojskowe stanęły przed dylematem, przed koniecznością wyboru drogi postępowania: można było pójść drogą, na którą odrazu weszli Czesi, konsekwentnie ją realizując przez cały czas swego pobytu na wyspie, — drogą tworzenia małych tylko oddziałów wojskowych, mających raczej znaczenie symboliczne, a umieszczania istotnej masy młodzieży bądź na studiach w uniwersytetach, bądź w fabrykach przemysłu wojennego. Można też było pójść drogą inną, wychodząc z założenia, że w chwili wojny miejsce młodzieży jest w szeregach wojska. Władze wojskowe polskie, sztab, reprezentowały tę drugą koncepcję, broniły się uporczywie przed zwalnianiem na studia mając za sobą w pierwszym okresie ten bezsporny argument, że wojsko jest bardzo nieliczne, że każdy ubytek waży, wywołując poza tym niepożądane refleksje wśród elementu niewykształconego. Sikorski pod wpływem stanowiska rządu skłonny był wybierać drogę kompromisową. Odrzucał wprawdzie rozwiązanie czeskie — mimo demagogicznych nieraz ataków części prasy, szczególnie „Wiadomości Polskich", gdzie w sprawach tych zgodnie napastowali rząd i władze wojskowe Ksawery Pruszyński i Zygmunt Nowakowski. Sikorski zbyt na to był żołnierzem, czuł, że wówczas Polska dysponuje tylko dwoma atutami: oporem kraju i walką żołnierza. Dlatego mimo nacisków odsuwał projekty, które w wypadku pełnej ich realizacji, musiały wieść ku zamianie emigracji zbrojnej w środowisko kształcenia specjalistów. Ale zbyt był wyrobionym politykiem, wbrew temu, co się dziś nieraz pisze, umiał, gdy było potrzeba, przełamywać opory środowiska zawodowych wojskowych, patrzył w przyszłość, rozumiał potrzebę kształcenia specjalistów i dlatego nie odrzucał żadnej nadarzającej się sposobności tworzenia polskich ośrodków wyższego kształcenia.

Z zetknięcia się lekarzy polskich z kolegami szkockimi w r. 1940 wynikły pierwsze impulsy w kierunku stworzenia polskiego wydziału lekarskiego. Profesor genetyki na wydziale lekarskim w Edynburgu F. A. E. Crew zetknąwszy się na terenie szpitala wojskowego z lekarzami polskimi rzuca jesienią r. 1940 myśl utworzenia polskiego fakultetu lekarskiego przy uniwersytecie edynburskim.[1] Myśl ta znajduje życzliwy oddźwięk w senacie i wydziale lekarskim uniwersytetu edynburskiego, zostaje skwapliwie podchwycona przez rząd polski, który prze do jaknajszybszej realizacji tego zamierzenia. Chodziło tu nietylko o umożliwienie dokończenia studiów medykom w szeregach wojska i stworzenie silnych liczbowo kadr lekarzy wojskowych. W równej bowiem mierze szło o utrzymanie sprawności zawodowej, o umożliwienie ciągłości pracy naukowej dla dużej stosunkowo grupy polskich pracowników naukowych-lekarzy, jacy znaleźli się na terenie Wielkiej Brytanii. Otwierała się przed nimi możliwość nawiązania w szerokiej mierze kontaktów nauko-

[1] Dane do początków egzystencji Wydziału przynosi książka „Polski Wydział Lekarski przy Uniwersytecie w Edynburgu" opracowana przez Józefa Brodzkiego, wydana przez Radę Wydziałową w Edynburgu w r. 1942 (wydanie polskie i angielskie). Krótkie dane informacyjne przynosi ponadto każdy numer wydawnictwa „Polish Science and Learning". Materiały archiwalne do dziejów Wydziału częściowo w posiadaniu Wydziału w Edynburgu, częściowo w aktach londyńskiego Interim Treasury Committee for Polish Question.

wych z światem medycznym anglosaskim.

W okresie między październikiem 1940 a marcem 1941 ustalone zostały podstawy organizacyjne i ramy egzystencji prawnej tego niezwykłego w dziejach uniwersyteckich tworu, jakim był własny polski wydział uniwersytecki, z polskim językiem wykładowym, polskimi profesorami i na mocy polskiej ustawy o szkołach akademickich działający na obcej ziemi, w ramach obcego uniwersytetu. Od udania się tego eksperymentu zależało, czy w innych środowiskach naukowych brytyjskich powstanie ewentualnie chęć powtórzenia takiej próby w stosunku do innych wydziałów. Wypracowane przez Komitet organizacyjny Polskiego Wydziału Lekarskiego, w skład którego weszli wszyscy przebywający na terenie Wielkiej Brytanii profesorowie polskich wydziałów lekarskich, zasady organizacyjne znalazły swój wyraz zewnętrzny w statucie i umowie między rządem, a Uniwersytetem edynburskim. Miały one potem stać się wzorem, rodzajem modelu dla następnych polskich szkół akademickich. Ta jednowydziałowa szkoła akademicka, złożona z polskich i szkockich profesorów (tam gdzie nie było profesorów Polaków), otrzymała prawo nadawania stopnia lekarza i doktora. Liczyła 8 profesorów zwyczajnych lub nadzwyczajnych (Jerzy Fegler, Antoni Jurasz, Włodzimierz Koskowski, Leon Lakner, Bruno Nowakowski, Tadeusz Rogalski, Jakub Rostowski, Adam Straszyński), 11 docentów (Adam Elektorowicz, Antoni Fidler, Aleksander Jabłoński, Marian Kostowiecki, Tadeusz Mann, Edmund Mystkowski, Włodzimierz Missiuro, Henryk Reiss, Bolesław Skarżyński, Bronisław Śliżyński, Wiktor Tomaszewski) i kilkunastu (ponad 10) prelegentów niehabilitowanych m. i. Bernard Czemplik, Jerzy Dekański, Zbigniew Godłowski, Józef Japa, Jarosław Iwaszkiewicz, Jan Kochanowski, Zdzisław Malkiewicz, Roman Rejthar, Jan Ruszkowski, Tadeusz Sokołowski, Wacław Stocki, Czesław Uhma). Rosła stale i konsekwentnie liczba studentów: w r. 1940/41 — 77, — w 1941/42 — 113, — w 1942/43 — 162, — 1943/44 — 182, w 1944/45 ponad 200. Ufundowany dzięki pomocy pani Charlotty Kellogg, przewodniczącej „Paderewski Testimonial Fund" szpital Paderewskiego stał się kliniką uniwersytecką, świetnie wyposażoną. Służył nie tylko młodzieży akademickiej, lotnikom, marynarzom, żołnierzom i cywilnej ludności polskiej, spragnionej polskiej opieki lekarskiej, ale także zaczął gromadzić aparaturę naukową z myślą o potrzebach kraju. Stały rozrost wydziału lekarskiego dokonywał się pod kierunkiem dziekana Antoniego Jurasza, którego rzutkości i talentowi organizacyjnemu wiele zawdzięczał. Mając przez 5 lat możliwość bliskiej obserwacji pracy polskiego wydziału lekarskiego muszę stwierdzić, że była to najbardziej okrzepła i dojrzała placówka polskiego szkolnictwa akademickiego w Anglii.

Mała liczba studentów zarówno Anglików jak i Polaków w czasie wojny sprawiła, że ilość praktycznych ćwiczeń odrabianych przez studentów była większa aniżeli przed wojną. Wydział dbał o to, by poziom wymagań nie był niższy niż przed wojną. Ale rezultatów pracy wydziału nie można mierzyć tylko tą ilością 1500 młodzieży, która przeszła przez jego sale wykładowe, ani nawet ilością wydanych dyplomów lekarzy (ponad 200), choć przecież nie bez znaczenia był taki fakt, że większość stanowisk lekarzy w wyruszającej na inwazję kontynentu I Dywizji Pancernej tworzyli absolwenci wydziału lekarskiego. Ani szpital Paderewskiego, ani dobra biblioteka wydziału, ani nawet uzbierane dla kraju zapasy sprzętu lekarskiego nie są przecie najważniejszym jeszcze rezultatem pracy wydziału lekarskiego. W moim przekonaniu jest nim utrzymanie na poziomie badań współczesnej nauki gromady ponad trzydziestu profesorów, docentów i wykładowców niehabilitowanych oraz wytworzenie zastępu około 20 nowych asystentów z pośród masy studenckiej,

wśród których wydział rozbudził zamiłowanie do pracy naukowej. Wszyscy oni przez cały czas wojny mieli dostęp do literatury naukowej angielskiej i amerykańskiej, są obeznani z jej wynikami, uchronili się od tej izolacji, która tak dotkliwie dawała się we znaki nauce w kraju. Ten aspekt personalny — utrzymywanie pełnego, żeby tak rzec, pogotowia naukowego tej grupy 50 pracowników naukowych — wydaje mi się najdonioślejszy w ogólnym bilansie prac wydziału. Ich nazwiska pojawiły się licznie na kartach fachowej prasy medycznej brytyjskiej, oni w dużej mierze stanowili podstawę współpracowników polskiego czasopiśmiennictwa lekarskiego.[2] W chwili tworzenia wydziału zastanawiano się długo nad tym, czy przyznać mu prawo przeprowadzania habilitacji, gdyż już wówczas wśród prelegentów niehabilitowanych było kilku całkowicie dojrzałych pracowników, którym tylko wybuch wojny przeszkodził w przeprowadzeniu habilitacji. Zdecydowano, że wydział w statucie nie otrzymał prawa przeprowadzania habilitacyj, wychodząc z założenia, że tu głos ostateczny trzeba oddać wydziałom w kraju. Dziś w obliczu strasznych braków personalnych w szkołach akademickich w kraju, tworzenia nowych wydziałów, byłoby rzeczą nie do darowania, gdyby nie skorzystano z tego rezerwuaru ludzkiego, jakim jest zastęp wykładowców niehabilitowanych Polskiego Wydziału Lekarskiegu w Edynburgu. Złożony z adiunktów i starszych asystentów polskich wydziałów lekarskich przed wojną miał wyjątkową szansę poznania nauki i szpitalnictwa brytyjskiego przez przeciąg pięciu lat. Mimo, że niefachowiec, nie mogę się powstrzymać od spostrzeżenia, że należy zrobić jeszcze jeden wysiłek, by ten nowy zastrzyk krwi zasilił uniwersytety polskie, by tacy świetni fachowcy jak Jarosław Iwaszkiewicz, czy Jan Ruszkowski czy Czesław Uhma znależli się jaknajprędzej w szeregach polskiego świata uniwersyteckiego w kraju. Tylko przy takim rozwiązaniu Wydział edynburski włączyć się może w rytm ogólnej pracy naukowej w kraju. Tylko w takim wypadku z posiewu rzuconego w czasie wojny wyróść może nowe życie na czas odbudowy.

[2] Por. Lekarz Wojskowy wydawany przez Tow. Naukowe Lekarzy W. P. w Wielkiej Brytanii.

3.

Zetknięcie się architektów polskich z angielskimi odegrało też dość dużą rolę przy powstaniu Polskiej Szkoły Architektury przy uniwersytecie w Liverpoolu. Ale na tym wyczerpywały się właściwie zbieżności z Polskim Wydziałem Lekarskim. Sytuacja szkoły przy powstaniu[3] była zgoła odmienna: nie było przede wszystkim tak poważnego zastępu sił profesorskich polskich, jakim dysponowała medycyna. Poza jednym docentem (Stefanem Siennickim), jednym wykładowcą (inż. Leopold Toruń, który został dyrektorem Szkoły) było kilku starszych asystentów z Politechniki warszawskiej czy lwowskiej (Zb. Dmochowski, R. Schmidt, K. Dziewoński), którzy tworzyli polski zespół wykładowców. Liczba studentów nie przekraczała ze względu na ograniczenia w pracowniach 60 osób. Ze względu na szczupłość personelu naukowego polskiego siłą rzeczy studenci polscy musieli w dużym bardzo stopniu korzystać z pomocy profesorów — Anglików, a program w zasadzie oparł się o kurs naukowy wykładany w angielskiej szkole z uzupełnieniem poloniców (jak np. historia polskiej architektury, obowiązujące ustawodawstwo budowlane w Polsce itp.). Wydział architektury w uniwersytecie w Liverpoolu cieszy się w Anglii opinią jednej z najlepiej zorganizowanych uczelni tego typu, jego uczniowie rekrutują się w dużej mierze z elementu nietylko angielskiego, ale także z dominiów i kolonij. Już to samo zetknięcie się z tak różnorodnym elementem kryło w sobie wiele czynników pobudzających, pozwalało

[3] British Council pomagał przy założeniu Szkoły.

na zestawianie i krytyczną ocenę dorobku polskiej architektury z osiągnięciami świata anglosaskiego. Nie należy też lekceważyć innego jeszcze czynnika: poprzez prace studenckie, poprzez zainteresowania tą drogą pobudzane sztuka polska, obca dotąd niemal całkowicie dla świata anglosaskiego, zaczęła przenikać do jego świadomości.[4] Profesor L. B. Budden, kierownik Szkoły angielskiej, niejednokrotnie podkreślał, że dla studentów angielskich postawa słuchaczy polskich wobec zagadnień architektonicznych, całkiem odmienna od ich sposobu ujmowania tych zagadnień, była źródłem wielu pobudzeń. Polski zespół wykładający miał możność przypatrzenia się metodom dydaktycznym szkoły o zasięgu oddziaływania daleko wykraczającej przez rozprzestrzenienie uczniów poza Anglię. W atmosferze szkoły zrodziło się kilka publikacyj: młody o wielostronnych zainteresowaniach student Jerzy Faczyński (poeta i malarz) wydał zbiór swych prac p. t. „Studies in Polish Architecture" z przedmową L. B. Buddena, — z wykładowców Zbigniew Dmochowski przygotował obszerniejszą pracę z zakresu historii architektury polskiej, która była latem 1945 w druku.

Emigracja skupiła sporo elementu technicznego. Inżynierowie polscy rozproszyli się w Turcji, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i Anglii. Ruchliwa grupa angielska, której członkowie byli bądź w wojsku, bądź w przemyśle wojennym, wywierała nacisk na władze wojskowe w kierunku zorganizowania studiów technicznych dla młodzieży będącej w służbie wojskowej. Niezależnie od świata technicznego szermierzem tej myśli stał się profesor Politechniki warszawskiej Stanisław Płużański.[5] Jego zabiegom zawdzięczać należy utworzenie na początku roku 1942 Komisji dla akademickich studiów technicznych, która miała się zająć opieką nad studentami — Polakami, kończącymi swe studia. Londyńskie Imperial College of Science and Technology dało swoje pracownie i sale wykładowe do dyspozycji. Komisja od r. 1943 przybrała nazwę Rady Akademickich Szkół Technicznych, otrzymując prawo wydawania dyplomów inżyniera. Garnęła się do niej duża ilość młodzieży, w ostatnich latach przewyższająca nawet ilość medyków. Ale bardzo mała ilość profesorów Polaków (Stanisław Płużański, Stanisław Skoczylas, Adam Skąpski, Zygmunt Klemensiewicz, Józef Turski, Tadeusz Urbański, — z docentów: Stefan Neumark, W. Skalmowski, Marian Książkiewicz, Józef Mazur), trudności z laboratoriami i pracowniami utrudniały rzeczywistą rozbudowę wszystkich wydziałów politechniki. Duży napływ młodzieży z jednej strony, szczupły personel naukowy i braki własnych pracowni z drugiej strony sprawiały, że ujawniać się musiała pewna dysproporcja ambitnych zamierzeń i rzeczywistych osiągnięć. Kto wie, czy nie lepiej było pójść po linii ograniczenia i zacieśnienia planów, jak doradzali niektórzy. Zamiast myśleć o wielowydziałowym polskim studium politechnicznym — do czego brak było przede wszystkim profesorów — Polaków — ograniczyć się do lokowania studentów Polaków w uniwersytetach brytyjskich i rozciągnięcia nad nimi skrupulatnej opieki. Ze starcia tych dwóch koncepcyj wyszła zwycięsko koncepcja szersza, ambitniejsza, reprezentowana przez prof. Płużańskiego, a która znalazła wyraz w utworzeniu Rady Akademickich Szkół Technicznych. Czy jednak bardziej minimalny program, jaki reprezentował ówczesny dział nauki i szkół wyższych w ministerstwie oświaty, nie był realniejszy, łatwiejszy do realizacji i w skutkach bardziej celowy — na to

[4] Do szerzenia tej znajomości przyczyniała się nietylko Polska Szkoła Architektury, ale wszyscy niemal członkowie S. A. R. P-u w Anglii. Tak np. ukazała się książeczka Romana Sołtyńskiego p. t.: „Glimpses of Polish Architecture".

[5] Jest on autorem dobrej informacyjnej książki „Szkolnictwo techniczne Wielkiej Brytanii" (1941), dającej porównanie polskiego i angielskiego systemu nauczania wraz z sugestiami na okres odbudowy powojennej.

pytanie odpowie już kiedyś historyk szkolnictwa tego okresu.

4.

Podobnie jak zetknięcie lekarzy polskich w r. 1940 z lekarzami Szkotami w dalszym rozwoju wypadków doprowadziło do stworzenia Polskiego Wydziału Lekarskiego, tak i pierwsze kontakty lekarzy — weterynarzy z kolegami szkockimi nie pozostały bez znaczenia dla stworzenia polskiego ośrodka studiów akademickich medycyny weterynaryjnej. W chwili przybycia Polaków do Wielkiej Brytanii Royal (Dick) Veterinary College w Edynburgu otworzył chętnie swe bramy dla kursów dokształcających dla lekarzy-weterynarzy trwających od 3 tygodni do 6 miesięcy. Obecność kilku profesorów (Stanisław Runge, Tadeusz Olbrycht, Józef Kulczycki i doc. Stanisław Mglej) umożliwiła w r. 1943 powołanie do życia Komisji Akademickich studiów medycyny weterynaryjnej. Korzystając z pomocy Royal (Dick) Veterinary College dwudziestu kilku studentów, którzy rozpoczęli studia przed wojną w Polsce, mogli je tu kontynuować przy pomocy profesorów szkockich jak i polskich. Równocześnie także kilku asystentów wydziałów weterynaryjnych uzyskało możliwości podjęcia zarówno pracy badawczej jak pedagogicznej. W ten sposób dzięki zrozumieniu potrzeb polskiego życia uniwersyteckiego przez świat szkocki w ostatnich latach wojny w stolicy Szkocji, w Edynburgu, pracowały dwie polskie placówki uniwersyteckie.

5.

Także i stare, tradycyjne ośrodki nauki brytyjskiej zwłaszcza Oxford, stale w ciągu wojny manifestowały swą życzliwą postawę wobec Polski. Sir David Ross, wicekanclerz uniwersytetu, przewodniczył jesienią roku 1941 na akademii londyńskiej ku czci zamordowanych przez Niemców uczonych polskich, wygłaszając gorąco odczute przemówienie o martyrologii uniwersytetu krakowskiego. Profesor Gilbert Murray przemawiał kilkakrotnie w sprawach polskich, zwłaszcza w obronie aresztowanych przez Niemców w r. 1941 profesorów lwowskich. I następny wicekanclerz uniwersytecki czasu wojny Sir Richard Livingstone — którego świetne książki pedagogiczne, zwłaszcza „The Future in Education" winny jak najrychlej być przetłumaczone na język polski — stale manifestował swe życzliwe dla Polski stanowisko. Oxford czasu wojny był także świadkiem innych manifestacyj polskiego życia intelektualnego: w r. 1941 Stanisław Kot miał tu trzy wykłady o rozwoju polskiej nauki, które ukazały się drukiem u Blackwella p. t. „Five Centuries of Polish Learning", później wystawa starych druków polskich z Bodlejany, pochodzących głównie ze zbiorów J. Łukaszewicza, pokazała publiczności dawność kultury polskiej. Oxford University Press dała swą firmę dla tutaj ukazującego się wydawnictwa polskiego Zrzeszenia profesorów i docentów szkół akademickich „Polish Science and Learning". W poszczególnych kollegiach uniwersyteckich studiowali indywidualnie z powodzeniem Polacy.

Narastanie tego kapitału sympatyj propolskich w uniwersyteckim środowisku Oxfordu było w niemałej mierze wynikiem zabiegów profesora Stefana Glasera. Uwieńczeniem niejako jego pracy w tym zakresie stało się utworzenie w marcu 1944 Polskiego Wydziału Prawa przy Uniwersytecie w Oxfordzie, którego został pierwszym dziekanem. Był to obok Polskiego Wydziału Lekarskiego w Edynburgu najbardziej okrzepły i dojrzały przejaw żywotności polskiego życia uniwersyteckiego w Anglii. Żadna polska szkoła akademicka w Anglii nie dysponowała takim zastępem profesorów jak Wydział prawny, — niektóre specjalności — wyjąwszy prawo rzymskie i kościelne — były tu reprezentowane przez Polaków, tak że tylko w małej mierze trzeba było korzystać z pomocy profesorów angielskich. Tadeusz Brzeski, Stanisław Grabski,

Ferdynand Zweig, Tadeusz Grodyński, Bronisław Hełczyński, Maurycy Jaroszyński, Eugeniusz Jarra, Wacław Komarnicki, Roman Piotrowski, Adam Prager, Bohdan Winiarski, Wiktor Sukiennicki, Edward Szturm de Sztrem, Jan Adamus, Leon Radzinowicz, Marian Jedlicki — tworzyli tu zespół profesorów i docentów. Skrócenie roku akademickiego do sześciu miesięcy zostało umożliwione dzięki redukcji dni wolnych, skróceniu feryj świątecznych i skasowaniu feryj letnich. Napływ młodzieży był tu bardzo znaczny, wielu równolegle studiowało ekonomię w uniwersytecie oxfordzkim. Nie mówiąc już o samym znaczeniu tych studiów w zakresie wykształcenia licznego zastępu prawników, nie sposób nie zauważyć jeszcze jednego momentu z tym związanego: poraz pierwszy w dziejach najstarsza wszechnica brytyjska gościła w swych murach tak liczny zastęp profesorów i studentów Polaków. Dla tworzenia opinii o Polsce, dla prostowania sądów o nas rozsiewanych przez czynniki nam nieżyczliwe pobyt tej gromady polskiej miał znaczenie bardzo istotne. A przecież Oxford na tworzeniu angielskiej opinii publicznej zwłaszcza kół wykształconych ciążył zawsze szczególnie silnie.

6.

Wydział Prawny w Oxfordzie jest ostatnią odrębną polską uczelnią akademicką w Anglii. Ale poza ośrodkami polskimi corocznie ponad 100, a w ostatnich latach wojny po 150 studentów Polaków rozsianych było po wszystkich uniwersytetach brytyjskich. Garnęli się przede wszystkim do szkockich uniwersytetów w Glasgow (sporo techników) i St. Andrews. W ostatnich latach coraz więcej było ich w nowszych prowincjonalnych uniwersytetach jak np. w Manchester czy Birmingham. Tylko jednostki poszczególne docierały do środowisk walijskich: w Aberystwyth czy Swansea. Z tych skupisk ilością wysuwają się na czoło: wyewakuowana na okres wojny do Cambridge London School of Economics, szczególnie popularna wśród Polaków i uniwersytet w St. Andrews, obok Edynburga, najbardziej propolskie środowisko uniwersyteckie szkockie. Tutaj na wydziale filozoficznym i prawnym stale przez cały okres wojny bywało do 50 Polaków, uniwersytet — w którym oddanym rzecznikiem interesów polskich był wicekanclerz Sir James Irvine — wystąpił z inicjatywą zbiórki książek dla Polski, stworzył lektorat literatury polskiej.[6] W umieszczaniu studentów Polaków w uniwersytetach brytyjskich pomagał British Council. Pod tym względem w życzliwej pamięci zachowamy zawsze chętną i usłużną pomoc okazywaną nam przez panią Hansell. Utrzymanie studentów — Polaków opierało się na poborach wojskowych, względnie na stypendiach ministerstwa oświaty. Opiekę nad studentami studiującymi indywidualnie w uczelniach brytyjskich sprawował z ramienia działu nauki i szkół wyższych ministerstwa oświaty docent Marian Książkiewicz. Mała stosunkowo ilość tych studentów szła na nauki przyrodnicze czy humanistyczne, większość wybierała ekonomię lub nauki techniczne. W pierwszych latach wojny odsetek indywidualnie studiujących był dość niski, — władze wojskowe udzielały mało zwolnień, — w ostatnich latach napływ się zwiększył, przybywali lotnicy po odbyciu przepisanej tury lotów, uczestnicy kampanii libijskiej, włoskiej, ostatnio ranni w inwazji na kontynent. Ale w r. 1945 zaczęło być też coraz trudniej z uzyskaniem wolnych miejsc w uniwersytetach, które zaczynały rezerwować

[6] W czasie wojny wzmogła się aktywność lektoratów literatury i języka polskiego przy poszczególnych uniwersytetach: najruchliwszy był ośrodek londyński, gdzie na katedrze literatury polskiej w School of Slavonic Studies ożywioną działalność wydawniczą i pedagogiczną rozwinął W. J. Rose, w uniwersytecie w Liverpoolu publikował na tematy polskie Bruce Boswell zajmujący katedrę literatury rosyjskiej. To były katedry poświęcone sprawom polskim, lektoraty w ścisłym tego słowa znaczeniu istniały w Birmingham (H. Reybekel), Glasgow (J. A. Teslar) i w S. Andrews (E. Ligocki).

miejsca dla własnych zdemobilizowanych studentów

7.

Mimo stosunkowo dość dużej ilości pracowników naukowych polskich skupionych w Wielkiej Brytanii nie było tu w czasach wojny sprzyjających warunków dla pracy naukowej. Złożyły się na to różne okoliczności. Tylko nieznaczna garstka znalazła miejsce w laboratoriach i zakładach naukowych. Wielu przez cały czas służyło w wojsku, niektórzy w przemyśle wojennym, sporo pracowało w aparacie rządowym polskim. Ostre ograniczenia papierowe też działały krępująco. Toteż naprawdę pełne warunki dla pracy naukowej znalazła tylko ta garść uczonych polskich (wśród nich sporo humanistów), która po klęsce Francji znalazła się w Stanach Zjednoczonych i tutaj w uniwersytetach amerykańskich, czy w Polskim Instytucie Naukowym znalazła warsztat pracy. Nie znaczy to, że na terenie Anglii nie było wogóle przejawów polskiej pracy naukowej, wręcz przeciwnie, kto sobie zada trud i przeglądnie bibliografię prac i rozpraw naukowych polskich, publikowaną stale przez „Polish Science and Learning", ten zobaczy, że chyba poraz pierwszy tak masowo weszli Polacy na łamy angielskich periodyków naukowych i to w najróżnorodniejszych specjalnościach. Niektóre publikacje naukowe w języku angielskim, jak np. prace z ekonomii F. Zweiga miały bardzo dobry rezonans w czasopiśmiennictwie fachowym. Ale to były raczej wyjątki. Ogólne warunki wojny, pochłonięcie pracowników przez aparat rządowy sprawiły, że o zorganizowanej pracy naukowej polskiej — nawet w takich rozmiarach jak to miało miejsce w Stanach Zjednoczonych[7] — w środowisku angielskim nie było mowy.

Natomiast środowisko to wykonało inną pracę: przybliżyło czytelnikowi angielskiemu problematykę życia polskiego w świetle naukowym, które dotąd widział on raczej poprzez szkła nauki niemieckiej. Cały szereg zagadnień z życia gospodarczego, polityczno-społecznego, wychowawczego, artystycznego, z przeszłości i teraźniejszości polskiej, niekiedy w zakresie szerszym środkowo-wschodniej Europy, ukazał się czytelnikowi angielskiemu nieraz poraz pierwszy. Tę pracę uświadomienia, wprowadzenia na angielski rynek wydawniczy problemów polskich starało się wykonać z mniejszym lub większym rezultatem środowisko polskich pracowników naukowych. Obok tego za ważne swe zadanie uważało ono stałe informowanie świata intelektualnego anglosaskiego i szerokiej opinii publicznej o losie nauki polskiej i uczonych w kraju pod okupacją niemiecką. Oba te cele starało sie osiągnąć istniejące w Anglii Zrzeszenie profesorów i docentów szkół akademickich dwojaką drogą: przez wydawnictwa i przez organizowanie publicznych zebrań.

Restrykcje papierowe nie pozwoliły na uruchomienie czasopisma w języku angielskim poświęconego sprawom nauki polskiej. Ale zakaz wydawania czasopism za radą życzliwych przyjaciół angielskich ominięto w ten sposób, że zaczęto wydawać w formie książeczek poszczególne zeszyty periodycznego wydawnictwa podjętego w r. 1942 pod nazwą „Polish Science and Learning". Jego redaktor dr. J. Borucki — pod którym tu pseudonimem ukrywał się, co już dziś ujawnić wolno, docent uniwersytetu poznańskiego Julian Rzóska — dobrze przysłużył się tym wydawnictwem polskiemu życiu naukowemu. Najpierw wydał dwa numery o treści

[7] Utworzony z inicjatywy rządu gen. Sikorskiego i uczonych polskich przebywających w Stanach Zjednoczonych P. w r. 1942 Polski Instytut Naukowy w Ameryce rozwinął poważną działalność wydawniczą i odczytową. Seria wydawnictw monograficznych, a przede wszystkim kwartalny „Bulletin of the, Polish Institute of Arts and Sciences in America" stały się dowodem ciągłości pracy naukowej polskiej. Biuletyn starał się na okres wojny zastąpić zamilkły w kraju Biuletyn Polskiej Akademii Umiejętności. O tej pracy niestety jak dotąd głucho w czasopismach krajowych.

różnorodnej, poczem przeszedł do wydawania zeszytów o charakterze monograficznym: na rocznicę Kopernikowską dał numer wypełniony przez Anglików i Polaków o wielkim astronomie, — potem wydał obszerne dwa numery poświęcone zagadnieniom medycznym i wychowawczym w Polsce (ten ostatni urósł do rozmiarów małej monografii), poczem ostatni zeszyt poświęcił analizie rozwoju logiki matematycznej w Polsce w okresie 1918—1939 w opracowaniu Z. Jordana. Zeszyty medyczny i wychowawczy miały duży oddźwięk w prasie angielskiej. Była to poważna praca informacyjna wprowadzająca czytelnika angielskiego w zagadnienia polskie.

Na jednym przykładzie pragnę uwypuklić wartość ,,Polish Science and Learning": ileż to razy w bibliotece angielskiego Board of Education musiałem irytować się, że dwudziestolecie lat 1918—1939 nie potrafiło wcisnąć w ręce angielskiego czytelnika publikacji o polskich osiągnięciach oświatowych, ileż razy o książkę tego typu dopytywali nauczyciele angielscy. Numer pedadogiczny Polish Science and Learning wypełnił bodaj częściowo tę lukę. Tak zaś było i w innych wypadkach. Numery tego pisma informowały stale o martyrologii polskiej nauki w kraju. Dla czytelnika zaś krajowego kronika polskiego życia naukowego zagranicą, to właściwie jedyne — póki nie wrócą archiwa — drukowane źródło informacyjne o tym życiu w czasie wojny. ,,Polish Science and Learning" weszło na trudny do zdobycia rynek wydawniczy angielski: byłoby błędem z naszej strony, gdybyśmy tego wydawnictwa dziś nie podjęli na nowo. Praca i wysiłek włożony w to pismo nie powinny pójść na marne — może to być instrument, który ujawni ogrom aktualnych niezaspokojonych potrzeb nauki polskiej w jej najtrudniejszym okresie powojennej odbudowy.

Angielski rynek wydawniczy spragniony jest dobrej, na wysokim poziomie utrzymanej książki naukowej o zagadnieniach polskich. Książka tego typu zawsze znajdzie wydawcę. Dwa przykłady czasu wojny mogą potwierdzić słuszność tego spostrzeżenia. Drugi tom ,,Cambridge History of Poland",[8] zbiorowego wydawnictwa poświęconego historii polskiej XVIII—XX wieku mimo ceny wysokiej, nawet mimo niektórych nieżyczliwych recenzyj, rozszedł się tak szybko, że dziś można go kupić tylko u antykwarza. Podobnym sukcesem było wydanie w kraju przygotowanej ,,The Nazi Kultur in Poland". Samo wydanie tej książki przez ,,His Majestys Stationery Office", t. j. państwowe wydawnictwo, było już nielada osiągnięciem. Rzeczowy obiektywizm tej książki, gruntowna jej dokumentarność zdobyły recenzentów i czytelników. W czasie wojny wydawcy angielscy chcieli zrealizować wydanie przygotowanej przed wojną zbiorowej książki o stosunkach polsko-niemieckich. Ze względu na bezpieczeństwo autorów wszystkich bez mała przebywających w kraju wypadło chwilowo z tej myśli zrezygnować. Przed Polskim Towarzystwem Historycznym stoi dalej możliwość realizacji tego przedsięwzięcia. Wojna wprowadziła problemy polskie na rynek wydawniczy angielski, — wyrugowała uczonych niemieckich, którzy się narzucali jako pośrednicy — otworzyła możliwości dla penetracji solidnej produkcji naukowej polskiej. Czy potrafimy z tej okazji skorzystać?

Zrzeszenie polskich profesorów nie zaniedbywało też okazji przenikania do szerszych sfer poprzez zebrania publiczne. Zebranie w r. 1941 poświęcone losom nauki w kraju skierowało uwagę angielskiego świata naukowego na prześladowania uczonych polskich pod okupacją. Przemówienia intelektualistów brytyjskich wydane w osobnej broszurze nie poz-

[8] Wydawnictwo to przygotowane zbiorowym wysiłkiem historyków angielskich i polskich przed wojną w chwili wybuchu działań wojennych nie było ostatecznie gotowe. W tomie pierwszym brakowało kilku artykułów, tym tłumaczy się wcześniejsze pojawienie się tomu drugiego, który był kompletnie gotów.

wolily na przemilczenie tej sprawy. Śmierć Bronisława Malinowskiego uczczona została akademią żałobną i wydaniem broszury przez instytucje naukowe brytyjskie współdziałające z Zrzeszeniem polskim, które było tu inicjatorem. Polacy (szczególnie Stefan Glaser) byli też główną sprężyną akcji w kierunku uruchomienia Międzynarodowego Zrzeszenia profesorów alianckich, grupującego przedstawicieli wszystkich narodów sprzymierzonych. Ono ze swej strony dało inicjatywę zwołania konferencji poświęconej analizie funkcji uniwersytetu w życiu współczesnym. Publikacja p. t. „The Function of a University in a modern community" zawarła treść wygłoszonych referatów i dyskusyj.

8.

Życie w Londynie czasu wojny niejednokrotnie ujawniało dwie wielkie sfery polskich zaniedbań intelektualnych okresu 1918—1939. Luki w opracowaniach książkowych, brak polskiej książki naukowej na rynku wydawniczym angielskim — to jeden nasz grzech. Drugi niemniej dotkliwy — to poważne luki w zaopatrzeniu w książki polskie zbiorów londyńskich. British Museum, najzasobniejsze jeszcze w polonica, ma przedziwnie dobrane zbiory książek polskich, wskazujące na to, że z naszej strony brakło tu inicjatywy i myśli kierującej, brakło systematycznego i planowego zaopatrywania w książki. Rezultat tego jest taki, że w British Museum można znaleźć rzadkie czasopisma emigranckie z pierwszej połowy XIX wieku, można znaleźć przypadkowo monografię nawet jakiegoś drobnego miasteczka polskiego ale daremnie szukałby ktoś podstawowych wydawnictw statystycznych czy zasadniczych czasopism polskich okresu 1918—1939. Poza Polską Akademią Umiejętności żadna z polskich instytucyj państwowych czy wydawniczych nie myślała o trwałym i planowym zasilaniu zbiorów jednej z największych książnic świata. I dlatego badacz czy publicysta angielski, interesujący sie Polską, stawał przed brakiem materiałów. Bombardowania Londynu jeszcze uszczupliły te niebogate zbiory poloniców zarówno w British Museum jak w uniwersyteckiej School of Slavonic Studies. Są zaś dziś jeszcze na terenie samej Anglii nawet prywatne zbiory książek polskich, które wartoby zakupić dla zbiorów publicznych (np. zbiór prof. Sarolei w Edynburgu, którego tylko drobna cząstka została zakupiona przez Polaków w czasie wojny dla School of Slavonic Studies).

Wszystkie te braki dadzą się właściwie sprowadzić do jednego zaniedbania: penetracja polskiej myśli naukowej w świat anglosaski właściwie przed wojną tak jakby nie istniała. Nie jest to rzeczą przypadku, że obie stacje naukowe Polskiej Akademii Umiejętności istniały w Paryżu i w Rzymie. Dziś dały się niedawno słyszeć głosy domagające się stworzenia takiej stacji w Moskwie. Już choćby ze względu na stworzenie ośrodka dla badaczy polskich, którzy podejmą się poszukiwań w archiwach rosyjskich do historii XIX wieku, myśl ta zasługuje na szybką realizację. Wydaje mi się, że przeżycia okresu wojny wykazały też dowodnie, ile strat ponieśliśmy skutkiem ograniczenia naszej penetracji kulturalnej do krajów romańskich i zaniedbywania terenu anglosaskiego. Stworzenie dobrze wyposażonych w zbiory biblioteczne stacyj naukowych Polskiej Akademii Umiejętności w Londynie i Nowym Yorku[9] byłoby pierwszym krokiem na drodze odrobienia tych zaległości i zaniedbań.

[9] Utworzony w r. 1942 Polski Instytut Naukowy w Stanach Zjednoczonych z siedzibą w Nowym Yorku w intencji rządu gen. Sikorskiego tylko czasowo na okres wojny miał być placówką związaną z rządem, — w chwili odzyskania swobody ruchów przez Polską Akademię Umiejętności miał pomnożyć ilość jej dotychczasowych stacyj naukowych. Do tej myśli inicjatorów powstania Instytutu należałoby dziś nawrócić, wiążąc go z pracami Polskiej Akademii Umiejętności.

T-wo LITERACKIE im. ADAMA MICKIEWICZA
(1886—1946)
ZJAZD NAUKOWO-LITERACKI im. B. PRUSA.

Zjazd naukowo-literacki, odroczony w listopadzie r. ub., odbędzie si w Warszawie (Uniwersytet, Krakowskie Przedm. 26) 29 września 1946.

Zjazd ten, przypadający w setną rocznicę urodzin twórców nowoczesne powieści polskiej, Bolesława Prusa i Henryka Sienkiewicza, ma na cel zorientowanie się, jak przedstawiają się: stan, potrzeby i zadania nauk o literaturze w Polsce dzisiejszej i dążyć będzie do nawiązania zerwanyc przez wojnę i okupację stosunków między nauki tej ośrodkami.

W związku z tym w czasie Zjazdu odbędzie sie nadzwyczajne Zebran Walne członków T-wa Literackiego, obchodzącego w roku bież. sześćdzie sięciolecie swego istnienia. Zadaniem Zebrania Walnego będzie reorganizacja T-wa zgodna z wymaganiami dzisiejszej rzeczywistości (zmiana statutu, wybory władz T-wa).

Obrady Zjazdu toczyć się będą na zebraniach ogólnych i sekcyjnych Szczegółowe programy obrad uczestnicy ich otrzymają w sekretariaci Zjazdu.

Przewiduje się następujące sekcje:

1-o Historyczno-literacka (Twórczość B. Prusa i jego rówieśników — Problematyka epoki tzw. Pozytywizmu).

2-o Teoretyczno-literacka.

3-o Dydaktyczno-literacka (Nauczanie literatury w szkole).

4-o Organizacji pracy naukowo-literackiej w jej dzisiejszych ośrodkach (Twa naukowe, wydawnictwa, biblioteki itp.)

Zgłoszenia udziału w Zjeździe i wszelkie zapytania prosimy kierowac pod adresem: SEMINARIUM HISTORII LITERATURY POLSKIEJ, Uniwersytet — Warszawa, przed d. 30. czerwca 1946.

Warszawa 1 maja 1946.

Za Komitet Organizacyjny

Przewodniczący:

Dr Julian Krzyżanowski, Prof. Uniw. Warsz.

Sekretarze:

Dr Franciszek Bielak, Prof. Gimn. Nowodworskiego w Krakowie.

Dr Tadeusz Mikulski, Prof. Uniw. Wrocławskiego.

TREŚĆ TOMU CZWARTEGO

(lipiec – sierpień – wrzesień 1946)

ROZPRAWY I ARTYKUŁY

PRZEGLĄDY